

**MARTA
OBUCH**

**Szajba
na peronie
5.**


Replika

MARTA OBUCH

**Szajba
na peronie
5.**


Replika

*Dla Elisabeth,
która jest duszą tej książki...*

Czy kobiecie może coś bardziej zorać czaszkę niż facet w podkolanówkach?

Zosia Haba stwierdziła, że tak.

Facet w podkolanówkach i z zawieszonym na szyi tamburynem.

Patrząc na swojego asystenta, który wszedł właśnie dziarskim krokiem do gabinetu, ciągnąc na smyczy mikroskopijnego yorka, Zosia zrozumiała, że jej poczucie estetyki zostało niniejszym zdruzgotane.

Mirek Mędrzycki.

Obiektywnie irytujący brzydal o nosie podobnym do rozklekotanej klamki, subiektywnie jednak mężczyzna o dużym uroku osobistym, który działał nie tylko na wiekowe panie profesorki i szczebel średni, ale także na portierki, o morzu entuzjastycznych studentek nie wspominając. Zosia, która od października znosiła mniej lub bardziej niedyskretne pytania na temat jego życia uczuciowego, uśmiechnęła się w duchu z satysfakcją.

Teraz powinny go zobaczyć te jego fanki.

A może wyciągnąć komórkę i strzelić Mędrzyckiemu fotkę?

Mirek jak rzadko kiedy zasługiwał dziś na pyszny portrecik. Wypisz, wymaluj, wyglądał jak przewodnik duszpasterstwa akademickiego, który w dwa dni zaliczył pieszo nie tylko Piekary, ale również Gidle i Częstochowę, przy czym z każdą

miejscowością zastęp niewinnych dziewic topniał. Plecaczek, bojówki i trapery plus rozanielony uśmiech pośród brody à la Jezus po czterdziestu dniach na pustyni – wszystko było w nim nieświeże i smętnie oklapłe. Twarz miał zmęczoną i czerwoną niczym burak, a włosy, które zwykle nosił związane w kitkę, powiewały trzęsącymi się nitkami w powstałym przeciągu. Obcisłą koszulkę Mirka – niestety zbudowany był niezgorzej – zraszał pot, a aromat tego męskiego ciała wypełniał cały gabinet.

Zapachniało czosnkiem i smażoną nad ogniskiem kielbasą.

Kichnęła.

– Sto lat z jednym... – zaczął, ale widocznie przypomniał sobie, że Zosia jest świeżo po rozwodzie, więc urwał. – Zdążyłem? – spytał z nadzieją i pośród pobrzękiwań tamburyna już stał przy biurku, które sprawiało wrażenie, jakby zaraz miało runąć pod naporem jego wielkich owłosionych łap. York podreptał tuż za swym panem, a prezentował się jeszcze bardziej żałośnie. Na powitanie szczerknął i dopadł jej nóg. – Przybiegłem prosto z dworca. Goliat, piesku, poliz panią w moim imieniu...

– Drzwi – rzuciła chłodno w odpowiedzi i nie uciekła wzrokiem, mimo że Mirek patrzył na nią uparcie i nie przestawał dyszeć.

– Jak ja się za tobą stęskniłem – wymruczał obłudnie, a Zosia pomyślała, że majowy weekend, który ten typek spędził w Bieszczadach jako opiekun roku, należał do wyjątkowo udanych.

W końcu miała gabinet tylko dla siebie. I w końcu jej miejsce pracy nie śmierdziało psem. Rybki, proszę bardzo, nawet zaskrońce i świerszcze, czemu nie. Ale kupka sierści dygocząca ze strachu przy najlżejszym szeleście papieru?

Goliat jakby czytał jej w myślach. Pisnął i usiadł we właściwej odległości.

Niestety jego pan nie zamierzał brać z czworonoga przykładu.

– Mędrzycki, usuń swoje włochate rączki z mojego biurka i zamknij drzwi – powtórzyła więc beznamiętnie, po czym wróciła do pracy. A przynajmniej: starała się wrócić.

Prześladowca jednak nie odpuszczał.

– Poważnie, stęskniłem się. Świat się przeobraża, wiesz? Tonie w wiosnie, kobiety pięknieją, a ty... Tak cudownie niezmienna.

Zosia przez chwilę kontemplowała tę podłą uwagę, a pośród cizy słycać było leciutkie poskrzypywanie parkietu, który ugiął się pod nowym ciężarem. Za ścianą zabrzmiały brawa – profesor najwyraźniej skończył swój ostatni wykład.

Czy to się właśnie tak odbywa?

Cały świat widzi, jaka jest brzydka, tłusta i nieciekawa. Tylko że z nieba zamiast gromów sypią się entuzjastyczne oklaski. Nikt nie karze sprawcy, gołębie nadal przyozdabiają parapet wonnymi maziajami, a na Jagiellońskiej trąbią auta.

– Bardzo dziękuję za komplement – przemówiła wreszcie. – Musiał cię kosztować sporo wysiłku. Intelktualnego – rzuciła zjadliwie, uśmiechając się przy tym olśniewająco, jakby już zdążyła przełknąć usłyszaną złośliwość, co nie było prawdą. Bolało nadal. Doskonale wiedziała, że nie jest piękna, nie musiał jej tego uświadamiać, podlec jeden. Zwłaszcza dzisiaj. Wiosna. I w czym ona ma niby tę wiosnę przywitać? W pokrowcu na auto? Po zimie wszystko było na nią za ciasne.

– Aaa, widzisz, zapomniałabym... Z powodu twojej nieobecności odwołano konkurs – poinformowała niby służbowo.

– Konkurs? Jaki konkurs? – Mirek zastrzygł uszami.

– Na największego kretyna wydziału.

Podlec na chwilę się zawiesił, ale zaraz potem wybuchł odrażająco szczerym śmiechem, a Goliat zaczął mu wtórować tak bezczelnie, że Zosia postanowiła, że nie podzieli się już z wypierdkiem żadną, nawet najbardziej wymemlaną kanapką.

– Widzę, że nie marnowałeś czasu i czekając na mnie, układałeś... CIĘTE riposty – zaakcentował, po czym beztrósco poprawił plecaczek. Najwyraźniej nie dotarło do niego, że ktoś tu uraził kobiecą dumę. I że za to zapłaci. Oj, zapłaci... Żarciki zawodowe, nie ma sprawy, ale docinki osobiste?! To było poniżej pasa. – No, dobrze, pani doktor. O której pożegnanie profesora?

Zosia zerknęła niespiesznie na wiszący ponad biurkiem zegar.

– Punkt osiemnasta. Masz raptem czterdzieści minut, żeby coś ze sobą zrobić. Dwudziestolecie międzywojenne, jak zapewne pamiętasz? Muszka, cylinder, te sprawy. Tamburyn i podkolanówki raczej odpadają. Chyba że życzysz sobie być gwoździem programu. Nadmienię, że rektor zaprosił prasę. Już widzę te tytuły... „Nonszalancki Mirek M. pożegnał profesora odziany w przykrótkie gacie”. „Schetany asystent wydziału literatury współczesnej popełnia faux pas”.

– Schetany? Dobra, nie wyrażaj się, pojąłem. Ale cylinder? Skąd ja ci wezmę cylinder? – Mirek opadł oszołomiony na najbliższe krzesło, a Zosia aż zarechotała w środku z uciechy.

Najwyraźniej zapomniał, że dzisiejsza impreza została starannie zaplanowana. Jedną z atrakcji miał być bal kostiumowy, o czym dowiedzieli się z intrygującego w treści zaproszenia: „Podczas całej uroczystości obowiązuje strój retro”.

Retro!

Całe szczęście, że profesor pasjonował się właśnie dwudziestolecie, a nie na przykład barokiem. Żadnych bezowych sukienek, żadnego fashion-lukru i wściekłego podkreślania nieistniejącej talii. Chociaż Zosia była przeciwna przemocy, cieszyła się, że na ówczesną modę miała wpływ wojna. Kapelusze w kształcie hełmów albo misek do prania, zdecydowane cięcia formy, a nie jakieś głupie hołdy na cześć Wenus z Milo, która cieszyła się (wyłączając rączki) nienaganną figurą. We włosach wystarczy przecież tylko jakieś szalone piórko, szyję poddusi się perłami z Rossmanna i jest szal ciał. Szkoda tylko, że takie trendy nie obowiązują dzisiaj.

– O strojach przypominam przez zwykłą zawodową solidarność – wyjaśniła, żeby nie było wątpliwości. – Jeśli zbłąznisz się publicznie, wszyscy będą na nas wieszać... psy. – Posłała yorkowi niezbyt przychylne spojrzenie, ale ten nic sobie z tego nie zrobił. Machając ogonem, znowu usiadł przy biurku i najwyraźniej oczekiwał odwzajemnienia sympatii. Niestety, odruchowo podrapała go za uchem. – Więc jeśli nie masz planu B i nie chowasz w szafie stroju Szpicbródki, proponuję

odpuścić – dokończyła. – I iść do domu.

Mirek zasepił się, lecz nie zdążył wymyślić odpowiedzi, bo w otwartych drzwiach stanęła kobieta.

Zosia w ułamku sekundy zdążyła ocenić, że ma do czynienia z kimś o niespotykanej urodzie i klasie. Aż sobie cichutko westchnęła z zazdrości. Gdyby ona tak wyglądała... Figura idealna. Ubiór również. Estetyka całości hulala aż miło, ordynarność biła kobiecie jedynie z lica, które miało w sobie coś, no, coś wrednego po prostu. Było niby ładne, symetria brwi wprost proporcjonalna do kwadratu szczęki, ale babka miała w oczach cały dział z mrożonkami.

Zimno, pusto i tylko lody Bambino.

Za to ubrać potrafiła się tak, że kaptcie spadały, dopracowany był na niej każdy szczegół. Biodra blondynki eksponowała przylegająca spódnica, nogi zdobiły szalowe szpilki, które wystawę CCC widziały jedynie od frontu, i to w przelocie. Do tego subtelna biżuteria i doskonały makijaż.

Niektóre kobiety tak po prostu mają.

Lśnią.

Inne stapiają się z kaloryferem i podłogą, a na ich tle toczy się barwne życie tych pierwszych.

Normalna, parszywie niesprawiedliwa rzeczywistość.

– Dzień dobry – rzuciła zimno blondyna, patrząc przy tym wyłącznie na Mirka.

Ale dlaczego w jej spojrzeniu Zosia zarejestrowała odrazę?

Czyżby się znali?

Chyba tak, bo Mirek nagle skurczył się i spokorniał jak gdyby był kumplem swojego psa, a kiedy wzrok kobiety zaczął się z pogardą prześlizgiwać po elementach jego stroju (tamburyn rządzi!), wykrztusił:

– E... E... Edyta... Ty tutaj? Nie mogłaś zadzwonić?

– Tak. Ja tutaj. A gdzie twoim zdaniem powinnam być? Może pod mostem? Z karteczką: „Proszę o wsparcie”?

– Ooo. – Zaśmiał się niemrawo, po chwili jednak zaczął wracać do żywych. – To ci raczej nie grozi.

– Nie próbuj być ironiczny, czekam już drugi miesiąc! I dzwoniłam, sto razy. Tylko że ty nie odbierasz.

– Bo byłem w górach, zasięg zdychał.
– Daruj sobie te bajeczki. Kiedy dostanę przelew?
– A kto mnie namówił na ten piep... na kredyt? Czy możemy jednak porozmawiać gdzie indziej? – zaproponował nagle, widząc, że Zosia przysłuchuje się tej wymianie zdań z nieskrywanym zainteresowaniem. – Czemu zawsze musisz urządzić sceny?

– Nie zamierzam nic urządzić. To znaczy, nie zamierzam rozmawiać. – Dla podkreślenia tych słów blondyna zaczęła wymachiwać elegancką skórzaną torbą, do której spokojnie zmieściłby się nie tylko komputer, ale i drukarka, i Zosi przeszła właśnie chęć, żeby nabyć takie monstrum, choć duże torby były w modzie. – Przyszłam ci tylko oznajmić, że jeśli pieniądze nie wpłyną na konto do końca tygodnia, zakładam sprawę. Pani jest świadkiem – spojrzała na Zosię.

– Słuchaj, nie skąpię i nigdy nie skąpiłem na własne dziecko. Ale jestem splukany, musiałem spłacić zaległe raty i odsetki. Za twój samochód, który kupiłaś na moje nazwisko! – Wzburzony Mirek przestał już zważać, że o intymnych sprawach mówi w towarzystwie szefowej. – Przez ciebie mam na pensji komornika. A przecież kto jak kto, ale ty doskonale wiesz, że pracownik naukowy nie zarabia tyle co... reprezentant Polski w siatkówce mężczyzn. Z głodu nie umieracie.

– Odczep się od kadry narodowej, dobrze ci radzę. – Blondynka pogroziła Mędrzyckiemu swoim zadbanym palcem.
– Jesteś ojcem czy nie? Masz przelać alimenty i koniec. I kropka. Taki jest wyrok sądu – dodała na zakończenie, chlasnęła powietrze blond grzywą i już jej nie było.

Mirek znowu opadł na krzesło, a potem umęczony zwrócił się do Goliata, jakby tylko on mógł go zrozumieć:

– Edyta, stary, wciąż ta sama Edyta. I kto tu powinien nosić kaganiec?...

Zosia Haba do dwudziestki srała tęczę.

Znaczy się: kwitła i pachniała, jej śmiech jak te anielskie

dzwoneczki rozbrzmiewał w M-3, które dzieliła w dzikiej rozkoszy ze swym nowo poślubionym Oskarkiem. Potem przysłała na świat przyczyna zawarcia małżeństwa, potem dziecię zaczęło się wniebogłose drzeć, a przygniecione pieluchami uczucie dla odmiany jakby skłęsało.

I tęczę szlag trafił.

Nadciągnęły ciemne chmury, z chmur zaczął siąpić najpierw drobny, ale namolny kapuśniaczek, a dalej poszło już szybko: zadudniło, zazgrzytało i nastąpiło gradobicie, bo okazało się, że Zosia wyszła za mąż nie tylko za patentowanego lenia, ale i za egoistę.

O rozmiarze nieszczęścia przekonała się już w trakcie ciąży, a potem było tylko gorzej. Małżonek w niczym jej nie pomagał, ciągle znikał, została więc ze wszystkim sama, bo rodziców już nie miała. Natomiast rodzice Oskara wszystko krytykowali i we wszystko się wtręcali, przysparzając tym samym Zosi dodatkowych zgryzot, bo w swojej poczciwości nie wpadła na pomysł, żeby namolne towarzystwo po prostu ze swojego życia przegonić. Choćby drągiem, jeśli zwykłe: „Wypad, kmiotki” by nie poskutkowało.

Tymczasem studiowała, robiła zakupy, gotowała, prała, sprzątała, prasowała, zajmowała się wychowaniem syna i swojej młodszej siostry i nieustannie walczyła z mężem, który doprawdy nie pojmował, dlaczego jego zrzędząca żona nie potrafi przyjąć bezinteresownej pomocy mamusi będącej przecież chodzącą dobrocią. Chodząca dobroć uwielbiała syneczka, podstępnie rozpieszczała wnuka, a na synową patrzyła jak kot na śmierdzącą kuwetę i wszystko robiła lepiej. Energii w tej chudej babie kotłowało się tyle, że dobijana widłami, odgryzłaby trzonek.

Zosia znosiła to cierpliwie przez kilka lat. Potem ze stresu i przemęczenia wysiadła jej tarczyca.

Zaczęła tyć.

I rozpoczął się kolejny etap małżeńskiego pożycia.

Pożycie zanikło.

A konkretnie pożycie Zosi, bo Oskar sobie nie żałował i miał regularne przyjaciółki. Żeby nie zwariować, Zosia

rzuciła się w wir pracy, a że była zdolna, nie wiedzieć kiedy zrobiła doktorat i zaczęła przygotowywać habilitację. W międzyczasie myślała co prawda o rozstaniu z mężem, ale nie chciała fundować swojemu jedynemu dziecku stresu, bo syn uwielbiał tatusia miłością wręcz fanatyczną. Kiedy poszedł do szkoły, faza obłądu zelżała, a Zosia odetchnęła z ulgą, bo mądre dziecko zaczęło wreszcie patrzeć na przekupującą go słodyczami babcię jak na wiedźmę z bajki o Jasiu i Małgosi.

Ostatecznie geny Zosi wzięły górę.

Dziecko zauważyło, że tatuś wcale nie chce spędzać czasu z rodziną, że najszcześliwszy jest, kiedy może wyjść z domu, a kiedy wraca, pachnie „jakąś obcą panią”. Te same geny nie zawiodły i kilka lat później. Pewnego razu syn, już jako dziewiętnastoletni młodzieniec, wrócił do domu wcześniej niż zwykle i w sypialni rodziców zastał sytuację mocno jednoznaczną. W pierwszym zaskoczeniu wycofał się do swojego pokoju, bąknął nawet „przepraszam”, ale kiedy po kwadransie wszedł do kuchni, spotkał tam niewiele starszą od siebie dziewczynę ubraną w szlafrok jego matki. I tu już nie wytrzymał, powiedział ojczulkowi kilka słów prawdy, co niemal skończyło się przepychanką pod lodówką.

Ten ożywiony dialog pokoleniowy miał miejsce równo rok temu – przed tygodniem Zosia otrzymała wreszcie upragniony rozwód. Wcześniej syn wyjechał na studia do Wrocławia, a ona najpierw zatrzymała się u swojej siostry Danki, wynajmującej mieszkanie w kamienicy na obrzeżu osiedla Tysiąclecia, a potem, kiedy na poddaszu zwolniła się kawalerka – zyskała własną przestrzeń.

Żyło się jej prawie doskonale.

Prawie.

Bo bez miłości zawsze żyje się tylko prawie.

Tyle że miłość wychodziła Zosi zwykle bokiem.

W czasie ostatniego roku spotykała się z dwoma delikwentami, co przy jej puszystej figurze i kompleksach i tak było nie lada osiągnięciem. Finał jednakże wyglądał w obu przypadkach tak samo. Kiedy faceci orientowali się, że Zosi zależy, że się angażuje i jedzie na pełnym gazie, ostro dawali po

hamulcach.

Pozostała więc samotna i zraniona.

I ogólnie rozczarowana życiem.

W dodatku przeświadczona, że najlepiej mają się zimne, chude żolzy.

I bardzo taką żołą chciała być. Po wszystkim, co przeszła, stała się podobno złośliwa, ale o ile wbijanie szpilek komuś, z kim łączyły ją luźne relacje, nie stanowiło problemu, to w momencie, gdy relacje te ulegały zacieśnieniu, coś się w jej wewnętrznej maszynerii przestawiało i zaczynała być czuła i słodka jak noc majowa.

A taki Mędrzycki...

Na jego widok od razu poczuła w środku gorąco. Żadnych letnich reakcji, żadnego tui tui tui. Rzetelny ogień na wskroś przepalający macicę. I to mimo że był od niej prawie dziesięć lat młodszy, co przecież nosiło znamiona pedofilii! Czterdziestoletnie próchno i jurny trzydziestolatek? Żenujące. Wystarczy pomyśleć, że kiedy ona miała dziewięć lat, jego jeszcze nie było na świecie. A kiedy w czwartej klasie kupiła swoje pierwsze cieniutkie rajstopy, pani Mędrzycka pakowała syna w tetrową pieluchę, która sięgała mu po szyję i zimą mogła służyć za golf.

Niestety, chociaż Zosia uważała się za osobę rozsądną i pewnych scenariuszy nie brała pod uwagę, to po prostu się stało. Mirek wpadł na początku semestru do jej gabinetu i uśmiechnął się tak ciepło i serdecznie, że z bólem w sercu pojęła, że zapełnił sobą nie tylko pokój od parkietu po szafę, ale dużo, dużo więcej. Więc żeby się czasem nie domyślił, zaczęła być nieprzyjemna. Tak utarł się zwyczaj – toczyli ze sobą cichą, podjazdową wojnę. Słowo za słowo, docinek za docinek. Ale właśnie dlatego, że nie było w tym żadnej prawdziwej wrogości czy niechęci, Zosia w swoim odczuciu tak naprawdę niczym nie różniła się od wzdychających do Mirka panienek. Była tak samo banalna jak dziesiątki innych bab, mimo że w gabinecie fruwały pod jego adresem „głaby” i „świniaki”, które zresztą przyjmował z podejrzanym zadowoleniem.

Więc on również był po rozwodzie?

Czasem, kiedy chowała kolce, dłużej rozmawiali, ale do tego jej się nie przyznał. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, jakby powodzenie u kobiet dziwiło go i cieszyło jednocześnie, jednak o swoim życiu prywatnym po prostu nie mówił. I w sumie, bardzo dobrze. Facet kłapiący gębą gorszy od Tatarzyna.

– Taaak – westchnął. – Właśnie poznałaś przyczynę prarzekcy – wyznał niby żartobliwie, ale wcale nie było mu do śmiechu. – Edyta. Piękna i seksowna, chociaż trochę za chuda i... I puściła mnie kantem. Co ci jest?

Zosia musiała mieć dziwny wyraz twarzy.

– A co ma mi być?

– Jesteś jakaś taka... To była moja była.

– Była była. Tak, zorientowałam się, synapsy mi się domykają, póki co.

– No, właśnie, ja się zorientowałem za późno. Bo można być piękną i seksowną i na tym lista przymiotów się kończy. Aha, dodajmy jeszcze jedno. Płodna. Zaszła w ciążę przy pierwszym podejściu, masz pojęcie? A ja postanowiłem być rycerzem.

Zosia ze zdziwienia wytrzeszczyła oczy.

– Tak, pani doktor. – Pokiwał głową i bezwiednie potarł przedramię z tatuażem, który przedstawiał sowę. Ptaszysko, zdaje się, nawiązywało do nazwiska i do tego, co myślał o sobie jego właściciel. – Największy kretyn na wydziale. To by się nawet zgadzało... Osiemnasta? – zapytał dla pewności. – Zajmij mi miejsce, mogę się spóźnić. Ale będę na pewno. Ty wystąpisz w perłach i na szpilkach, jak sądzę?

– Tak. I wyskoczę z tortu w stringach, krzycząc „Niespodzianka!”. Chciałbyś. Muszka! – przypomniała jeszcze raz, zanim wyszedł na korytarz.

– A te stringi – puścił do niej oko – to czerwone czy czarne? Dobra, nie wnikam. Też odstawię się, że mucha nie siądzie, zobaczysz.

– Oczywiście – mruknęła pod nosem. – Na pewno padnę z wrażenia.

Gdyby wiedziała, że dokładnie tak się stanie, ugryzłaby się w język.

Tymczasem nic nie zapowiadało burzliwych wydarzeń, jakie

miały nastąpić. Zosia zamknęła się w pokoju i założyła strój na dzisiejszy wieczór: workowate chomąto, które smętnie powiewało omdlałymi frędzelkami. Całe trzydzieści złotych w Tanim Armanim.

– Mała, pieprzona, czarna – mruknęła z ironią i zerknęła do lustra, gdzie zamiast brunetki o zielonych oczach zobaczyła opasłą krowę przedwcześnie wygonioną z pastwiska. Tak właśnie się czuła. Oszukana przez naturę. Która zabrała jej wszystko o kilka lat za szybko. – Czarny wyszczupła, jasne. Mój tyłek to już nie będzie Dar Pomorza, tylko Titanic. Cała naprzód, po prostu hurrra! – westchnęła przygnębiona. – „Tak cudownie niezmienna”... Boże, ile ja bym dała, żeby znowu być młoda!

Danka wcinała ze smakiem serniczek z brzoskwiniami i rozemocjonowana po raz kolejny weszła na stronę „Dziennika Zachodniego”, gdzie przed tygodniem znalazła ciekawy artykuł: „Dieb to złodziej. Diebel – złodziej, co rządził Katowicami”. A ponieważ w pokoju, który dzieliła z dokumentalistką, nie było dziwnym trafem nikogo, postanowiła dać ujście swojemu ożywieniu. Bo tłamszenie w sobie rozmaitych treści zupełnie miało się z celem. Miała dostać nadciśnienia albo przyszczy? A w życiu!

Zadzwoiła do siostry.

– Zosia, musisz coś przeczytać. Znowu znalazłam Diebla!

– Muszę, to ja zrobić coś z tą wstrętną gębą – usłyszała w odpowiedzi. – Ale ze zdenerwowania trzęsie mi się ręka.

– A możesz mnie nie obrażać? Bo dziwnym trafem moja gęba jest bardzo podobna do twojej. I sobie chwale.

– Jasne. – Zosia sapnęła z irytacją. – I jeszcze mi powiedz, że Bóg jest kobietą.

– Uuu, widzę, że grubszy szpadel. A czemuż to do naszej milej pogawędki pakujesz Boga, jeśli mogę spytać? Jakoś nie widzę związku.

– Bo właśnie stwierdziłam, że on na mur beton jest facetem.

Żadna kobieta nie wymyśliłaby cellulitu. I tego, że jeśli chce się w pewnym wieku wyglądać, jedyne wyjście to makijaż. Godzina durnego gruntowania płótna, a po następnej godzinie i tak przypominasz karpia w galarecie. Już nie wspomnę o tym, że kiedy przekraczasz czterdziestkę, stajesz się dla facetów przezroczysta. Przezroczysta! Przygotuj się.

– Poważnie? – Danka usiłowała obrócić przemówienie siostry w żart, ale ta najwyraźniej dopiero się rozkręcała. – To może ja już kupię sobie balkonik?

– Śmieć się, śmieć – powiedziała złowieszczo Zosia, ale już zaczynała brzmieć lepiej. – Pelargonie to niestety jedyna pewna opcja. Za kilka lat też będziesz mieć na liczniku czterdzieści. A wtedy, chcesz czy nie, przechodzisz na niewidzialną stronę mocy. Mówię ci. Twój target to nagle skapcianałe pryki po siedemdziesiątce. Z podagrą i uwiązdem starczym, nietrzymanie moczu ci daruję, bo słyszę, że coś jesz. Dla nich, proszę bardzo, to ty będziesz małolata. A tobie, jak na ironię, zaczną się podobać młode wilki około trzydziestki, dla których menopauza to program Ministerstwa Edukacji Narodowej. Jakieś pytania?

Danka nabrała powietrza, bo Zosia o pewnym młodym wilku nawijała ostatnio bezustannie, ale po chwili przezornie zamilkła. Swoją drogą, to miło, że profesor tak owocnie współpracował z Muzeum Śląskim. W końcu pojawiła się okazja, żeby zobaczyć obiekt westchnień sfrustrowanej siostry, więc zadbała, żeby na uroczystość pożegnania oddelegowano właśnie ją.

Jeśli nie chciała się spóźnić, powinna już wychodzić.

– Owszem, mam jedno. Czy zderzyłaś się dzisiaj z czołgiem? – zapytała może niezbyt uprzejmie, ale tylko w ten sposób mogła oszczędzić na czasie. – Bo bredzisz, jakby ci lufa przebiła mózg. Poza tym poczytaj sobie o dysmorfofobii. Jesteś klasycznym przypadkiem. Nawet nie chcę myśleć, jakie bzdury będziesz wygadywać po pięćdziesiątce. Ty się faktycznie zaczęłaś starzeć. Umysłowo.

– Bardzo ci dziękuję.

– Ależ bardzo cię proszę. Starzenie zaczyna się w głowie –

stwierdziła z mocą. – I to wiem na pewno, nie muszę niczego przekraczać. Zamiast marudzić, jakbyś była pięć lat przed pomostówką, rusz swoją biedną pokrzywdzoną dupę i zacznij ćwiczyć – oznajmiła, po czym oblizwała łyżeczkę. – Spadnie ci pięć kilo, a resztę ujędrnisz i tyle. A wtedy, owieczko, wilki zmieniają zdanie. Rzeź masz jak w banku, bo od kogoś te bydlaki muszą się uczyć sztuki miłości, nie? Dieta i ćwiczenia, nic więcej. A, i nie ludź się, że schudniesz trzy rozmiary. Kości rozkładają się dopiero w grobie. To słowa otuchy. Żeby nie było.

– Dopiero w grobie? Jak miło z twojej strony – ucięła na pozór chłodno siostra, ale w końcu porzuciła temat. – Dobra, mów, co z tym Dieblem, bo maluję oko.

I proszę, kiedy przychodziło do konkretów, Zosia zajmowała z góry upatrzoną pozycję. A była to pozycja oślicy. Która sama okładała się kijem, ale surową i niskokaloryczną marchewką gardziła; zamiast tego pożerała na noc miskę popcornu.

– Mówię ci, że to jest nasz przodek. Sprawdź link do artykułu, masz go na poczcie – zawiadomiła Danka, szukając wzrokiem torebki. – Może zdążysz przeczytać, zanim przekwitniesz i w końcu cię olśni. Haha! Przecież ze śląskiego to „kradzież”! Iść na haby, łapiesz? A z niemieckiego Dieb znaczy „złodziej”. Pamiętasz, co powiedział przed śmiercią ojciec? Że jakiś nasz praprapra był w mieście ważną figurą i potem musieliśmy zmienić nazwisko. Obiecuj, że w wakacje poszukamy w archiwach dokumentów.

Zosia miała irytujący zwyczaj ignorowania czegoś, co nie było potwierdzone naukowo. A dla Danki postać Louisa Diebla, czyli pierwszego burmistrza Katowic, który nosząc wymowne nazwisko Złodziejski, obrabował po kilku latach urzędowania kasę miejską i zwiął do Ameryki, była od miesięcy tematem może nie najważniejszym, ale na pewno elektryzującym. A już na pewno poruszała w niej żyłkę zawodową. I nie tylko zawodową. Jako osoba praktyczna, Danka widziała z takiego powinowactwa bardzo konkretne korzyści. Wywiady, reklamy, może nawet awans. I książka. Koniecznie książka. Skoro kobiety zarabiają na prezydencie, burmistrz w rodzinie też

obleci. Napisze o tym, jak budził się w niej Diebel, dołączy materiał historyczny, bo zebrała go już całkiem sporo, i parę tysięcy wpadnie. Zosia kompletnie tego nie czuła, ale jeśli teoria się potwierdzi, Diebel mógł być dla nich prawdziwą żyłą złota.

Złodziej.

Wielkie rzeczy.

Może to po nim ma zamienianie cichaczem cen w marketach?

– Zobaczymy – odpowiedziała wykrętnie Zosia, a w jej głosie zabrzmiała jakaś nowa nuta. Zupełnie jakby coś ukrywała, choć nie lubiła przecież tajemnic i intryg. Dziwne. – Jesteś gotowa?

– Gotowa jestem już od rana – zapewniła Danka. – W autobusie co prawda trochę dziwnie na mnie patrzyli...

– Wsiadłaś do autobusu w wieczorowej kiece?! O siódmej rano?

– A miałam ją zapakować do walizki? – spytała, obciągając sukienkę na... biuście.

No tak, ale coś, co jest prawie wkleśłe, trudno nazwać biustem. Jednak w przeciwieństwie do Zosi Danka nie zamierzała się nad pewnymi kwestiami zastanawiać. Nic jej przecież od tego nie urosnie.

– Ubrałam się od razu i zrobiłam furorę w sześć siedem cztery. Mówię ci, szyk i kwik w pegeerze.

– Wyobrażam sobie – mruknęła bez przekonania Zosia.

Jednak pewne cuda trudno sobie wyobrazić.

Danka pożegnała się i przygotowała do wyjścia, zerkając w przelocie na swoje odbicie. W koronkowej sukience, która zachęcająco odsłaniała uda, odwracając w ten sposób uwagę od płaskowyzu na teoretycznym „popiersiu”, czuła się wybornie. I co z tego, że przed wojną nie noszono mini?

Phi!

Ma przecież długie rękawiczki i naszyjnik z pereł, poza tym seks jest i zawsze był modny, bez względu na epokę. „Dodajmy trochę smaczku do historii” – w pracy muzealnika, nie bez przyczyny, to było jej ulubione motto. Więc dodała, a koledzy z działu obsypali ją komplementami.

I jak tu nie mieć dobrego humoru?

Błękitny nieboskłon zasłaniała tylko jedna czarna chmurka. Wspomniana w rozmowie z siostrą walizka. A właściwie skórzana teczka, do której musiała zapakować laptopa i dokumenty – niedziela zapowiadała się, niestety, pracowicie. Jak zwykle to na nią spadło najwięcej obowiązków przy organizowanej przez muzeum wystawie o Wielkich Katowicach. Ale co tam teczka, najwyżej zostawi ją u Zosi w gabinecie. Żadne walizki i inne barachła nie będą jej odbierały dzisiaj wdzięku.

Męski świecie humanistów – drzyj!

5 maja 1929

Westybul tętnił życiem.

Co rusz przebiegali przez niego galopem to oficjele we frakach, to zaaferowani sprzedawcy, dziewczynki z kwiatami, posłańcy, sekretarki, portierzy, nadęci adiutanci, urzędnicy czy zwykli sprzątacze. Rysowali tym swoim dreptaniem koła, przekątne i esy floresy. Stukały pantofle, dzwoniły podbijane podkówkami buciska, tańczyły po posadzce lakierki. Ludzie latali jak pszczoły, a każdy z ogniem w oczach. A każdy przejęty.

Właściciel firmy budowlanej Beniszewski i Ska, pan Ferdynand Beniszewski, przystanął pod filarem i dusząc w sobie przedziwne wzruszenie, żegnał się w cichości ducha z tym pięknym gmachem, który przez ostatnich kilka lat był niemal jego drugim domem, a teraz miał być domem dla całego Śląska. Urząd Wojewódzki. Sejm. Zadarł głowę i popatrując na zdobioną herbami kopułę, chrząknął z zadowolenia. Ponad sześćset pomieszczeń, trzydzieści tysięcy beczek cementu, a dziesięć milionów cegieł to również nie byle co.

Tak.

Kawał dobrej roboty.

Nic, tylko kawał dobrej roboty.

Dopuszcili go do budowy, mimo że z pochodzenia był

Niemcem, i nie pożałowali. Bo też prowadził najlepszy interes budowlany w mieście, a to za sprawą ojca, który od małego kładł mu do głowy, że na wszystko należy mieć samemu baczenie. I tak Beniszewski od kilku lat przychodził tu dzień w dzień i trząsał się nad wznoszonymi murami jak nad kolebką najdroższego dziecka. Pilnował planów, projektów, poganiał terminatorów, kręcił nosem nad każdym kamieniem, nad każdym szalunkiem, i z dumą patrzył, jak gmaszysko rośnie, jak pnie się piętrami w górę, jak kładzie się piętrami w dół. Pomagał, ile tylko mógł. Dzięki swoim koligacjom wyprosił w Wiedniu sztuczny marmur, negocjował stawki z niemieckimi rzemieślnikami, ustalał ugody. Zdawszy się na jego doświadczenie, uradzono choćby, co począć z dawnym kamieniołomem, który z początkiem budowy wyłonił się z ziemi i niejednego zafrasował.

Słowem, zasłużył się.

Ale i budowla mu się wywdzięczyła.

Skrywała najgłębszą, najpilniej strzeżoną tajemnicę rodziny.

Martwił go tylko stary portier. Jak chłopina doszedł, że Beniszewski ma swoje sprawy w podziemiach zachodniego skrzydła, nie wiadomo, ale uczepił się go jak rzep psiego ogona i nie odstępował prawie na krok. I tak od tygodnia. Aż tu dziś – ulga. Stary przepadł. Nie stawiał się w pracy, a nikt z rodziny nie powiadomił dyrekcji o chorobie. Było to tym dziwniejsze, że portier cieszył się na uroczystość i jej wyczekiwał, ale tym bardziej należało skorzystać ze sposobności i rzucić okiem, czy na dole wszystko idzie jak należy.

Beniszewski właśnie zobaczył za drzwiami rzucane do góry czapki, gdy do środka wdarły się wiwaty i pokrzykiwania, a potem zabrzmiała muzyka i tłum zamarł.

Śpiewano hymn.

– Tatko? – Stał na baczność, zamyślony, dlatego nie zauważył, że do holu weszła jego córka.

– Ciii! – upomniał ją, ale sam się rozkaszał.

Hymn w końcu przebrzmiał. Ludzie w holu, których śpiew unieruchomił na miejscu, ruszyli dalej, choć bardziej wyprostowani, godni. Tam, za drzwiami, gdzie powietrze

przebijały piki proporców i flag, znowu zawrzało.

Pod główne wejście zajechał prezydent.

– Co się stało? – wyszeptał Beniszewski i poprawił kieszenie fraka. – Czemu nie jesteś na placu?

– Stąd lepiej widać. I tłum nie napiera – odpowiedziała. – A tatko? Czemu tutaj?

– Idę jeszcze sprawdzić, co tam na dole. Póki nie ma portiera.

– Niech już tak tatko o tym portierze nie rozmyśla. Nie ma o kim.

W słowach córki zabrzmiała pogarda i taka pewność siebie, że zdziwiony uniósł brwi.

– Nie rozumiem.

– Tatko się skarżył, że mu portier do pleców przyrósł, czy się nie skarżył? Martwił się, że przez dziadygę wszystko może się wydać, czy nie?

– No, może i coś tam wspominałem... Ale czemu ty tak, że nie ma o kim?

– A widział tatko dzisiaj portiera? – Córka uśmiechnęła się lodowato i wbiła w ojca spojrzenie pełne satysfakcji, aż przeszły go ciarki.

– Ano, nie widziałem.

– Dlatego mówię, że nie ma o kim rozmyślać. Był portier i nie ma portiera...

Cylinder?!

Co za kretynstwo, już mniejszy problem byłby z kupieniem nocnika.

Mirek Mędrzycki miał twardy orzech do zgryzienia, ale kiedy stanął na placu Sejmu Śląskiego i nabrał powietrza w płuca, a słońce zaczęło palić go w brodę, stwierdził, że życie jest piękne. Nawet w mieście, gdzie trudno o niebo bez kabli i linii wysokiego napięcia. Co prawda komornik pałętał się gdzieś tam w oddali, strasząc licytacją całego majątku, czyli samochodu marki Pierdząca Syrenka (wydębził ją od dziadka i sam wyremontował), ale wrodzony optymizm podpowiadał

Mirkowi, że zawsze może być gorzej. Poza tym właśnie wrócił z gór, gdzie szochrał się potężnie, tak jak lubił. Energia jeszcze w nim buzowała, czuł ją głęboko w lędźwiach, gdziekolwiek one, te lędźwie, były. Eh!

Tylko ten cholerny bal.

Faktycznie bardziej przypominał Indianę Jonesa niż eleganckiego dżentelmena w stylu retro, a na takich imprezach, wiadomo, wszyscy tylko sączyli darmowe wino i się na siebie gapili. Poza tym nie chciał denerwować Zosi, szczególnie teraz. Doskonale widział, że przeżyła ten rozwód, mimo że od dawna z mężem nie mieszkała. Ale znaleźć się na sali sądowej i usłyszeć, że ostatnich dwadzieścia lat życia poszło na marne – średnia przyjemność. On sam prosto z sądu trafił do salonu tatuaży (sowa miała mu przypominać własną głupotę), a potem do knajpy, gdzie ugrzązł przy barze jak świnia przy korycie. Na tydzień. I wtedy stwierdził, że monogamia w dwudziestym pierwszym wieku, który tyle człowiekowi oferuje, to przeżytek. Jak ostatni frajer pilnował rodziny, a później okazało się, że jego obrotną żonę... obracał niejeden.

Tak że póki co żadnych długotrwałych znajomości, w których powietrze ciąży od zobowiązań i rozmaitych aproposów. Facet musi się wyszumieć, a on do tej pory był jak ten uschnięty świerczek w buchającym zielenią gaju. Pieprzyć iglaki! Dęby, tylko smagane wiatrem dęby, rąbanie drew, wióry i zatracenie.

No!

Ale Zosia od samego początku wyzwalała w nim silne emocje. Nawet się cieszył, że ich znajomość przebiega pod znakiem płaszcza i szpady; dobrze było znowu poczuć gorąco w krwiobiegu i nie być zmuszonym do słodzenia i pieszczenia. Chociaż to pieszczenie by się przydało. I jemu, i Zosi. Lubił, kiedy kobieta miała krągłości, i nie zachowywała się jak pokorne cielę. Ale teraz, widział to po ściągniętych brwiach i nadąsanej minie, trzeba było zejść krągłej i niepokornej kobiecie z drogi.

Albo ją pocieszyć.

Pocieszyć próbował, nawet rzucił wyszukany komplementem. Trochę musiał go ukryć, trochę zakamuflo-

wać, bo faktycznie była dla niego niezmiennie urocza, ale skoro od zawsze darli ze sobą koty, nie mógł tak po prostu stanąć i w pełnym słońcu śpiewać serenad. Jednak albo komplement był zbyt grubymi nićmi szyty, albo przekombinował z kamuflażem, bo efekt odnotował przeciwny. Trudno, poprawi się innym razem. Teraz cylinder. I muszka.

Popatrując na kręcących się po placu bezdomnych, którzy za kilka drobnych pomagali znaleźć kierowcom miejsce do parkowania, zaczął przypadkowo wzrokiem o sąsiedni budynek, a tam w oparach papierosowego dymku machała do niego z okna...

Agnieszka!

Że też wcześniej o niej nie pomyślał. Jego kumpela pracowała w Teatrze Korez, który mieścił się gdzie? A otóż po jego prawej ręce, w budynku Górnośląskiego Centrum Kultury zwanego potocznie Białym Domem. Zwaliste blaszane cielsko przytulało się do gmachu wydziału, rzut beretem to za dużo powiedziane. Miał tam rzut czapką z daszkiem. I jak został powitany! Nikt nie przewracał oczami i nie popatrywał spod byka. Agnieszka otworzyła z rozmachem drzwi, zarechotała z uciechy i bez zbędnych ceregieli osiadła mu ufnie na klacie. W chwilę potem dyrektor zajmujący sąsiednie biurko wymienił z nim konkretny uścisk dłoni, wypili przecież razem niejedno piwo.

Nie jest źle.

Teraz pozostało wyłuszczyć sprawę.

– Kochani, pomóżcie – zakwilił żałośnie i skinał głową na okno. Na zewnątrz stały w niewielkiej odległości pomniki dwóch mężów stanu, którym wycięto tym pośmiertnym sąsiedztwem niezły numer. – Wy tu macie garderoby, cudawianki, a ja do szóstej muszę być podobny do Korfantego – oznajmił, ściągając z szyi tamburyn, a jego psina donośnie szczeknęła. – W grę wchodzi też Piłsudski, mnie tam obojętne.

Agnieszka bynajmniej nie okazała zdziwienia, choć przez twarz przemknął jej ledwie dostrzegalny uśmieszek.

– Mirek, zdecyduj się. Korfanty czy Piłsudski? Bo to jednak zasadnicza różnica. Ci dwaj walczyli z sobą całe życie, a ty ich pakujesz do jednego worka?

– Wiem, wiem, polityka. Hm, trudny wybór. Piłsudskiego umiarkowanie podziwiam, ale Kasztanką raczej nie dysponujemy... – zaczął, przyglądając się z rozczerwaniem Goliatowi. – To w takim razie Korfanty. Chcę wyglądać jak Korfanty. Elegancki i wypomadowany. Da się zrobić?

Agnieszka dopiero teraz oceniła szczegóły jego stroju i oględziny musiały wypaść raczej kiepsko, bo wyglądała, jakby mocno w taką metamorfozę wąpiła.

– Bal u profesora? – spytała jednak po chwili znacząco i już nie musiał niczego tłumaczyć. Na szczęście poczta pantoflowa działała. – Pani Haniuuu!

Pani Hania okazała się charakteryzatorką, stylistką i fryzjerką, pastwiła się nad Mirkiem przez następną godzinę. Nie milkła przy tym ani na chwilę, co akurat było pożyteczne, bo przy okazji dowiedział się kilku ciekawych rzeczy. Chociaż informacje okupił cierpieniem.

– Dwudziestolecie międzywojenne – tęsknie westchnęła. Była starszą, korpulentną kobietą, która nie pytając nikogo o zdanie, wzięła fantazyjny zamach i jednym ruchem nożyczek obcięła mu włosy tuż przy karku! – Moja mamusia jeszcze pamięta tamte czasy.

Mamusia mamusią, ale trochę się wkurzył.

Możliwe, że nawet zacharzał z tłumionej złości.

– Co tam? – doleciało niefrasobliwie z góry.

– Moje włosy! Pięć lat je zapuszczałem...

– Co to jest pięć lat, pan jest młody. – Pani Hania wzruszyła ramionami, a Agnieszka pokazała uniesiony do góry kciuk, co akurat wcale go nie pocieszyło. Jej facet był łysy jak kolano. – A na bal retro? Z takimi kłakami? Co pan? Przed wojną mężczyźni nosili się elegancko. Bez kapelusza to w ogóle nie było mowy, żeby wyjść na ulicę. A takie włosy? Chyba że u konia. – Zachichotała zadowolona z dowcipu. – Krótkie, przyszczyżone, to tak. Mama mi opowiadała, a przed wojną była fryzjerką, że panowie je nabłyszczali, dlatego wszystkie sofy miały na oparciach serwetki. – Pani Hania ponownie się rozmarzyła, a Mirek zadrżał ze strachu. Nie bez powodu. Nożyczki znowu poszły w ruch. – Biały Dom tu wtedy nie stał,

stała tu wielka willa. Z pięknym starym ogrodem. Tu był tylko pusty plac i Urząd Wojewódzki. No, i oczywiście kamienice i dzisiejszy Wydział Biologii. A słyszał pan, że nasz budynek, urząd i polonistyka mają wspólne podziemia?

– Naprawdę? – W lustrze zaczynał widzieć obcego faceta, dlatego trudno mu było okazać entuzjazm, choć słowo „podziemia” zabrzmiało intrygująco. – Skąd pani wie?

Nie pochodził ze Śląska, przyjechał tu na studia, potem poznał Edytę i tak już zostało. Jednak historia Katowic zawsze go ciekawiła, bo w jakiś niewytłumaczalny sposób czuł, że jest temu miastu coś winien.

– Kochany, ja jednak trochę lat mam. I pracuję tu od samego początku, a ze sprzątaczkami jestem na ty. Tak że nie raz byłam na dole. Owszem, drzwi są zamknięte, nie wolno wchodzić i tak dalek, ale...

– Pani Hania ma rację – potwierdziła Agnieszka. – Są wspólne podziemia. Urząd to w ogóle ma dwa piętra w dół, wyobrażacie sobie? I cztery podziemne korytarze. Na każdą stronę świata. Żeby w razie zagrożenia ewakuować urzędników.

– Przecież przed wojną tu był Sejm. – Pani Hania bez pardonu huknęła Mirka w plecy. – Prostujemy się, ja trawników nie strzygę.

– Wiadomo, że był. – Automatycznie ściągnął ramiona i z respektem przyjrzał się kolejnemu narzędziu tortur. Na jego oko golarce elektrycznej. – I co z tymi podziemiami?

– A co ma być? Przecież je udostępniają. To znaczy jedno wyjście. Najkrótsze. Nie był pan na dniach otwartych?

– Byłem. Ale nic mi nie wiadomo o czterech korytarzach.

– A jeden z nich to się podobno ciągnie na lotnisko. – Pani Hania zniżyła głos, jakby zdradzała tajemnicę państwową. – Właściwie nie od razu na lotnisko, tylko w kierunku Muchowca. Na cmentarzu jest wyjście. Tak, Katowice niby takie młode, ale swoje tajemnice mają. A korytarze, opuszczonych szybów i tuneli to tu jest pod spodem całe mnóstwo. Drugie podziemne miasto. Uwaga, podgołę tył i zaraz lecimy z brodą. Zostawię panu wąsik, najwyżej jutro pan zgoli. Pieseczka też strzyżemy...?

Lafirynda.

Żeby nie pojechać brutalnie z nazewnictwem.

Aż dziw, że Danką nie zabrała ze sobą przenośnej latarni ulicznej. Inne soczyste wyrazy też pchały się Zosi na usta, bo kiedy zeszła na portiernię wydać ostatnie dyspozycje, przy windzie zobaczyła swoją nieprzewidywalną siostrę, która, sądząc po dumnej minie, miała się co najmniej za królową parteru. Tudzież szatni. A wyglądała przy tym jak...

Zosia na moment zaniemówiła.

Koronka – w porządku, koronki zalewały ostatnio sklepy i wystawy, niech będzie, ale jeśli sukienka sięga kobiecie do pępka? To to już nie jest sukienka, ale gorąca sypialniana szmatka, która z wyobraźni facetów robi durszlak. Tym bardziej jeśli faceci mają przed nazwiskiem „prof. dr hab.”. I jest ich pełna nadęta sala. Na dodatek, o zgrozo, spod koronek wyglądały siostrzyczce brzegi samonośnych pończoch, a sznury pereł lśniły tak, że przed wejściem do auli powinno się rozdawać dostojnym gościom okulary przeciwsłoneczne.

Cudownie, po prostu cudownie.

– Boże, dopomóż. Jak ty wyglądasz? Chodź, musisz się przebrać. – Zaczęła w popłochu ciągnąć Dankę w kierunku schodów, bo przez szklane drzwi zobaczyła gromadkę kolegów. Był tam i profesor, który zaczął do niej energicznie machać. – Szyk i kwik w pegeerze... Mogłam się domyślić. Przecież to jest impreza uczelniana, a nie gminne disco!

– Ale czego ty chcesz od mojego wyglądu?! – Danką uczepiła się ze wszystkich sił poręczy, stawiając tym samym czynny opór.

– Powiem tak... Dziewczyny z Mariackiej mają mniej fantazji.

– Z Mariacką przegiełaś – obruszyła się siostra. – Jesteś po prostu zazdrosna. I gdzie mnie, wariatko, wleciesz, przecież rozerwiesz mi sukienkę. Zostaw!

Zosia była jednak stanowcza.

Argument Danki, jakoby słowo „bal” nie oznaczało ostatniego

pożegnania w kaplicy, zbyła milczeniem. A w gabinecie siłą wcisnęła ją w swój brązowy płaszcz. Na ten widok Danka prawie zaczęła pluć ze złości, wykrzykiwała coś o ograniczeniu umysłowym i hipokryzji, ale Zosia nie zostawiła jej czasu do namysłu. Owszem, płaszcz dużo lepiej prezentował się na wieszaku niż na Dance, ale teraz jej siostra wyglądała po prostu jak kobieta, a nie jak kobieta lekkich obyczajów. I jaka hipokryzja? Wycucie dobrego smaku, ot co.

Na salę weszły jako ostatnie. Zosia nie chciała przeszkadzać i przeciskać się do swojego miejsca za stołem, mimo że widziała, że profesor szuka jej wzrokiem. Przysiadła z Danką w ostatnim rzędzie i tam przeczekwała oficjalną część uroczystości. Po przemówieniach rektora i zaproszonych gości, po podziękowaniach, występach studentów i wręczeniu kwiatów można było wreszcie przejść do kawiarenki, gdzie czekał poczęstunek.

Na tym etapie szaleństwa Danka skorzystała z zamieszania i zniknęła gdzieś bez słowa, a Zosię dopadł profesor. Przecisnął się do niej w tłumie, a minę miał przy tym nieco obrażoną. Choć raczej udawał obrażonego, w jego wyblakłych oczach błyskały dobroduszne isierki.

– Już myślałem, że mnie pani porzuciła.

– Pana? Porzucić? Niemożliwe. Co ja bym bez pana zrobiła?

– powiedziała przymilnie, bo darzyła go szczerą sympatią.

– Kokietka... A właśnie, gdzie przepadł nasz Mirek?

Zosia rozejrzała się nerwowo, bo myślała dokładnie o tym samym. Może jej asystent poszedł po rozum do głowy i jednak darował sobie dzisiejszą imprezę? Nawet sprawdzała przed chwilą komórkę, ale skrzynka odbiorcza była pusta. A Danka? Gdzie ją, gangrenę jedną, poniosło?!

– Mędrzycki? Pewnie zaraz przyjdzie... I jak się panu podobała uroczystość?

– Aaa, takie tam dyrdymały. – Profesor machnął ręką, choć widać było po nim wzruszenie. – Ale jednego pani nie daruję – zagrzmiał. – Tego, że pani sobie ze mnie zażartowała. Ukryła pani przede mną taką wiadomość. – Pogroził jej palcem. – Pamięta pani tę skrzyneczkę pełną starych dokumentów? Dała

mi je pani do przetłumaczenia przed rokiem.

Pamiętała, nawet zamierzała o tym wspomnieć przy najbliższej okazji. Kuferek dostała od ojca jeszcze przed jego chorobą i obiecała, że uporządkuje papiery, które podobno dotyczyły rodziny, ale potem zaczął się ten straszny czas w jej małżeństwie i do niczego nie miała głowy. Minęły lata. Mały kuferek obity po bokach srebrnymi listkami znalazła dopiero, kiedy przeprowadzała się na Chorzowską. Tyle że dokumenty w większości zostały napisane po niemiecku, dlatego poprosiła o przysługę profesora, który był dwujęzyczny.

Mniej więcej wtedy Danka zachorowała na doszukiwanie się związków między Habami a tym całym Dieblem. Może więc doskonale się składało, że jej siostra nie wiedziała o istnieniu kufereka. Z pewnością zaniósłaby go do muzeum i nawet jeśli Diebel faktycznie wpisał się w krajobraz rodziny, całe Katowice nie dowiedzą się tego z wystawy zatytułowanej „Złodziej w rodzinie pani kustosz”. Danka dostanie papiery tylko do wglądu. I to w jej obecności.

– Pamiętam, oczywiście.

– I pewnie myślała pani, że stary dał ciała? – Profesor uwielbiał się przekomarzać, wplatając w rozmowę potoczne powiedzonka, mimo że jego polszczyzna była na co dzień godna podziwu.

– A nie dał?

– Pani Zosiu, pani wybaczy, ale kto by chciał takie ciało? Toż to zwłoki. Co z tego, że duch młody, niespokojny. – Westchnął z udawanym żalem. – Ale wracając... Spędziłem nad tymi szpargałami wiele wspaniałych wieczorów. Ta skrzyneczka skrywa niejeden skarb. Dziewiętnastowieczne pamiętniki, listy, bileciki i wycinki prasowe. Poezja, mówię pani, poezja. I sensacja!

– Sensacja? W jakim sensie?

Profesor krygował się, nie chciał na razie niczego zdradzać. Zamiast tego przeprosił ją i podreptał do gabinetu. Zapewne po kuferek.

Wtedy wydarzyły się dwie rzeczy.

W okolicach baru ujrzała swoją siostrę (bez płaszcza!)

otoczoną wianuszkami profesorów, którzy nie wiedzieli, co począć z oczami, a mijająca Zosię antypatyczna baba w sukience z marynarskim kołnierzem uśmiechnęła się na jej widok obłudnie i wykrzyknęła:

– O, to ty? Miło cię znowu widzieć.

Kiedy Zosia wreszcie skojarzyła, że babsztyl pracował wiele lat temu w katedrze gramatyki, do kawiarenki wszedł...

Rhett Butler?

Podobieństwo do aktora rzucało się w oczy, choć facet był dużo młodszy i Przemięło z wiatrem jeszcze mu nie groziło. Brunet. Tak, bruneci coś w sobie mają, to na pewno, co zaraz potwierdziła reakcja damskiej części towarzystwa. Po salce przetoczyła się fala zaciekawienia, powietrze zadrgało od poprawianych loków i po chwili nie było już w kawiarni kobiety, która nie dźgnęłaby przystojniaka spojrzeniem. Zresztą nie ma co ukrywać, koledzy naukowcy to stworzenia wątle i chorowite. Żle znoszą światło dzienne, ilość drzemającej w nich męskości bynajmniej nie miażdży, tak że otrzeć się tu raczej nie było o kogo. Jeśli przy tym uwzględnić teorię dotyczącą męskiego nosa, którego rozmiar rzekomo mówi o szczęściu albo tragedii – nowy gość stanowczo deklasował obecnych na sali panów, bo kinol miał wydatny i dający do myślenia.

Ale kobiety potrafią docenić także inne szczegóły. Choćby wyrafinowany wąsik, dywizkę przy kamizelce albo lakierki z guziczkami. Do tego Butler był wysoki i postawny, a we fraku i białej koszuli zwieńczonej zabójczą muszką wpisywał się w wymogi retro wręcz idealnie. Tylko czemu ten kawiarniany dzolero ciągnął za sobą Goliata, któremu ktoś przymocował do łebka miniaturowy cylinder?

Zosi zakręciło się w głowie.

Jakąś częścią świadomości zarejestrowała, że Danką zaczęła skutecznieć pod barem godowy rehot (seksowna i donośna modulacja), a Butler właśnie ją, Zosię, wypatrzył w tłumie, uśmiechnął się promiennie, aż w policzkach pokazały mu się dołeczki i wtedy zrozumiała.

Mirek!

Przecież to Mędrzycki we własnej osobie.

Stres w końcu zrobił swoje. Zosia biegała od rana bez śniadania, nadzorując próby studentów, pilnując cateringu i zamawiając kwiaty. Cieszyła się z tego nadprogramowego ruchu, liczyła spalone kalorie, a potem celowo zrezygnowała także z obiadu i właśnie teraz poczuła, że opada z niej całe napięcie. Że z trudem łapie powietrze, że nie ma już siły walczyć z Danką, że znajoma gramatyczka... Czego ona chciała?

Baba właściwie oceniła uśmiech przeciskającego się do nich przystojniaka, omiotła Zosię mało przyjaznym spojrzeniem i macając ją znacząco po brzuchu, z czystej zawiści gromko oznajmiła:

– Moje gratulacje, kochana! Jesteś naprawdę odważna. Cięża w tym wieku to prawdziwe wyzwanie.

Zosia poczuła oblewające ją zimno, zapamiętała zdumienie w oczach Mirka, a potem z wdziękiem szynki rzucanej na ladę gruchnęła w dół, na linoleum.

Prawie jak wątyły kwiat.

Z tym że scena omdlenia zakończyła się niezbyt romantycznie, bo najpierw poczuła na ustach coś przyjemnie ciepłego, ale kiedy w jej głowie powstała rozkoszna myśl o sztucznym oddychaniu, pojęła, że po tym języku nie należy spodziewać się penetracji. Należał do Goliata.

– Otwórzcie okno! – zabrzmiał w oddali głos profesora.

– Zosia, ja cię proszę – zawodziła Danką. – Może ja jej zrobię usta-usta? Bo jej się zaraz niedotleni mózg.

– Zosiu, obudź się. Zosiu – usłyszała tuż obok zdumiewająco troskliwy głos Mirka i poczuła, że czyjeś silne ręce...

Tylko bez podnoszenia ciężarów! Jeszcze ktoś tu dostanie przepukliny, wypadnie mu dysk, a wszyscy zobaczą jej średnio apetyczne uda, bo już czuła, że podwija jej się sukienka.

W jednej chwili oprzytomniała.

– Żyję – zapewniła, choć słabo, i spróbowała usiąść. – Mędrzycki, zabieraj te swoje... ręce. Nic mi nie jest. Tylko od rana nie jadłam.

Zaraz ktoś zaczął przynosić ze stołu ciastka i owoce, ale Mirek zaprotestował. Oznajmił, że zaprasza swoją szefową na

porządną kolację. Profesor przyklasnął pomysłowi i nawet odprowadził ich do windy, wręczając Zosi na pożegnanie kuferek, a Mirkowi butelkę wina o dziwnym, powyginanym kształcie. Kiedy obiecali, że wypiją jego zdrowie, uściskał wszystkich po kolei, jednak dziwnym trafem najdłużej miętosił Dankę. Ta poddała się wyrazom sympatii bez protestu, chociaż od tachanej w rękę wielkiej teczki ściągało ją na lewą stronę.

Po wyjściu z budynku Mirek przejął dowodzenie. Odebrał kobietom ciężary i wyraził żal, że nie zabrał syrenki. O dalekich wycieczkach z bagażami nie mogło być mowy, stanęło więc na Żłotym Ośle, niedaleko starego dworca.

I wtedy Zosia przypomniała sobie, że profesor niczego jej nie wyjaśnił.

Jaka sensacja?

I co niby przed nim ukryła?

Jutro, zadzwoni do niego jutro.

A póki co, Danką nawijała przez całą drogę o pracy w muzeum, Zosia mogła więc przyjrzeć się dyskretnie Mirkowi, bo cała sytuacja wprawiała ją w zakłopotanie, żeby nie powiedzieć: szaleńczo peszyła. Odmieniony Mędrzycki podobał się jej jeszcze bardziej. Tak bardzo bardziej, że nie wiedziała, jak się zachować. Opieprzać faceta z tamburynem na szyi – żaden problem. Ale zrównać z ziemią mężczyznę we fraku to już wyższa szkoła jazdy.

I jak on to zrobił?

Podstępny gad, odgrywał błędzącego po górach harcerzyka, a pewnie wszystko wcześniej zaplanował i w duchu pękał z uciechy. Jak to leciało? Coś ze światem, że się przeobraża. Że tonie w wiośnie, kobiety pięknieją, a ona...

NIEZMIENNA!

Jak w ogóle można coś takiego powiedzieć?!

Rhett Butler za lakierki targany.

Zwykły smarkacz!

Kiedy dotarli do Ośla, Zosi było jeszcze przykro, jeszcze popatrywała na Mirka z ukosa, jednak zdążyła jako tako ochłonąć. I postanowiła, że dziś wieczorem zje nie tylko zapiekankę ze szpinakiem, ale najzwyczajniej w świecie obali

flaszkę.

Przecież żeby się odchudzać, trzeba skądś czerpać siłę.

A Mędrzycki dla niej nie istnieje.

Trudno, zostają jej tylko pustka, popcorn i emeryci.

Już przy stoliku wzięła w objęcia podarowaną przez profesora butelkę, ale spośród niemieckich napisów na etykiecie zrozumiała tylko jeden.

Rok produkcji: 1929.

Jej siostra od razu wyłapała ten szczegół: uwielbiała wino.

– No, no, tysiąc dziewięćset dwudziesty dziewiąty? Jak na zszarganie ryja zapowiada się całkiem nieźle!

– „Chyba tłumię złość”. – Danka przeczytała egzystencjalny napis na dykie, którą zabito okna starego dworca, i oczywiście się z niej wylało. – Dlaczego, ja się pytam, takie piękne budowle niszczej?

Kompleks przy ulicy Dworcowej nawet teraz mógł się podobać, mimo że jego uroda przebrzmiała nie tylko ze względu na upływ czasu, ale również dlatego, że eleganckiemu, secesyjnemu budynkowi jakieś architektoniczne tępaki dołożyły przed wojną dwa piętra. Ni z gruszki ni z pietruszki, byle „rzuć pan cegłę” i z głowy.

– Niszczą, bo jest kilku właścicieli – odpowiedział Mirek. – I chyba średnio się dogadują.

– A ja bym chciała zobaczyć ten dworzec w czasach świetności – marudziła Danką, która w dziejach budowli była doskonale zorientowana. – Kilku. I co z tego, że kilku? Ja bym ich z przyjemnością zmusiła do zgody. Jakoś tak po staropolsku. Nie wiem. Obcięła rączki i nóżki, wydlubała oczka...

– Zdaje się, że ktoś tu marzy o publicznych egzekucjach. Nie te czasy. To może w ramach szargania zaproszę was do siebie?

– Mirek zmienił temat i strzelił oczami w Zosię. Była niepokojąco cicha.

– W taki piękny wieczór siedzieć w domu? Zosia? – Danką

wydziała siostrze kuksańca, po czym jak gdyby nigdy nie dyskretnie poprawiła pończoszkę. – Eleganckie towarzystwo idzie się znietrzeźwić, zajmij stanowisko. Gdzie by tu...?

– Najlepiej by było na starym dworcu. – Zosia pokazała na mijaną właśnie halę, jednocześnie unikając wzroku swojego asystenta. – Szkoda, że jest nieczynny. To może pójdziemy na nowy?

Betonowy kolos do niedawna zwany w mieście pieśczośliwie Brutalem doczekał się lepszego losu niż jego poprzednik. Został w zasadzie zbudowany od początku, osadzony na nowych kielichach i z dumą rozpierał się teraz w centrum miasta. Dla ducha komunizmu było tam za czysto i za jasno. Poszedł precz.

– Z winem rocznik dwudziesty dziewiąty? Na nowy? – Danka wydeła usta. – Kompletu ręczników raczej nie zamierzamy kupować – stwierdziła, mając na myśli galerię handlową, z którą był połączony nowy gmach. – I gdzie chcesz grać w butelkę, pod kasami?

– W jaką znowu butelkę? – W głosie Zosi słychać było potępienie. – Zgodziłam się na wino, a nie na jakieś durne gry.

– Skąd ty się na tym świecie wzięłaś, to ja nie pojmuję... In vitro przecież jeszcze za Gierka nie grali. – Danka wzniosła oczy ku niebu, a następnie pociągnęła całą gromadę pod kino Rialto, za którym znajdowało się wejście na legendarny peron piąty.

Po drodze zdążyła konspiracyjnie puścić do Mirka oko. Trzeba pomóc losowi, bez dwóch zdań. Inaczej Zosia skończy jako nobliwa i nieszczęśliwa pani profesor, bo równowagi między szaleństwem a statecznością nigdy nie potrafiła wyczuć, biedaczka.

Nie to, co ona, Danko.

Bo w życiu powinno się pracować, żeby żyć, a nie odwrotnie.

Na szczęście Mirek właściwie odczytał znaki. Zaraz przyspieszył i uśmiechnął się w ciemnościach tak, jakby otrzymał nagrodę ministra oświaty: miał nadzieję na więcej.

– Maj, wiosna, księżyc – wyliczała Danko, zerkając przy tym wymownie na siostrę. – Wino jest jedno, nas trójka, to będzie moment. I co potem chcesz robić? Wracać do domu i oglądać

telewizję? Chociaż tyle dobrze, że wybiłam ci z głowy kupno szydelka... Państwo przodem! – Wykonała teatralny wymach ręką, trafiając w Wojewódzką, gdzie zaraz na początku ulicy natknęli się na błękitną tablicę z napisem: „Dojście do peronu 5”.

– Da dam!

Był to jedyny zachowany peron starego dworca, który po dziesiątkach lat oddano pasażerom. Z tym że na początku oddano tylko teoretycznie: w rozkładzie jazdy. Zziajani podróżni po dotarciu na miejsce zastawali tu nicosć i napis: „Zakaz wstępu. Remont”. Oczywiście wybuchła afera. O Katowicach i peronie rodem z Harry’ego Pottera pisała cała Polska, choć dla Danki „peron-widmo” był po prostu smaczkiem w komunikacyjnym pejzażu miasta. Znajdował się w sporym oddaleniu od głównego dworca i żeby do niego dotrzeć, trzeba było najpierw wyjść tunelem na ulicę Konopnickiej, a stamtąd właśnie na Wojewódzką. Ary i hektary, o metrach nie mówiąc. Zwiedzanie w pakiecie, ale tabliczek brak.

Tak wyglądało to kilka lat temu.

Dzisiaj peron lśnił nowością i był doskonale oznakowany, a poza tym, czy jakieś inne miasto mogło się poszczycić taką perełką? Sława miejsca nie przemijała, mieszkańcy przychodzili tu na spacer, jakiś zapaleniec stworzył nawet odpowiednią stronę na Facebooku.

Pewnie.

Jak już spędzać zakrapiany winem wieczór, to przynajmniej w niebanalnej scenerii.

– Na peronie? – zapytała z powątpiewaniem Zosia, ale Mirek znalazł się tuż obok i przekazawszy jej smycz z Goliatem, nadstawił szarmancko ramię. – Nie boicie się, że dostaniemy mandat?

Danka westchnęła. Zosia wykrzywiła się szkaradnie i widać było, że wolałaby wziąć pod rękę trędowatego niż tego młodego wilka. Postanowiła, że zaraz udzieli jej na stronie porządnej reprimendy.

Utrącać takie chęci?

– Pani pozwoli. – Mirek uklonił się również i przed nią, ale mu darowała, w końcu tachał walizkę, a w ręce, którą prowadził Zosię, niósł jeszcze jakiś kuferek.

Kuferek?

Chwila i momenty, czy ona już tego cacka gdzieś nie widziała?

Zastanawiała się nad tym całą sekundę, bo nocna wycieczka przebijała wszystko. Danka uwielbiała stare budowle i uwielbiała swoje miasto. Taki bzik, co zrobić. A tuż za kinem znajdowała się interesująca pozostałość dawnej gazowni – okrągły zdewastowany budynek, który w mdłym świetle latarni robił jednak upiorne wrażenie. Potęgował je dobywający się ze środka złożony bukiet zapachowy.

Chciała swoim zwyczajem ponarzekać, ale zaraz skręcili w lewo, potem jeszcze parę metrów chodnikiem i już byli na miejscu. Teraz nastąpiło coś, co kazało Dance zmienić zdanie o yorkach, które dotąd uważała za psy głupie i hałaśliwe. Zdecydowanie wołała koty.

– Goliat, czatuj! – Mirek bez uprzedzenia wydał rozkaz, a popiskująca kupka sierści zwarła się, nastroszyła, po czym dała susa w pobliskie krzaki.

– He? – Danka nie ukrywała zdziwienia, ale jeszcze nie rozumiała. Zosia również. Porzuciła ramię swojego asystenta i stanęła przy siostrze. – Że niby poszedł sobie siknąć?

Mirek zarechotał.

– Pewnie skorzysta z okazji. Ale jak tylko ktoś się pojawi, Goliat da nam znać. Możecie zapomnieć o mandacie. I co? Zaskoczone?

Ironicznie przekrzywiona szczęka Zosi mówiła, że jej właścicielka rozważa właśnie, czy Mirek nauczył swojego pupila także odróżniać policjanta od zwykłego pijaczka, ale do akcji wkroczyła Danka i kopnęła siostrę w kostkę.

Może faceci mają z psami podobnie jak z samochodami?

Jeździ taki maluchem, a nazywa go Mściwym Tygrysem, ciągnie na smyczy tchórzliwego pokurcza, a...

Weszli na peron.

Maj zawitał nawet tutaj.

Latarnie sęczyły zielonkawe światło, przestrzeń znaczyły słupy i semaforey, a pociągi czekające na bocznych torach przypominały w ciemności martwe owady. Było niby cicho, ale od szyn szły cichutkie syki i grzechotania, w oddali dudniły megafony, trzeszczały składy, a swoje trzy grosze wtrącały także świerszcze dające koncert na sąsiednim parkingu. Ponad torami wisiało zaróżowione niebo i nie można się było oprzeć wrażeniu, że ktoś rzucił na nie delikatną, czarną koronkę. Niby zwykła sieć trakcyjna, ale tworzyła w górze skomplikowane wzory i mereżki.

Powietrze pachniało świeżą trawą i spalinami.

Zosia poczuła się nagle niesamowicie błogo. Zapomniała o kłopotach, rozwodzie, uczelni i czymś, co ją ostatnio prześladowało: o kilogramach sadła, o zmarszczkach i sfilcowanej szyi; słowem, o złudzeniach. Teraz nasłuchiwała odgłosów centrum schowanego za starym dworcem i chłoneła zapach, którego nie dało się pomylić z żadnym innym.

Zapach wiosny w mieście.

A może Danką miała rację? Po co do wszystkiego podchodzić tak śmiertelnie poważnie? Po co napinać żyłkę, szarpać się, skoro zwykły wieczór na peronie daje człowiekowi więcej radości niż Sekrety chirurgii czy studiowanie Jacobsona.

Było tak, jak powinno być.

Siedzieli sobie kulturalnie na ławeczce i raczyli się wybornym winkiem, a czas płynął tak rozkosznie leniwie, że Zosia pod wpływem swoich ostatnich rozmyślań niby bez związku oznajmiła:

– Nie chcę hodować pelargonii.

Determinacji, jaka zabrzmiała w tych słowach, nie zrozumiał jedynie Mędrzycki.

– A musisz?

– A czy kobiety w pewnym wieku mają inne wyjście?

– Czasem najlepsze wyjście to wyjście na kawę. – Uśmiechnął się szelmowsko pod wąsikiem, ale zaraz spoważniał. – Ale jak już coś musisz hodować, polecam króliki. Drewniana buda na

balkonie i szafa gra. Latem sypniesz trochę mlecza czy innych chwastów, a zimą masz pasztet i futerko.

– Czy mógłbyś nie wypowiadać w mojej obecności słów na p...? I na g? – dodała po chwili. – Bardzo cię proszę.

– P jak pasztet, przyjąłem. Ale na g? Co jest zakazanego na g?

– Grejpfrut, glikemiczny indeks... – Zosia z miną męczennicy zaczęła wyliczać to, co kojarzyło jej się z dietą, tuszą i zdrowym odżywianiem.

– Ginekolog – ochoczo uzupełnił listę Mirek.

– Nie, czemu ginekolog?

– Przecież jest na g.

– Ratunku! – jęknęła Zosia, patrząc przy tym rozpaczliwie na siostrę, ale ta ani myślała się wtrącać.

– Indeks glikemiczny? – powtórzył w zamyśleniu, a potem przestraszony zapytał: – Masz cukrzycę?

– Mędrzycki... Nie, nie mam cukrzycy.

– Ufff, to zostaje tylko jedno, chociaż nie wiem, czy nie lepsza cukrzyca. Odchudzasz się, jak te wszystkie nawiedzone celebrytki. Zgadłem?

– Nie jestem żadną celebrytką!

– W tym rzecz. Jak by ci to obrazowo wytłumaczyć... – Udał, że się namyśla, ale był mistrzem w znajdowaniu idiotycznych porównań. – Wiesz, czemu Victoria Beckham nie gra na waltorni?

Danka zachichotała.

– O ile pani doktor orientuje się, co to waltornia – zakpił po swojemu i Zosia jednak poczuła ulgę. Nie łudźmy się, ten podrabiany Butler to Mędrzycki. Jej asystent. Gad i pyszałek. Który zawsze miał inne zdanie niż reszta świata i jeszcze się tym chełpił. – Może inaczej. Fletnia Pana. Wiesz, czemu Victoria Beckham nie gra na fletni Pana? Nie wiesz? To ja ci powiem. Ona, bidulka, nie ma na to czasu. A wiesz, czemu nie ma czasu?

– Bo prowadzi ciekawe życie?

– Nie. Ona nie ma czasu, bo musi wyglądać. I to jej ciekawe życie podporządkowane jest tylko temu. Osobisty trener, fryzjer, kucharz, kosmetyczka, chirurg plastyczny – wyliczał ze

smakiem. – Wszystko osobiste. A już najbardziej konto bankowe pękające w szwach. Tylko że potem taka wymęczona panna staje w świetle reflektorów i robi was w konia. W efekcie miliony naiwniaczek marzą o dziecie cud, a każda dieta kończy się jojem. Udowodnione naukowo. Ale czemu ja się dziwię waszej logice – pokręcił z politowaniem głową – czy raczej brakowi logiki?

– Po co mi to wszystko mówisz? Może nie wyglądam, ale wyobraź sobie, że nie czytam kolorowych pisemek – próbowała się bronić Zosia, ale musiała przyznać, że jej irytujący asystent miał sporo racji.

Faktycznie, jeśli tak na to spojrzeć... Jakiś szal z tym wyglądem. Nie wyglądasz młodo, wypadasz z gry. Wygląd, ciągle tylko wygląd, nawet mężczyźni zaczęli ulegać tej histerii. Idealny rozmiar modelki to trzydzieści cztery, wszystko, co powyżej, kreatorzy „kreują” jako otyłość. A przecież trzydzieści cztery... Taka panna zmieściłaby się do walizki Danki i jeszcze zostałyby miejsce na laptopa! Ciekawe, co powiedziałyby na to Sophia Loren u szczytu popularności. Ale nawet Sophia chciała zniewalać. Co w tym złego, że kobieta chce być atrakcyjna?

Mirek spojrział na nią krytycznie, jakby czytał jej w myślach.

Nie znosiła tego wzroku.

Była od niego starsza, a traktował ją jak gimnazjalistkę.

– Dobra, w porządku, nie czytasz – zgodził się, choć jego mina mówiła co innego. – Tyle że dzisiaj nie ma zbytnio możliwości, żeby nie oglądać i nie słuchać, a ideał tworzą kobiety nieszczęśliwe i bogate. Wiesz, ile ma lat Demi Moore albo Sharon Stone? Tyle, co dobry ser. I takie są w środku. Stare i przejrzałe. Bo, z tego, co się orientuję, botoks działa tylko na powierzchni. Więc ja się pytam. Masz na to wszystko kasę? I czas? Bo one jadą z tym obłędem dwanaście godzin na dobę.

Zosia wzniosła oczy do nieba, ale trafiła jedynie na dach wiaty, więc czym prędzej upiła łyżeczek wina, a Danka przyjrzała się Mirkowi z uznaniem, po czym zerknęła na minę siostry i parsknęła śmiechem.

– Co? – Udał obrażonego, ale najwyraźniej dobrze się bawił.

A już na pewno był z siebie zadowolony. Lubował się w wykładach i monologach, nieprzypadkowo wylądował na uczelni. – Wybaczcie kazanko, ale podpuszczacie mnie jakimiś swoimi babskimi kodami, pelargoniami i grejpfrutami, zamiast powiedzieć jasno i wyraźnie.

– Ale co: jasno i wyraźnie? – Zosia, o dziwo, nie straciła od tego przemówienia humoru. Wręcz nabrała ochoty, żeby się jeszcze z Mirkiem poprzekomarzać.

– Powiedz jasno i wyraźnie, czego chcesz. Po prostu – powtórzył i zabrzmiało to prawie jak wyzwanie.

– Ale ja chcę wielu rzeczy – odparła wymijająco i pogładziła frędzle sukienki, a obserwująca scenę Danka niemal podskoczyła na ławce z uciechy.

Pieszczenie frędzelków, aha, tak to się zaczyna!

– Rzeczy... Materialistka. Powiedz, czego chcesz najbardziej – nalegał.

– A to najbardziej może być głupie? – Zosia zachichotała, bo wino naprawdę jej smakowało.

– Nawet lepiej, że głupie. Może być, jakie chcesz.

– Chciałbym... chciałabym mieć znowu dwadzieścia lat. Albo trzydzieści – wyznała najpierw trochę nieśmiało, ale zaraz dmuchnęła we wchodzące jej do oka piórko, i nabrała odwagi.

Noc była coraz wspanialsza, coraz gęstsza, a na stygnącym po słonecznym dniu peronie powolutku zaczynała się tworzyć warstewka mgły. A właściwie pary wodnej, która laskotała ich po nogach strzępiastymi językami.

– Chciałabym, żeby mi było lekko. Lekko i wesoło. Żeby... żeby wszystko działało się inaczej. Żeby w ogóle coś się działo!

Mirek wcale nie spojrzał kpiąco, ale czy taki smarkacz mógł wiedzieć, co znaczy wracać do domu i patrzeć w ścianę? Przycisk w windzie miał bogatsze życie towarzyskie niż ona.

– A ty? – zapytał dla odmiany Danke.

Ta nie miała żadnych wątpliwości.

– Biust – strzeliła od razu z fantazją i wypięła się tuż pod jego nosem. – Ile mu dajesz?

– Eee...

– No właśnie, że nie E. Niestety. Marne A, i to na wate.

Chciałabym mieć... – Tu ułożyła dłonie w kształt dorodnych dyń i z uznaniem nimi potrząsnęła. – Dwa meteoryty. Władzę nad waszymi żądzami. Chociaż na moment. Na chwileczkę. I wtedy mój biust wjeżdża na Stawową do McDonalda, a po kwadransie dołączam ja i wszystko przeterminowane. To uczucie...

Danka zapaliła się do swojej wizji i szukała właściwych słów, a wtedy Zosia spojrziała na Mirka po raz pierwszy tego wieczora bez uciekania wzrokiem w bok, bez ześlizgiwania się spojrzeniami na muszkę czy kamizelkę.

– A ty, Mędrzycki? Czego byś najbardziej chciał?

Mirek nie odpowiedział.

Nie dlatego, że nie miał pragnień, ale dlatego, że od strony nastawni nadbiegał w kłębach pary Goliat. Przebierał radośnie łapkami, wywalał jęzor, ale kiedy znalazł się przy swoim panu, zaskomlał w tak szczególny sposób, że Mirek od razu zorientował się w sytuacji.

– Zwiewamy! – syknął i chwycił stojącą obok walizkę, a kuferek przekazał Zosi.

Gdyby ktoś teraz zawiadomił je o wybuchu trzeciej wojny światowej, nie wywołałby większego poruszenia.

Jak to zwiewamy?

Dokąd?!

Przecież nie będą pomykać po torowisku, z prawej strony znajdowało się ogrodzenie i parking, a z tyłu... Zosia z Danką wyrzwały spłoszone zza wiaty.

W kuli światła, która powstała pod latarnią, stanęło trzech roślących dryblasów. Ubrali byli tak samo: w czarne uniformy i żołnierskie buty i tak samo napinali karki. Na policjantów jednak nie wyglądali. Czyżby Straż Ochrony Kolei? W krokach mężczyzn nie było wahania, co wskazywało, że kiedy na peronie w najlepsze trwała degustacja, gdzieś tam w głównej bazie dowodzenia oglądano ich sobie na monitorach. Jakżeby inaczej, przecież to niemożliwe, żeby na peronie nie zainstalowano kamer.

– Szybko, tamtędy! – Mirek wskazał kierunek i popchnął je w stronę blaszanej budy stojącej na skraju peronu. Nie było

w niej najmniejszej dziury, drzwi również zastali zamknięte, więc kiedy wróg znikł w okolicach ławeczki, Mirek wydał następną komendę:

– Biegiem, do uporka!

Choć chwila nie była zbyt odpowiednia, Zosia z Danką zbaraniały. A potem wykrzyknęły jedna przez drugą coś, z czego wynikało zasadnicze pytanie:

– Co to jest douprek?!

Jednocześnie Zosia zaczęła rozważać, czy zapłacenie mandatu nie jest jednak bardziej komfortowe niż odstawianie szopek w ciemnościach, za to Danką dostała dla odmiany ataku śmiechu.

– Tu jest ślepy tor. – Mirek pokazał ręką na krawędź peronu, ale i on walczył z rozbawieniem. Pojął nagle, jak to musi wyglądać z boku. Facet w lakierkach ciągnie ze sobą psa i walizkę, a za nim pomykają dwie odpicowane jak na wesele panny. – To drewniane bydlę to upрек. – Pokazał na koniec toru, gdzie w bielach i czerwieniach pysznił się kozioł oporowy. – UPOREK. A dalej są schodki i jakieś magazyny. Tam się schowamy.

Towarzystwo ruszyło do uporka, owszem, choć z chwili na chwilę zaczynało mieć coraz bardziej szampański nastrój.

Zosia również.

Dobra, zapłacą ten mandat, wiadomo. Ale czemu się przedtem nie zabawić? Sytuacja była naprawdę komiczna, ją także powoli zaczynał boleć ze śmiechu brzuch. A kiedy usłyszała policyjny gwizdek i okrzyk „Stać!”, pani doktor literatury współczesnej naprawdę musiała przystanąć. Żeby nie popuścić.

Uporka dopadli we trójkę i wtedy Danką pośród chichotów oznajmiła, że jeśli ci trzej nie znajdą przy nich butelki, niczego im nie udowodnią.

Wyrzucić, pozbyć się dowodu winy!

Trzy ręce sięgnęły jednocześnie...

– Wiesz, czego bym najbardziej chciał? – wyszeptał Mędrzycki gdzieś w okolicach szyi Zosi, ale jego głos stawał się coraz cichszy, coraz mniej wyraźny. – Żebyś mówiła do mnie

„Mireczku”.

W świetle lampy załśniło powyginane szkło, błysnął też rok, który zaczął się dziwnie wykrzywiać, chwiać, rozmazywać, a cała trójka poczuła nagle, że ich ręce przyrosły do butelki, że wino smakuje czarną porzeczką, że wszystko wiruje, że upрек, muszka, kuferek...

1929.

Znowu gwizdek.

I tym razem głos z megafonu.

– Pociąg dalekobieżny Kolei Śląskich relacji Katowice-Wielkie Katowice odjeżdża z peronu piątego!

Od szyn szły cichutkie syki i grzechotania, trzeszczały składy, a swoje trzy grosze wtrącały także świerszcze...

5 maja 1929

Czy po szklance wina może się urwać człowiekowi film?

Chyba tak, bo Zosia miała pijacką wizję, że nagle, bez żadnego uprzedzenia, została rzucona w tłum. A gdy rozejrzała się wokół, stwierdziła, że trafiła na plac Sejmu Śląskiego, gdzie trwała właśnie jakaś impreza masowego rażenia. Wszędzie kłębiły się setki albo tysiące ludzi, a ona tkwiła pośród tych dzikich mas sama jedna: bez Danki i bez Mędrzyckiego.

Klimacik retro obowiązywał jednak i tutaj, bo ci, którzy usiłowali ją zmiążyć, załatywali co prawda śledziami albo tytoniem, ale wszyscy ubrani byli, jakby statystowali w filmie o dwudziestoleciu międzywojennym. Przynajmniej od góry. Zosia czuła w głowie męczący szum, ale przyglądała się zaciekawiona eleganckim melonikom, kraciastym cyklistówkom, wąsom i bokobrodom. Grdyki grały nad sztywnymi kołnierzami, panie niemal ronily ze wzruszenia ły, a czerwone z emocji policzki panów nadymały się od okrzyków.

„Nasz jest Śląsk!”

No, a czyj niby miałyby być?

Usiłowała właśnie zrozumieć, co może oznaczać sen,

w którym ktoś rozgniata jej lewą stopę (jak na sen doznania były cholernie silne!), kiedy uświadomiła sobie, że zaszły w niej jakieś...

ZMIANY?!

Zaraz, już od jakiejś chwili chomąto nie podjeżdżało do góry, a nawet leżało całkiem nieźle. Upiorne wałeczki po bokach... Ależ było ich zdecydowanie mniej. Talia! Ha, czy to możliwe? Ostatnio takie coś jak talia wystąpiło u niej przed urodzeniem syna, a teraz proszę. Wcięcie i wygięcie, a nie tylko pasek od spodni w charakterze umownych znaków w terenie.

Czy ona znowu była młoda i szczupła?

Wszystko na to wskazywało.

Zosia jedną ręką usiłowała nie upuścić w tłoku kuferka, drugą z obłędem w oczach dotykała swojego ciała, a jej radość rosła z każdym obmacywanym centymetrem. A uda? Podobno miała kształtne i silne uda i podobno było to nawet seksowne. Tylko czemu kiedy słyszała takie komplementy, przychodziły jej na myśl słupy wysokiego napięcia?

Tak, to najpiękniejszy sen od wielu, wielu lat.

Jak rozkosznie było znowu przypominać człowieka, a nie podroby!

Pomimo ścisku Zosię przepelniła nagle taka błogość, że pozwoliła się nieść tłumowi, a kiedy z tłumu niepostrzeżenie wysunęła się czyjaś lubieżna ręka i klepnęła ją po nowym tyłeczku, prawie się wzruszyła.

Ktoś ją OBŁAPUJE!

Albo, jak kto woli: w oczach opinii publicznej została uznana za atrakcyjną.

O, tak, przedmiotowe traktowanie kobiet z pewnością zasługuje na potępienie, ale jeśli kobieta na co dzień nie słyszy żadnych miłych słów („niezmienna”), a o swoich doznaniach erotycznych może mówić jedynie w kontekście przeciskania się do kasownika w autobusie pełnym facetów...

Nie myśląc wiele, Zosia pod wpływem impulsu dopasowała do łapy tułów i wydzieliła obłapiaczowi siarczystego buziaka. Z kłąsnięciem, a co! Podrostek o uśmiechu niewinnego zboczeńca chyba bardziej spodziewał się śliwki pod okiem niż

dowodów wdzięczności, bo zdurniał od tego potężnie, poprawił czapkę i w panice zaczął się przedzierać przed siebie, byle dalej od nieprzewidywalnych wariatek.

Wariatka tymczasem z zadowoleniem zaczęła oglądać plac, który widywała codziennie z okien uniwersytetu. Ale uniwersytetu nie dostrzegła. Zamiast polonistyki zobaczyła rząd kamienic przystrojony polskim flagami. Z okien i balkonów wylewali się ich wrzeszczący mieszkańcy.

„Śląsk!”

„Polska!”

Z kolei na miejscu Białego Domu wznosiła się wśród drzew dwupiętrowa willa odgradzona od placu solidnym murem, który jednak nie został uszanowany, bo niektórzy nadgorliwcy wdrapali się na kolumny ozdobione kamiennymi kulami i podziwiali stamtąd widowisko niczym z teatralnych łóż.

A było co podziwiać.

Zosia wyciągała szyję, kręciła się, aż stojący za nią śmieszny jegomość w meloniku zakrzyknął:

– Co też się panienska tak kręci jak w kalejdoskopie? Mościcki jedzie! Tam, patrzaj panna, automobil! Ależ maszyna. Mo-ści-cki, Mo-ści-cki!

– Ignacy gówno znacy – usłyszała dla kontrastu gdzieś z boku.

Mościckiego Zosia nie dostrzegła, metr sześćdziesiąt w szpilkach jednak ogranicza widoczność, ale zdumiał ją za to wygląd urzędu, który piętrzył się ponad placem. Gmaszysko było jak zwykle wielkie, tyle że czyste i świeże jak po gruntownym liftingu. Sterczało dumne, prawie lśniło na turkusowym niebie. Tu także wszystkie okna były otwarte, a parapety uginały się od gapiów.

Co to ma być, jakaś manifestacja?

– Przepraszam pana – zagadnęła miłośnika prezydenta. – Czemu tu dzisiaj takie tłumy?

– Słucham? Panna sobie lekceważy taki dzień? – Pan w meloniku nastroszył wąsy. Zdaje się, że wziął jej pytanie za niesmaczny żart. – Toż dzisiaj oddają miastu nowy urząd. Poświęcenie murów! Jak można nie wiedzieć? Może

niewiastom rzeczywiście pozostaje tylko dom i rodzina, sam już nie wiem...

Panna, ten przemiły człowiek mówił do niej „panna”!

– Kobiety na traktory, zdecydowanie. – Zosia uśmiechnęła się zachęcająco, ale jegomość chyba nie zrozumiał, bo zaczął na nią podejrzliwie zerkać. A już na dekolt patrzył, jakby przypięła sobie do sukienki zdechłego szczura. Wyczuwała potępienie. – Absolutnie nie lekceważę takiego dnia, tylko że... Tylko że przez jakiś czas mnie tu nie było. Przepraszam, a którego dzisiaj mamy?

– Piąty maja. Aaa, to panienki nie było w mieście? W takim razie pojmuję. Trochę mnie panienka uspokoiła.

Znowu to spojrzenie. Tym razem chłuszczące odsłonięte ramiona. Wyskoczyły jej na skórze jakieś parchy czy co?

– Piąty maja – powtórzyła. – A którego roku?

– Jak to: którego roku? Tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego, jak mi zdrowie miłe! A może panienka, nie daj Boże, siedziała w jakim więzieniu?

Zosia przełknęła ślinę.

A więc nadal dwudziestolecie.

Gdzie w takim razie jej siostra i ten małoletni dżentelmen, Mędrzycki?

– Póki co jestem niekarana. Jeśli nie liczyć dwóch mandatów za złe parkowanie. Dziękuję i do widzenia. – Pomachała jegomościowi, który pod wpływem jej słów zapomniał nawet o Mościckim.

Chętnie porozmawiałyby ze staruszką dłużej, nawet o kobietach za kierownicą, ale właśnie dostrzegła okazję przedostania się pod główne wejście. Oto bowiem huknęły dźwięki muzyki i orkiestra zagrała hymn. Cały plac zamarł, a Zosia przemknęła niepostrzeżenie do przodu, gdzie było znacznie luźniej. I wytworniej.

Stali tu na baczność panowie we frakach i panie w kapelusikach à la kociołki, a także strażacy, kolejarze i harcerze. Niedaleko trwali na posterunku wojskowi i Zosia mimowolnie również się wyprostowała. Mundury! Zawsze przyciągały jej wzrok, a teraz, kiedy muzyka wypełniała plac,

poczuła, że pilot, ułan czy czołgista, obojętne. Byłe nie generał, kulawym staruszkom dziękujemy, ale każdy wysoki mężczyzna w mundurze żywo ją interesował. Kurczę, a może umundurowanie przed wojną było po prostu ładniejsze?

Pech chciał, że znowu nie zobaczyła prezydenta, bo kiedy bardzo długie i bardzo eleganckie auto przypominające spłaszczonego robala zatrzymało się pod schodami, ktoś pociągnął ją za ramię. Zosia odwróciła się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz...

Z Oskarem, jej niedawnym małżonkiem.

Oskar w wersji retro wyglądał raczej komicznie, szpeciły go przyлизane włosy i druciane okularki (dobrze mu tak, zawsze był ślepy i głuchy), ale uśmiech pozostał mu ten sam. Ujmujący i tak białe, że jedynkami mógł doświetlać zakamarki w piwnicy. Z tego powodu wykrochmalony kołnierzyk dosłownie zlewał mu się ze szczęką. Niestety na jej nowy widok nie drgnęła mu nawet powieka.

– Zosiu, czy ty się na mnie jeszcze gniewasz? – usłyszała wyzipane do ucha pytanie i szlag ją trafił na miejscu.

Mógł trafić, bo to był przecież tylko sen.

A ona wcale nie musiała trzymać klasy.

– Słuchaj, buraku ćwikłowy...

– Zosiu, może przejdziemy do westybulu, kochana? – Ćwikła najwyraźniej do niego nie dotarła, bo nadawał swoje. – Nie chcę ci czynić uwag, ale strój wieczorowy o tej godzinie... I tak głęboki, uważasz, dekol... To jednak nie wypada.

Opieprzyłaby gada na miejscu bez względu na Mościckiego i innych ważniaków dwudziestolecia, gdyby nie tłum, który po skończonym hymnie zawrzał na nowo. Jak już robić scenę, to obowiązkowo przy włączonej fonii, gardło ma się przecież jedno. Dlatego Zosia pozwoliła się wziąć za rękę i poprowadzić boczkim do urzędu. Nikt nie zwrócił na nich uwagi.

Do czasu.

W holu jednak sobie nie pożałowała.

Przyparła Oskara do filaru i rozpoczęła mowę, której nie wygłosiła w sądzie. Bo nawet nie miała mu za złe kolejnej „przyjaciółki”, mimo że obiecywał poprawę i zaklinał się, że

nigdy więcej, a później znowu zrobił z niej kretynekę. Po dwudziestu latach wspólnego pożycia sama doświadczała większych emocji, kupując kabinę prysznicową w Castoramie, więc mogli usiąść i porozmawiać o rozstaniu jak dorośli ludzie.

– Wiesz, jak ja się czuję? – huknęła ni z gruszki ni z pietruszki, ale zbyt wiele się w niej nzbierało, żeby tracić czas na kwieciste wstępy. Poza tym awantura to nie odczyt naukowy. – Wiesz, jak mnie potraktowałeś?!

– Zosiu, Zosieńko... Ale ja już wszystko załatwiłem!

I taki był zwykle finał.

Owszem, zaczęła od pretensji, ale przetestowała już wszelkie próby urobienia i zmiękczenia przeciwnika: kadzidelka, pierogi z mięsem i strój pielęgniarki. Oskarek był jednak podatny na perswazję mniej więcej jak słup na ogłoszenia. Niby przyjmował do wiadomości treść, ale wszystko mu wisiało.

Dobrze.

Tylko spokój.

Danka miała przecież na mężczyzn swoje sposoby. Na przykład uważała, że w ekstremalnych przypadkach najlepiej sprawdza się metoda „śmiertelnie obrażam”. Żadnych krzyków, żadnego strzępienia języka. Po co? Oni podobno i tak słuchają tylko przez pierwszych kilka minut, a najczęściej tylko przez pierwszą i drugą minutę. A Danka, jeśli jej oblubieniec naprawdę przesadził, Danka nie odzywała się ani słowem. Rzuciła jedynie tonem zranionej po puenty primabaleriny: „Wybacz, ale muszę już iść” i odtąd powietrze i czarnoziem. Nic, zero kontaktu. Nie dawała się również nabrać na przeprosiny dla świętego spokoju; satysfakcjonowała ją jedynie bezdenne rozpacz i szczere postanowienie poprawy (raz zdarzyło się, że przemówiła do niej dopiero operacja wyrostka robaczkowego). Brzmiało nieźle, jednak w praktyce należało się liczyć z tym, że wystawiony na podobną próbę związek może przestać istnieć.

Drugą tajną bronią jej siostry była „kobieta czynu”, którą Zosia już nieraz próbowała stosować, ale wcześniejsze podejścia, wstyd przyznać, kończyły się zawsze tak samo: puszczały jej nerwy i zaczynała gderać.

Ale dziś było inaczej, dziś wierzyła, że podola. Małzonek musiał poczuć na swym wymodelowanym karku karzącą rękę sprawiedliwości.

– Załatwiłeś? – zapytała i ustawiła się jak Britney Spears do zdjęcia. Biust do góry, warga w dół, a rozum do kosza.

– Zosieńko, ależ naturalnie. – Oskarek od razu przyłgął wzrokiem do jej dekoltu.

– To ja ci teraz podziękuję, dobrze?

– A mocno będziesz dziękować? – wymruczał łakomie.

– Mocno. Nawet bardzo mocno.

– Zosiu, ty trzpiotko, ale przecież nie tutaj... GDZIE?!

– Chodź! – Tym razem to ona pociągnęła go za rękę.

Dokładnie wiedziała, dokąd zmierza (znała przecież budynek), choć nie miała pewności, czy plan się powiedzie. Co by nie mówić, jednak szczupłe nogi i fantastyczna talia sprawdzają się na polu walki. Oskarek ani pisnął, a Zosia tanecznym krokiem pokonała schody, przemierzyła galerię i już stała pod trojgiem niewielkich drzwi. Bardzo liczyła, że chociaż jedno okażą się otwarte, przecież niedługo urząd zaleją tłumy zwiedzających. I rzeczywiście. Jedne? Wszystkie drzwi ustępowały pod naciśnięciem klamki.

– Wybieraj – zagruchała obiecująco.

– Ja i ty w ciasnym pomieszczonku? – Oskar był wniebowzięty, a Zosia ścisnęła trzymany w dłoni kuferek.

Tak, w rozmowie z mężczyzną czasem najlepszym argumentem jest twardy kawałek drewna. I zapewne mężczyzna otrzymałby darmowe zdobienie czółka, gdyby nie... drzwi, gdyby nie te przeklęte drzwi. Łobuz puścił ją przodem, tak jak chciała, ale kiedy zorientował się, że jej interpretacja ciasnego pomieszczonka jest zupełnie inna, że znajdują się na balkonie dla orkiestry, gdzie nikt ich nie słyszy, a Zosia celuje w jego głowę jakimś drewnianym barachłem, Oskar zanurkował pod jej ramieniem jak podstępny wąż i zwiął drugimi drzwiami.

– Ty kłamco! – krzyczała za nim.

– Jaki kłamco, jaki kłamco?! – Niby uciekał, ale stanął w połowie drogi i zaczął ją przyciszonym głosem strofować: –

Zosiu, czemu ty się tak egzaltujesz? Ja cię nie pojmuję! Szargasz mi opinię, wszyscy patrzą. A przecież załatwiłem. Załatwiłem!

– Co załatwiłeś?!

– Ciszej, na litość boską... Jak to co? Posadę. Tak jak obiecałem. W urzędzie, tutaj, chociaż ja byłem przeciwny naszym kontaktom w pracy. Ale skoro tak ci zależy, zaczniesz od jutra. Razem z siostrą. Zadowolona?

Jaka praca, co ten człowiek bredził?

Zosię interesowało w tej chwili tylko to, że zdrajca nie otrzymał jeszcze należnej nauczki. Przygrzmoci mu zdrowo w te bokobrody, potem się obudzi i będzie jej lżej.

– Kłamco!

– Zosieńko, a może tobie chodzi o raut?

– Raut? Co znowu za raut?

Skradała się nieznacznie, patrząc tej kreaturze prosto w oczy – nigdy tego nie znosił. Teraz też zaczął się migać i giąć, jakby co najmniej wypytywała o wczasową przygodę.

– Raut, dzisiejszego wieczora. Tak, wiem, mówiłem, że cię zabiorę, ale, uważasz, tam będą sami oficjele, moja żona...

Żona? To już przesada. Od rozwodu minął zaledwie tydzień, a on ma już nową żonę?

– Bydlaku!

– O, moja droga, to było wysoce nietaktowne. Tak brzydko? Do mnie? A ja już właśnie postanowiłem, że szepnę słówko komu trzeba i twoja obecność na balu nie będzie kłopotliwą. Możesz nawet przyjść z Danką, żeby ci nie było przykro. Sala Recepcyjna, godzina dwudziesta pierwsza. Wystarczy tylko nazwisko! Ale, kochanie, ja z tobą nie zatańczę. Żona...

Nie będzie kłopotliwą? Ależ on był zabawny. Zosia mimowolnie zachichotała, co musiało zabrzmieć jednak dość histerycznie, bo Oskar wykonał przy poręczy pyszny pirucik i spłoszony dopadł schodów.

Zosia z kufierkiem i rozwianym włosiem rzuciła się w ślad za nim.

Na dole przeżyła moment zawahania, bo małżonek jednak w ucieczkach był zawsze niezły i rozplątał się gdzieś

w czasoprzestrzeni, ale w holu spotkała stadko poruszonych urzędników. Bardzo miło z ich strony, bo po spojrzaniach wywnioskowała, że Oskar musiał zniknąć za tamtymi drzwiami! Poprawiła fryzurę i spokojnym krokiem przeszła na prawo. Odczekała chwilę, posłała zgromadzonym czuły uśmiech i dopiero wtedy szarpnęła za kłamekę.

W środku jednak ją przystopowało.

Znalazła się na schodach, które prowadziły w dół i ten „dół” bynajmniej nie wyglądał na wejście do gabinetu wojewody. Surowe ściany, zapach wapna, a pod sufitem mrugająca żłowieszczo żarówka. Zosię przebiegł dreszcz. Talia, uda, próba strzaskania Oskarowi jego durnej makówki, w porządku. Początki placu Sejmu Śląskiego też było miło zobaczyć. Bawiła się doskonale. Ale koszmar w piwnicy? Chłód, pajęczyny i truposzczaki? O, nie, nie, nie. Uznała, że dosyć tego dobrego.

Postanowiła się obudzić.

Tyle że nic z tego postanowienia nie wyszło.

Próbowała sztuki koncentracji, liczyła do dziesięciu, nawet uszczypnęła się w ramię. Poza siniakiem i zawrotami głowy niewiele się jednak zmieniło.

Schody.

Piwnica.

I żarówka.

Wciąż to samo.

Naraz zmroziła ją myśl, która kołatała jej w czaszce już od pewnego czasu. Podeptane na placu stopy naprawdę bolały, teraz w wieczorowej sukience czuła przejmujące zimno.

A jeśli to nie jest sen?

Pamiętała doskonale. Ona, Danka i Mędrzycki na peronie. Mówili o tym, czego chcieliby najbardziej. Że nie pelargonie, że... Komórka, przecież wystarczy do nich zadzwonić! Zosia odstawiła kuferek i wygrzebała z torebki telefon. Ale data i godzina w ogóle się nie wyświetlały, a co do zasięgu, wskaźnik również ani drgnął.

– A panienska czego tu szuka? Tu nie wolno wchodzić. – Pod schodami stanął mężczyzna we fraku i usiłował opanować męczący go kaszel. Jego elegancki strój co najmniej dziwił,

podobnie jak ubrudzone białą mazią lakierki. – W chowanego to się lepiej bawić gdzie indziej. Tu jest gmach państwowy, a nie podwórko. Wszędzie ci ludzie wściubiają nosy, wszędzie. I jak upilnować, jak upilnować?!

Fascynujące. Zanim jednak Zosia zdążyła rozważyć kwestię, dlaczego niektórzy chadzają do piwnicy ubrani jak na bal, poczuła na ramieniu delikatne szczypanie. Komar? Tutaj? A jednak. Wampir zasiadł wygodnie do posiłku i choć zareagowała błyskawicznie i zdrowo go pacnęła, zdążył. Ukąsił ją. Patrząc na zmiażdżony kłaczek zabarwiony krwią – jej krwią! – Zosia zrozumiała.

Peron, wino, szum w głowie i ta dziwna zapowiedź w megafonie.

Wielkie Katowice!

Przeniosła się w czasie.

Mirek Mędrzycki zwykle twardo stąpał po ziemi i uważał się za realistę, ale to, co go właśnie spotkało, było niezwykle. Najpierw rozbolały go wszystkie flaki, potem spociał się jak mysz, a kiedy ustało nieznośne dzwonięcie w uszach, otworzył oczy i... poczuł się jak po swojej pierwszej młodzieńczej popijawie.

Wiedział, że jest w Polsce.

I na tym się kończyło.

Zamiast na peronie z Zosią i jej siostrą tkwił w jakiejś mordowni. Pomieszczenie było niziutkie i obrzydliwie brudne, miało tylko dwa okna i to okopcone tak, że nie było przez nie prawie nic widać. Pod koślawymi ławami wały się śmieci i kłęby słomy, a w rogu przycupnęła szafa grająca i pokraczny mebel służący chyba za kontuar. Siedział tam śmiertelnie znudzony chudzielec, na oko właściciel, i wpatrywał się w jedyne go klienta, który nie pił, ale przy sąsiednim stole wcinał smażoną kiszkę. Reszta nietrzeźwej brygady sączyła piwko, a od trunku szedł aromat sfermentowanej pszenicy.

Było upiornie duszno i głośno.

Przerażony Goliat siedział Mirkowi na kolanach, a naprzeciwko kulił się na krześle najprawdziwszy Żyd i coś do niego mówił, karykaturalnie przy tym gestykulując. Okularki, loczki, jarmułka. Żyd, po prostu Żyd. Pierwszy, jakiego zobaczył na żywo, a nie na filmie czy fotografii.

Mirek potrząsnął głową, ale tamten widocznie nie należał do sfery delirium, bo nie rozpląnął się w powietrzu.

– I teraz, panie, najgorsz... – Żyd wyciągnął przed siebie haczykowany palec, którym wycelował w Goliata. – Pan wiesz, kto jest w mieście? Dasz pan wiarę? Czarna Zośka. Jakby mało było kłopotów. Czarna Zośka!

– Zosia? – zareagował od razu, choć przecież Zosiek na kilometr kwadratowy trochę w Katowicach przypadało. – Gdzie?!

– Gdzie, gdzie... A ja to wiem gdzie? Pan płacisz, a Moszek mówi. A mówi, że nie jest dobrz... W Gdańsku ostatnio grasowali, mnie doniesiono. Miasto ograbione, interesa jak po grudzie. Niedobrz... ja mówię, niedobrz... I co teraz, radź pan, co teraz?

Dobrze staremu mówić. A jemu kto wyjaśni, co się tutaj dzieje, psiakrew? Niby mógł wziąć leżący na stole widelec i wbić go sobie w rękę. Zaraz by się rozstrzygnęło, czy to jawa, czy sen. Ale bardzo lubił swoją rękę, poza tym rozmowa zaczynała go wciągać.

– Panie Mosiek...

– Moszek. Do usług szanownego pana.

– Panie Moszek, czemu ta Zośka jest „czarna”? – palnął z rozpędu. – A nie na przykład „fioletowa”?

Żydek łypnął na niego zdziwiony.

– Pan jesteś mądry człowiek – powiedział ostrożnie. – I pan pewnie masz cel w tych dyskusjach, choć pytasz, jakbyś nie wiedział. Czarna Zośka, bo to przecież diabeł, nie kobieta. Rabuje pieniądze i duszę, nic nie zostawi, a jaka przypochebna, a jak bałamuci... Fachu po niej nie znać, ponoć dama. Ale zamiast serca czarny kamień. Złodziejka nad złodziejki. Ty się pan rusz, ty pan myśl!

Mirek pomyślał właśnie, że opis pasuje do Zosi jak kwiatek do

kożucha i nieco się uspokoił. Szefowa była co prawda brunetką i czasem przechodziło mu przez myśl słowo „podstępna”, bo potrafiła mu dopiec do żywego, ale w tej pełnej piersi kryło się gorące serce. W to nie wątpił.

– Złodziejka... I gdzie ja się mam niby ruszyć? Co mnie to w ogóle obchodzi?

– A obchodzi, obchodzi. Pan Mędrzycki jesteś inteligentny człowiek, ale Moszka nie oszukasz. Moszek słyszał o Dieblu – ściszył głos i łypnął znacząco zza okularów. – I wie, że Czarna Zośka też nie głucha. Bo czemuż akurat teraz do miasta przybywa? Nie przypadek to jest, nie przypadek.

Diebel?

Brzmiało znajomo. Parę lat temu był w Malarni na sztuce, która dotyczyła burmistrza i przy okazji co nieco o nim poczytał. Ciekawa postać. Złodziej i malwersant, podobno oszust doskonały. Znowu potwierdziła się teoria, że nazwisko zobowiązuje. Facet wyprzedził swoje czasy, był wręcz idealnym materiałem na polityka: bystry, przedsiębiorczy i pazerny. Jednak w dziewiętnastym wieku machina prawa działała nieco inaczej. Diebel został za swoje inicjatywy oddolne aresztowany i rozliczony. Nie to, co dzisiaj...

– Moszek też jest inteligentny człowiek. – Mirek podłapał ton rozmówcy, a Żyd z zadowolenia zatarł ręce.

– Dlatego pan i ja robimy wspólne interesa. Tu masz pan zaproszenia. – Wyjął spod płaszcza eleganckie koperty, które Goliat zaraz zaczął obwąchiwać. – Moszek dużo wie. A pan płacisz. A jak pan płacisz, spotkasz Czarną Zośkę, Moszek gwarantuje. I może nawet przed nią odbierzesz pan zapłatę.

W kopertach znajdowały się zaproszenia na raut, do których Mirek od razu zajrzał. Jego starannie wykaligrafowane imię i nazwisko tańczyły na karbowanym papierze wśród uprzejmego tekstu. „Chcąc uczcić...” Ble ble ble... „Niniejszym mamy zaszczyt zaprosić...”. Na drugim bileciku natknął się na jakiegoś Grzegorza Nawiązkę. Ale dalej to samo: Sala Receptyjna, Urząd Wojewódzki. I data.

Piąty maja tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku?!

Zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco.

– O jakiej zapłacie mówimy? – Poprawił nonszalancko wąsa, bo Żyd uważnie go obserwował.

– Pan się dzisiaj krygujesz. Ciągniesz Moszka za język... Złoto, panie Mędrzycki – wypalił cicho i na jedną krótką chwilę porzucił pochlebstwa. Ta chwila jednak wystarczyła, żeby Mirek zrozumiał, że oto siedzi przed nim może i śmieszny człowieczek z dyndającymi przy uszach pejsami, ale ten sam człowiek jest przede wszystkim kutym na cztery łapy biznesmenem. – Złoto Diebla.

– A czemu pan sam nie dobierze się do tego złota?

– Moszek ma już złoto. – Stary zaśmiał się niby skromnie. – Ale złota można mieć zawsze więcej. Tyle że swoimi rękami zarobi się go mniej. Dlatego ja wolę pana ręce, panie Mędrzycki. Bo pan umiesz dziękować współnikom procentami, nieprawdaż?

To o to szczwanemu lisowi chodziło!

Złoto tak, ale ryzyko nie?

– Pan jesteś uczciwy przestępca – perorował Żyd, a Mirek ucieszył się, że jednak nie zamówił piwa, bo w tym momencie by je z wrażenia chyba rozlał. – Pan mnie nie wywiedziesz w pole, ja dużo wiem i umiem robić z wiedzy użytek. Pan się rusz, pan zrób porządek z Czarną Zoską i odbierz pan zapłatę w złocie. A Moszek zajmie się resztą, bo przecież takiej ilości sam pan nie sprzedasz...

A więc był przestępcą?

I do tego uczciwym?!

Resztkami sił powstrzymał się, żeby nie parsknąć śmiechem. Odetchnął dopiero, kiedy Moszek wykonał na pożegnanie kilka ukłonów, zamienił słówko z właścicielem szynku i zniknął. Ale na tym się nie skończyło. Mirek rozważał właśnie, co dalej, kiedy amator smażonej kiszki otarł zatłuszczoną twarz rękawem, rzucił na stół parę monet i posłał tak znaczące spojrzenie najpierw jemu, a potem drzwiom, że nie można było tego zrozumieć inaczej.

Musieli się znać.

Mirek wstał zatem i wyszedł na zewnątrz, gdzie ze

zdumieniem przekonał się, że słońce oświetla największe zadupie, na jakimkolwiek się znalazł.

Krzaki, hałdy, piach i chabazie.

Żadnej drogi, żadnego sklepu, nic, żadnego śladu cywilizacji – bo furmankę i zdezelowanego perszerona pod cywilizację trudno podciągnąć. Już prędzej był nią kurz, jaki układał się w chmurkę po odjeździe Żyda. Zupełnie jakby cwaniak zwał stąd jeepem.

– Mędrus! – usłyszał nagle konspiracyjne nawoływanie zza rogu.

Wielki mi róg! Wałca się chata była wysokości stołu do ping-ponga.

Za szynkiem stał młodzieniec od kiszki, który teraz prezentował się zupełnie inaczej, a nawet wreszcie wyglądał na kogoś, kto potrafi zawiązać własne buty. Jego szczeka nie poruszała się już monotennie, a tłuszcz nie kapał mu z ust. Marynarka, która w knajpie zdawała się lepić od brudu, mieniła się teraz w słońcu elegancką materią. Zniknęła również pognieciona czapka – Mirek zobaczył ją rzuconą w krzaki, a uwolniona szopa rudych włosów upodabniała gościa do postaci z książek Dickensa. Albo do klopsa w sosie pomidorowym, bo nowy znajomy nie należał do chudzin.

– Ruszże się – ponaglił go rudzielec. Otrzepał energicznie spodnie, prawie łamiąc sobie przy tej czynności kolana, a następnie skrzył w lasek okalający spelunkę. Mirek podążył za nim. – Moszek pojechał do miasta. My też ruszajmy, po co ma nas tu ktoś zobaczyć.

A więc jednak się znali. I to chyba dobrze, skoro facet zwracał się do niego w tak szczególny sposób. Mędrus. Ciekawe przezwisko. Dobrze, że Zosia tego nie słyszy... Przywoławszy w myślach szefową, Mirka chwycił naraz taki niepokój że aż przystanął.

On tu sobie urządza spacer po lesie, a Zosia i Danka?

Co z nimi?!

– Warto było pociągnąć starego za język – stwierdził rudy. – Mówiłem ci. Ten starozakonny wie wszystko. Z nim nie zginiemy. I co, potwierdzone? Przyjechała? Bo było słabo

słyszeć.

– Kto?

– Jak to kto? Przecież nie caryca Katarzyna. Czarna Zośka. Coś ty taki nieprzytomny?

– No, jakaś tam czarna podobno przyjechała.

– Jakaś tam?! – Młodzieniec doskoczył do Mirka przejęty, a słońce wyzłociło jego rudawy zarost. – Po tym, co nam zrobiła w Gdańsku? Ty to potrafisz blagować, Mędrus. Ale to mi się podoba, bracie. Tak trzymaj, a damy babie do wiwatu. Tym razem nas nie wykiwa. Ha! A mówi ci to Grześ Nawiązka...

– Mirek Mędrzycki – przedstawił się odruchowo Mirek, a Nawiązka wybuchnął śmiechem.

– Aleś ty paradny dzisiaj, Mędrus, nie mogę.

– Wybacz, stary, ale chyba bierze mnie przeziębienie – wydukał na swoją obronę. – Albo to zamknięte złamanie mózgu. Z przemieszczeniem – rzucił pod nosem. – Daleko stąd do centrum?

– Do jakiego centrum?

– Do Katowic.

– A, do Katowic. Trochę będzie.

– A jesteście...? Gdzie? Umknęło mi.

– Kolonia Agnieszka. W dole Dąb.

– To może złapiemy tramwaj? – zasugerował nieśmiało.

– Oj, Mędrus... Po co ci tramwaj?! – Nawiązka przyspieszył i wyprysnął z krzaków, za którymi znajdowało się olbrzymie pole podziurawione jamami i dołami, do złudzenia przypominające powierzchnię Księżyca. Wśród wózków, szmat i koni uwijali się niczym mieszkańcy innej planety nieziemsko brudni ludzie. Czyżby biedaszyby? – Przecież przyjechaliśmy tu twoją Karetą!

Na wątlej dróżce stało błyszczące czernią przepiękne stare auto i Mirek na chwilę zapomniał o całym świecie.

– O psiakostka! – powiedział z najprawdziwszym zachwytem, a kilku obdartych chłopców, którzy nadbiegli od strony szybów, stało teraz z rozdziawionymi buziami.

Czy on ma przywidzenia?

CWS T-1! Pierwszy polski samochód osobowy, który za

pomocą tylko jednego klucza można było rozkręcić na drobiazgi, a potem poskładać do kupy. Mirek jako miłośnik czterech kółek ubolewał nad faktem, że po wypuszczeniu zaledwie kilkuset sztuk, do polskiej motoryzacji wtrącili się Włosi. Nastął Fiat i jeden klucz można było sobie zachować co najwyżej do skręcania hulajnogi.

– Dobrze, że nie wzięłeś forda, znać patriotę – oznajmił z dumą Nawiązka. Wyciągnął ze spodni trochę drobnych dla dzieciaków i chusteczkę, którą z czułością przetarł reflektor. – Gotowe, możemy ruszać.

Mirek tylko na to czekał, z rozkoszy aż sobie cichutko zamruczał. Jednak przed podróżą musiał usadowić na tylnym siedzeniu Goliata, a wtedy jego wzrok padł na leżącą obok walizkę. Czarną, wypchaną po brzegi laptopem i jakimiś papierzyskami. Dokładnie taką samą, jaką z uprzejmości pomógł nieść Dance.

– Czyje to? – zapytał dla pewności.

– Ten czarny ekwipażyk? A, przyniosłeś dzisiaj ze sobą. Bardzo szykowny. – Nawiązka założył rękawiczki i zaczął nucić. – Nawet miałem zapytać, czy się gdzieś wybierasz. Ale skoro Czarna Zośka jest w mieście...

Zosia rozważała nawet eksperymentalne rzucenie się pod samochód, ale widziała ich na ulicach niewiele, poza tym jechały na tyle wolno, że jeśli to nie był sen, zamiast na cmentarzu, ryzykowała spędzenie kilku miesięcy na urazówce. A nie pamiętała, czy przed wojną antybiotyki i narkoza były w powszechnym użyciu. Wizja amputacji jakiegokolwiek kończynki bez znieczulenia jednak nie napełniała optymizmem.

I wtedy postanowiła, że pójdzie, pojedzie, pofrunie, obojętnie; po prostu dotrze do domu. A dokładnie na ulicę Chorzowską dwieście, gdzie w kamienicy czerwonej jak dojrziała truskawka uwiła sobie przytulne gniazdko. Całe poddasze zapchała książkami i kwiatami, a dzięki dodatkowym

oknom nie narzekała na brak słońca. Kuchni nie posiadała, ale to żaden problem, składały się z Danką na obiady, bo siostra nie lubiła sama jadać. Książka, herbata z cytryną i fotel. Tego właśnie potrzebowała, choć truchlała na samą myśl, że w jej domu może mieszkać kto inny. Starając się nie martwić na zapas, ruszyła w stronę Rynku.

Spacer był najlepszym z możliwych pomysłów.

Kiedyś Danką, która miała fioła na punkcie zabytków, zaproponowała Zosi zabawę. Jechały akurat autobusem, a siostra kazała jej sobie wyobrazić, że z pejzażu miasta znikają wszystkie nowoczesne budynki. I dokładnie to działo się właśnie na jej oczach. Bez nadwyrażania wyobraźni.

Katowice były teraz zupełnie innym miastem.

W okolicach urzędu Zosia co chwilę kogoś potrącała, dlatego zwiedzanie zaczęła dopiero od ulicy Wojewódzkiej, ale już tutaj było ciekawie. Kamienice wcale nie wyglądały dużo lepiej niż dzisiaj, choć przy kilku zobaczyła rusztowania, a na nich robotników skuwających... wszystkie te śliczne zdobienia! Najpierw pomyślała, że to wstęp do remontu, o ile wandalizm może być do czegokolwiek wstępem, ale przy drugim budynku ją tknęło. Zagadła więc do młodzieńca, który zdjął przed nią czapkę i rozpromienił się w szczerbatym uśmiechu.

– Czemu panowie traktujecie te piękne budowle młotkiem? – spytała grzecznie.

– E, nieee, nie traktujemy – zapewnił. – My tylko walim.

Walim!

– Ale przecież wy je niszczyacie.

– E, nieee, nie niszczymy. My z nich tylko Niemca gonim.

– Jakiego Niemca?

– A ja to wiem jakiego? Niemiec budował, przecie one niemieckie, psiajuchy.

– Ale przecież to jest chyba barok. Albo barok i renesans!

– E, gdzie tam, pani, jaki Barok i Renesans. Beniszewski i Ska firma się nazywa. Zlecenie przez magistrat. Można sprawdzić, kwity są.

Zosia próbowała się uspokoić, choć ciśnienie skoczyło jej pewnie do dwustu. Danką już dawno wezwała by kierownika

i palnęła całej gromadce wykład o stylach architektonicznych, a potem by ich z tego szczegółowo przepętała.

– I co z nimi będzie?

– Z kim? – Młodzieniec podrapał się po brodzie.

– No, z tymi kamienicami. Tu kujecie, tam też widzę jakąś brygadę. – Pokazała w głąb ulicy.

– Ma być prosto i fu... fu...

– Funkcjonalnie! – zakrzyknął z rusztowania jego kolega.

– Przecie mówię – obruszył się młodzieniec. – Bez Niemca, po naszymu ma być. Po śląsku. Przerobić trza i tyle. Ferdynand Beniszewski. Właściciel. Jego pytajcie.

Niestety, szaleństwo „wyganiania Niemca” ogarnęło chyba całe miasto, bo Zosia zobaczyła podobne scenki również na Warszawskiej, co zupełnie nie mieściło jej się w głowie. Z młotkiem? Na kulturę i sztukę? Śląsk wrócił do Polski, wspaniale, ale zdarcie sztukaterii albo przetrącenie nóżek kilku amorkom nie zmienia historii. A jeśli już – w efekcie powstanie niepodobne do niczego dziwadło.

Na Rynek dotarła jeszcze wzburzona, ale kiedy stanęła na placu, z wrażenia zapomniała o wszystkim. Zupełnie jak Alicja z Krainy Czarów, otworzyła szeroko oczy i chłoneła to, co dookoła, a potem ruszyła z kopyta i okrążyła ten... placyk.

Rynek był dużo, dużo mniejszy.

A to dlatego że stało tu więcej budynków. Aktualnie przetaczała się przez niego fala przechodniów, dwa samochody, tramwaj, dorożka i autobus i, jak Zosia przypuszczała, „korek” kojarzono tu co najwyżej z flaszką wina. Mając w pamięci współczesny plac – wielki i gruntownie przebudowywany, który przypominał najruchliwsze mrowisko w lesie tudzież Armagedon w przerwie na lunch – można się było nieźle zdziwić.

Mężczyźni paradowali w słomkowych kapeluszach, panie dreptały w eleganckich sukienkach, ale widziało się też dzieciaki w przykrótkich portkach i Ślązaczki ubrane w tradycyjne czarne spódnice przepasane fartuchem. Nikt nie patrzył nerwowo na boki, nie pędził przed siebie zdenerwowany, przez co tutejsi katowiczanie o wiele bardziej

przypominali ludzi niż miejskie roboty.

Czy ona przypadkiem nie zaczynała się czuć w tych czasach odrobinę za dobrze?

– Ty giździe pieroński, ty! – Za samochodem, który przejechał Warszawską z obłądną prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, wymachiwała kijem jakaś zażywna babuleńka. – Porządnych ludzi straszy, chuligan jeden... Wynalazki! Kto to widział tak pędzić?! Koniec świata.

Zosia uśmiechnęła się pod nosem.

Spędziłyby na Rynku z pewnością dużo więcej czasu, ale pod teatr zajechał właśnie autobus do Chorzowa. Autobus! Był tak samo zabytkowy jak inne samochody, tyle że jego wydłużony tułów upodabniał go do jamnika. A w środku sen o potędze komunikacji miejskiej. Skórzane siedzenia, chromowane uchwyty, zasłonki; wszystko lśniło i kwiliło. Kierowca otworzył jej z galanterią drzwi i tu Zosia przeżyła chwilę grozy, bo przejazd do Dębu kosztował całe pięćdziesiąt groszy, ale jednak kosztował. Sięgnęła po portfel. Rano wkładała tam co prawda dwieście złotych, ale nie łudźmy się, było to tego samego poranka, kiedy pod pachami zwisały jej flakowate błony, które nietoperzom pomagają unosić się w powietrzu, ale tłuściochom przypominają o sile ciężenia.

A jednak udało się.

Nie miała pojęcia, jak te całe przenosiny w czasie działały, ale działały na jej korzyść, bo w portfelu zobaczyła dwie podobizny Poniatowskiego i całą garść drobnych. Ha, kolejny problem z głowy. Szczęście nie opuszczało jej także w podróży; już pod teatrem usiadł obok niej sympatyczny staruszek, który po ciekawskich spojrzeniach wziął Zosię za turystkę i nie miał nic przeciwko roli przewodnika.

Dzięki temu dowiedziała się, że po lewej, za parkiem, znajdują się zabudowania huty Marta i sama huta, a po prawej... Danka by się nie ucieszyła. Budynek muzeum wcale nie należał do muzeum, a w okolicy dzisiejszego hotelu Katowice stał „zamek”. Ale taki jakiś niezamkowy, już bardziej przypominał willę niż siedzibę monarchów. Nie zdążyła zapytać, kto był właścicielem, bo ją zatkało. W miejscu

Spodka, tego samego Spodka, który stał się symbolem miasta, wyrastał gigantyczny kompleks budowli otoczony wysokim murem. Staruszek nazwał go Dworem Marii. Kiedyś były tam podobno garaże, stajnie, obory i chlewiki należące do huty. Ciekawe. Zamek nie wyglądał na zamek, a to, co go przypominało, było przeznaczone dla świń.

Ale widocznie Katowice zawsze zdumiewały kontrastami.

Sama Chorzowska również nieco Zosię rozczarowała. Tyle razy jeździła tą ulicą spóźniona, tyle się tu naprzeklinała, aż wreszcie zrobiono pod rondem tunel i problem zniknął. Główna arteria miasta wyglądała jednak tymczasem biedniutko i mizernie. Wyłożona brukiem, była zwykłą dwukierunkową drogą, przy której stały dwie huty, kopalnia, trochę kamienic i sporo krzywych domków otoczonych płotami i wyschniętym w słońcu błotem.

Ale już w okolicach huty Baildon Zosi zaczęło gwałtownie bić serce.

Widok Dębu z familokami, pysznymi kamienicami i czerwieniejącym pośród nieba szpicem kościoła przypomniał jej czasy sprzed budowy trasy średnicowej. Może i była sentymentalna, ale taki kawał dzielnicy odszedł w zapomnienie... Owszem, Chorzowska na tym odcinku już ledwo zipała i wyglądała jak z wiersza Tuwima o strasznych mieszkańcach, reanimacja była konieczna, ale może wspomnienia mają to do siebie, że człowiek przywiązuje się do budki z frytkami, a kiedy ta znika, czuje stratę jak po zburzeniu katedry?

Z autobusu wysiadła przy pomniku Powstańca, pokontemplowała przez chwilę wylot ulicy, gdzie bynajmniej nie prześwitywały bloki Tysiąclecia, i przejęta ruszyła przed siebie.

Do domu.

Cmentarz, kilka ubożuchnych chatynek z maleńkimi oknami i...

Jej kamienica!

Pierwszym zaskoczeniem był ogródek. Bo do tej pory przed domem występował gąszcz urozmaicony psem sąsiada.

Działało tu sprzężenie zwrotne, i z kolei pies sąsiada urozmaicał gąszcz. To znaczy nawoził. Od wiosny po zimę. A że od naturalnego nawozu wszystko rośnie jak szalone, przed oknami pleniły się najrozmaitsze chwasty, krzaki i co tylko. Teraz dla odmiany z ziemi eksplodowały bratki, stokrotki i tulipany, a grządki były równiuteńkie, podobnie jak ścieżki. Zamiast psa na schodach leżał rudy kocur, który na widok Zosi uniósł pyszczek, po czym jednak wrócił do rozkoszowania się popołudniem.

Zosia miała nogi jak z waty.

Już rozmyślała nad hotelem, bo podwórko również wyglądało obco, kiedy przy wejściu zobaczyła siedzącą na ławeczce rumianą kobietę, która zapamiętała coś szydełkowałą. Na jej widok uśmiechnęła się i potrząsnęła siwą głową.

– Pochwalony. No, a niech tam panienka biega na górę, bo Beczka jej znowu zwiął. Nad Rawę poszli ciupać w szkata, wiadomo. I kieszenie wypchane. Gorzałkę nieśli, psubraty, przecie od razu widać. Ale Beczkowa to z motyką na słońce się porywa. Z chłopami i gorzałką to tu jeszcze żadna nie wygrała.

Beczka? Kobicina przemawiała do niej, jakby się znały, ale Zosia nadal niczego nie rozumiała. Przywitała się jednak grzecznie, odwzajemniła uśmiech i weszła na piętro, gdzie pod sufitem unosiła się jeszcze warstwa dymu, a po zapachu można było wnioskować, że ktoś przypalił słoninę. Jednak za drzwiami mieszkania Danki zamiast znajomego szemrania radia usłyszała rumor i potępieńcze jęki jakiejś obcej baby; w każdym razie dźwięki średnio zachęcające do wspólnej herbatki. Stchórzyła. Zamiast zapukać, przemknęła cichcem na poddasze. I tu najidiotyczniej w świecie zaskrobała do własnych drzwi, choć przecież mogła zadzwonić.

To, co nastąpiło później, trudno opisać słowami.

Najpierw usłyszała spłoszony głos swojej siostry pytający „Kto tam?“, później zatrzeszczał otwierany zamek, a potem już wisiwały sobie w objęciach. Tylko że Zosi wisało się inaczej. Danka po cichu kwiczała, a pod sukienkę musiała wpakować poduszkę, bo leżało się na niej miękko i wygodnie jak nigdy.

Po okrzykach radości, po ochach i achach i opisanium przez

Zosię „ładowania” na placu Sejmu Śląskiego popatrzyły na siebie, jakby nie widziały się co najmniej kilka lat, i zaraz wyszło na jaw, że podejrzone miękkości Danki to nie żadna poduszka, ale żywa tkanka piersiowa. Na dodatek występująca na siostrze obficie.

– Jesteś cycata! – wykrzyknęła Zosia i zrobiła krok do tyłu, żeby mieć lepszy widok. – I ta straszna kiecka zaraz ci wyciśnie z... tych tych... mleko.

Sukienkę przed pęknięciem w szwach ratowała elastyczna koronka, ale materiał i tak z trudem wytrzymał napór. Jeśliby zmierzyć obwód głowy Danki i porównać go z objętością jej nowych atrybutów, wynik z pewnością byłby porażający.

– Piersi. To są piersi – wyartykułowała z godnością siostra.

– A rozmiar?

– O, kochana. – Danka uśmiechnęła się wniebowzięta. – Żarty się skończyły. Od dzisiaj to już nie będzie A jak w punkcie ksero. Teraz to już bardziej przypomina numerację stoiska na targach książki. – Zachichotała, a biust razem z nią i Zosia zwątpiła, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do tego obrazka.

Danka również nie należała do okruszków, ale dzięki żelaznej dyscyplinie i diecie pięciu przemian robiła w rodzinie za chudziutkiego elfa, a widok elfa z turbozderzakami jednak nie należy do codzienności. Nawet Tolkien tego nie dźwignął.

– E-75? – strzeliła na próbę Zosia i również się roześmiała. – Ale to bardziej jak benzyna.

– Dobrze, he he. Mnie o konkrety nie pytaj, to mój pierwszy biust w życiu. Chociaż E to chyba za daleko. Może jakieś D? W każdym razie rozmiar ma znaczenie – niechętnie przyznała.

– Lekko mną poniewiera po chodniku. Znaczą, ciągnie mnie w dół, muszę się od nowa uczyć chodzić. Ale i tak rewelacja, nie? A ty? – Danka już od dłuższej chwili przyglądała się z uznaniem siostrze, choć nawet i przy tej okazji nie potrafiła się powstrzymać i głąskała swoje wypukłości.

– Tak. Znowu jestem smarkulą i mam dzieci kilo mniej – dokończyła Zosia. – Wybacz, staruszko, zaraz będę ci gratulować oddechu i tak dalej, ale najpierw muszę to

zobaczyć. Muszę! Gdzie jest lustro?

Rozejrzała się i stwierdziła, że pokój był co prawda ten sam, ale o przytulności nie mogło być mowy. Po jej biblioteczkę nie został nawet ślad. Na wyposażenie poddasza składały się dwa metalowe łóżka, szafa, komoda, umywalka z ceramiczną miską, dzbankiem i ręcznikami oraz lampa i maleńki stolicek. Ściany miały turkusowy kolor pociągnięty białym wzorkiem, w oknach wisiały poźółłke firanki, a ohydną podłogę z czerwonych desek przykrywał sznurkowy dywanik. Aha, a jeśli chodzi o drobiazgi, to wcięło gdzieś łazienkę. W kącie, gdzie powinien znajdować się kibelek, zobaczyła krzesło. Bez jednej nogi, za to pod spodem stał wielki, emaliowany nocnik.

– Lustro masz w szafie – rzuciła Danka. – Zosia, co ja przeżyłam!

– Ty do mnie mów, ja cię słucham, tylko się tu pozachwycam – zapowiedziała.

Jeśli w życiu kobiety znajdzie się piętnaście minut, podczas których nie może sobie niczego zarzucić, jest szczęściarą. Nieważne, że euforia trwa krótko. Zegar biologiczny Zosi jednak tak dawno nie odmierzał podobnych kwadransów, że teraz stała przed szafą jak oniemiała.

Bo jak nie cieszyć się z faktu, że znowu ma się włosy, a nie ażurkową czapkę? I to jakie włosy! Gęste, lśniące i sięgające do ramion; po prostu marzenie. I chociaż Zosia widziała na ulicy przede wszystkim kobiety z przyciętymi przy szyi falami, postanowiła gwizdać na modę i uczesała się w koński ogon. Jak on dyndał! A jaki był mięsisty. Kucyki My Little Pony ze swoimi ogonkami mogły przy niej co najwyżej zamiatać pastwisko. Zmarszczki też zniknęły. Mogła się uśmiechać, przy oczach nie robiły jej się już kurze łapki, po bruzdach przy ustach również nie było najmniejszego śladu.

Podsumowując, brunetka w lustrze wyglądała jak róży kwiat. Nic dodać, nic ująć. Zosia posłała jej więc buziaka i wybuchnęła śmiechem, bo Danka opowiadała o swojej przygodzie na mieście. Siostrzyczkę z biustem zapakowanym w koronki (nie zapominajmy o mini i pończochach) przeniosło z peronu piątego do kościoła Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii

Panny.

Prosto na sumę.

– Jeśli mam się tam pojawić znowu, to tylko w przebraniu – kończyła właśnie relację. – W każdym razie motyw Marii Magdaleny średnio się sprawdził, bo patrzyli na mnie jak na ufo. Organki zamilkły. Staruszki co chwila się żegnały, pewnie do tej pory modlą się w mojej intencji. A w tramwaju faceci robili o tak – tu Danką wydała z siebie wysoki dźwięk i zrobiła zeza – fi... fi... fi... Jak takie małe zachwycone delfinki. Tylko z babami znowu tragedia. Mówię ci, one są tu strasznie zawzięte, jak jakieś pitbulle albo amstaffy. Jedna mnie opluła. Na sucho. To znaczy najpierw patrzyła na mnie, jakbym jej zgwałciła szesnastoletniego syna, inne zresztą tak samo, a na następnym przystanku wysiadła i powiedziała „Tfu!”. I to jak dobitnie. Wyobrażasz sobie? Tfu!

– Wiesz – Zosia uniosła rozbawiona brwi – mnie to zawsze zastanawiało, że ty niby robisz w sztuce, ale jak się czasem ubierzesz...

– To co? – zapytała wyzywająco Danką.

– To studenci scenografii mogliby się od ciebie sporo nauczyć.

– Po prostu mam swój styl – ucięła wyniośle siostra i z lubością wsadziła nos we własny dekolt. – Co za widok. Chcesz zobaczyć bez stanika? – spytała zachęcająco, ale o taką dociekliwość Zosi nie podejrzewała. – Żartowałam, sprawdzam, czy zniesmaczona nadal wyglądasz młodo. À propos studentów. Ten twój love boy, Mirek... Spotkałaś go? Przecież był z nami na peronie. Słuchaj, a może my powinnyśmy sobie na trzy-cztery trzasnąć po gębie?

Zosia wypuściła powietrze. Za Danką trudno było czasem nadążyć, ale poruszyła właśnie strunę, która drgała już od dłuższej chwili. Cholerny Mędrzycki. Czemu tak się o niego martwiła?

– A nie możemy powiedzieć trzy-cztery i tylko ja ci przywalę? – Zatrzepotała rękami i złożyła usta w ciup. – Ale musimy coś postanowić. Fakt. Już się próbowałam szczypać. I nadal tu jestem. Nie śnisz mi się ani ty, ani to wszystko. – Pokazała

z pretensją na kulawe krzesło. – A chyba nie mamy tego samego snu jednocześnie. To co, idziemy na dworzec?

– W celu?

– W celu zmycia się stąd.

– A biust?! Nie ma mowy. Nie pozwolę, żeby mi go ucięło! Poza tym ty nie widzisz możliwości. Popatrz. – Danka wykonała energiczny wymach ręką, ale jedyne, co Zosia zobaczyła, to nocnik. – Przecież ci ludzie nawet nie wiedzą, co to są chusteczki higieniczne.

– I?

– Albo gumy do żucia.

– I? Usłyszę w końcu jakąś pointę?

– Betoniarko, wiesz, jakie tu są możliwości zarobku?!

Danka.

Jej własna siostra.

Z jednej strony potrafiła filcować wełnę na fikuśny naszyjnik albo czytać Historię architektury i zachwycać się secesją, z drugiej – nie miała żadnych skrupułów, żeby przywłaszczyć sobie jakiś duperel w markecie (drobnych sprzedawców oszczędzała) czy notorycznie jeździć na gapę środkami komunikacji miejskiej. Jeśli znalazłaby czyjąś torebkę, a w niej milion dolarów, myśl o poszukiwaniach właścicielki nie miałyby do niej dostępu, ale jednocześnie działała jako wolontariuszka w ochronce w Lipinach i dla tych dzieciaków była gotowa zrezygnować z premii. Podczas dyskusji, bo Zosia nieustannie wałkowała temat, broniła się filozofią, według której światem rządzą bogacze i ci nie zbiednieją, jeśli od czasu do czasu złożą na jej ręce skromny datek. To, że datek był najzwyczajszą kradzieżą, uważała za kwestię nazewnictwa. I gadaj tu z taką.

Pani kustosz kleptomanką!

Czy ktoś słyszał o podobnym kretyństwie?

W tym momencie Zosię przeszedł dreszcz, a z tyłu głowy coś szepnęło jej zdradziecko:

„Diebel”.

Przecież i z niego był niezły gagatek.

Nagle skojarzenie sprawiło Zosi taką przykrość, że aż się

skurczyła. I z całych sił postanowiła wymazać to ohydne nazwisko z pamięci. Co za absurd! Jakim cudem facet żyjący w dziewiętnastym wieku mógł aż do dzisiaj tryskać genami i mieszać w jej rodzinie? Coś się tam przecież mutuje, zmienia, poza tym to tylko hipoteza, nic pewnego.

Musiała się czymś zająć. Zaraz, natychmiast. A że kłótnia z siostrą była zawsze niezawodnym sposobem na wszelkie smutki, Zosia podeszła do szafki z miską, gdzie leżała kostka szarego mydła, i rzuciła ją Dance na kolana.

– Tak? Możliwości zarobku? To masz, spryciaro, wystrugaj z tego iPoda.

Siostra posłała jej wyniosłe spojrzenie.

– A ty wiesz, jaka impreza będzie tu za dziesięć lat? – strzeliła pytaniem w Zosię, która po raz kolejny uświadomiła sobie, że tacy ludzie nigdy nie zginą.

Danka potrafiła zarobić absolutnie na wszystkim. Nawet na sarnich odchodach. Gdyby ktoś przyozdobił jej wycieraczkę toną łajna, zaśmiałyby się szatańsko i użyła bobków do masowej produkcji koralu, które następnie zalałyby Allegro jako czarne perły. Produkt regionalny rodem ze Śląska.

Aż strach pomyśleć, co wykombinuje teraz.

– Nie wiem. Ale ty masz plany marketingowe na kilka dekad do przodu, tak że na pewno mnie oświecisz.

– Ba, za jakie dziesięć! – Danka aż się zapowietrzyła. – Już za parę miesięcy będzie wesoło. Wielki kryzys, dziewczynko. Krach na giełdzie, kumasz? A potem druga wojna światowa.

– Ty jednak jesteś wstrętna – stwierdziła Zosia z takim zaskoczeniem, jakby właśnie odkryła rad.

– Wiem! Znam cię, pewnie uważasz, że skoro już tu jesteśmy, powinniśmy wziąć kijaszek i zawracać nim Rawę. Może zamach na Hitlera? Nie? Bombka w neseserze Ribbentropa?

– A może tych ludzi po prostu trzeba ostrzec?!

– Których ludzi na przykład? – Danka podeszła do okna i zerknęła na podwórko. – Tę babcię, która coś tam haftuje?

– Szydełkuje. A choćby nawet.

– Tak? To bardzo proszę. Idź zbawiać świat. Może babcia zrobi na szydełku czołg... Jeśli nie weźmie cię za wariatkę.

– To co robimy? – Zosia poddała się, choć rezygnacja z wzniosłych ideałów nie przeszła bezboleśnie.

Westchnęła i odruchowo sięgnęła do stolika, na którym wśród rozrzuconych lekarstw leżała jakaś broszura. Kartka przedstawiała rysunek młodego dziewczęcia ze skromnie opuszczonymi powiekami, a pod spodem znajdował się tekst. Przeczytała go i nieoczekiwanie parsknęła śmiechem.

– Posłuchaj tego... Jak grzecznie odmówić tańca zbyt natrętnemu kawalerowi. A tak przy okazji, jesteśmy zaproszone dziś wieczór na raut. Do urzędu. Panna powinna poważnie patrząc mu w oczy powiedzieć: Odejdź ode mnie, pokuso szatańska, potrawo śmierci wiecznej. I komentarz: Prawdopodobnie młodzian oddali się.

Dankę fragmencik rozbawił niemal do łez. Kazała go sobie czytać po kilka razy, a później z wyraźnym żalem zapytała:

– I ty się chcesz oddalić z takiej epoki? Zaraz, czy ktoś tu mówił o raucie? – zbystrzała. – Jesteśmy zaproszone na raut?!

– Nie ma mowy. W tej wyciskarce do mleka nigdzie nie pójdziesz

– Ale tu są jakieś ubrania. – Danką z ogniem w oczach rzuciła się do szafy, jednak znalezione rzeczy były zaledwie czyste i schludne, żeby nie powiedzieć skromne. A każda kobieta ma świadomość, że słowa opisujące kreację wieczorową powinny brzmieć nieco inaczej. Na przykład szalowa i olśniewająca. Albo w przypadku niektórych osób: stonowana i elegancka. – To może skoczmy do H&M? – palnęła z rozpędu, przyglądając się z odrazą plisowanej spódniczce, która sięgała jej do połowy łydki. – W tym bym nie poszła nawet ze śmieciami.

– Nie wiem, czy H&M ma aż tak długą tradycję. Poza tym w niedzielę panują tu inne trendy, a na miejscu Silesii stoi kopalnia, tak że z twoich planów raczej nici. – Zosia sprowadziła siostrę na ziemię.

I to dość skutecznie, jak się okazało, bo Danką zamarła i otworzyła szeroko oczy.

– Laptop... I portfel. Walizka, nie mam walizki! Zaraz się załamie. Cała moja praca poszła na marne – biadoliła. – Miałam tam wszystko, rozumiesz? Wszystkie moje notatki,

materiały, artykuły. Te na wystawę o Katowicach i te o Dieblu.

Zosia rozumiała doskonale. Jutro miała wygłosić bardzo ważny wykład, przesłać artykuł do publikacji, o konferencji naukowej nawet bała się w tym momencie myśleć. Znowu wróciły więc do punktu wyjścia.

– Czyli co? Dworzec? – podsunęła usłudźnie.

Danka skinęła głową. Z cierpieniem wymalowanym nie tylko na twarzy, ale i na biuście, który z żalu zaczął jej falować niczym lany żyta w wietrzny dzień.

– Ale najpierw pójdziemy do mojego mieszkania – postanowiła. – Może jakimś cudem walizkę doteleportowało na miejsce. A to? – Wskazała z zainteresowaniem na kuferek, który Zosia postawiła przy łóżku. – Już to gdzieś widziałam.

– Dostałam od profesora. U ciebie mieszka chyba jakaś Beczka – zagaiła spieszenie Zosia.

– Ktoś mieszka. Jakaś durna baba tłucze się po mojej kuchni jak poparzona.

– Tłucze się, bo musiała coś przypalić. Okrutnie śmierdzi.

Danka, pełna niepokoju, wciągnęła nosem powietrze.

– Faktycznie. Daje po dziurkach, jakby ktoś opalał ze świni szczecinę. Przypaliła? Przecież ja niedawno kupiłam nowe garnki!

Oprócz miłości do literatury, samochodów i wszystkiego, co posiadało silnik, Mirek Mędrzycki miał jeszcze jedną słabość, z którą w żaden sposób nie potrafił wygrać, choć zwycięstwo by się przydało, bo od kłesk rósł mu powoli brzuszek.

Słodczyce.

Na widok zwykłego ptysia Mirka aż szarpało i nie było siły, codziennie musiał wypić kawę i zjeść coś słodkiego. Goliat podzielał zboczenie swojego pana, a już za ciastami wręcz przepadał, dlatego w Café Otto czuł się jak w raj. Najpierw dostał kawałek tortu, a potem wmlócił szarlotkę z bitą śmietaną, którą kelner położył przed nim na talerzyku. Z najprawdziwszej porcelany, a jakże. Bynajmniej nie

wpuszczano do tego zacnego lokalu czworonogów, ale psina w cylindrze wszędzie robiła furorę, poza tym Mirek wcisnął do ręki portiera przyjemnie szeleszczący papierek.

Było go stać.

W kieszeniach znalazł dwa pękate zwitki banknotów o najwyższych nominałach. A z tego, co mówił ten gadatliwy rudzielec, Grześ Nawiązka, który, zdaje się, był jego współnikiem, powodziło im się nadspodziewanie dobrze. Samochód, firma handlująca ropą, dwie kamienice, prywatna willa i służba. Willi jeszcze Mirek nie widział, o służbie myślał z przerażeniem, dlatego ucieszył się, kiedy jego nowy kompan zaproponował lans w centrum. Była niedziela i podobno spędzenie jej w całości w domu zostałyby uznane za dziwactwo. Porzucił więc na razie myśl o dworcu, w końcu od wypicia kawy i zjedzenia kawałka wybornego tortu Sachera świat się nie zawali, a tunele czasowe się nie pozapychają.

Chyba.

Ale mieć taką możliwość i nie odwiedzić Kryształowej, która przed wojną słynęła jako najbardziej elegancka kawiarnia w mieście? Tego by sobie nie darował. I była to jak najbardziej słuszna decyzja, bo dla Café Otto stracił głowę już kilka metrów przed lokalem. Mgiełka arabiki otulała przechodniów, trotuary, samochody, drażniła nozdrza i po prostu zmuszała, żeby wstąpić na filizankę. Kamienicę zdobił szyld w kolorze najczarniejszej czekolady, a wewnątrz...

Kryształowe żyrandole, marmurowe stoliki, obrazki, bibeloty, bibelociki. W każdym razie chińszczyzny zero, za to klasa, wysmakowana obfitość i sznyt. Musiałyby to wszystko zobaczyć pani, która dokonała tu takiej kuchennej rewolucji, że po wyjściu z lokalu czuło się przede wszystkim smaczek lingwistyczny, bo „żur śląski” widniał w menu jako „Traditional Polish sour soup”. Mirek nie podzielał optymizmu właścicielki, Ślązacy znają języki. I to od dawna.

Jego dzisiejsza wizyta w kawiarni była tego najlepszym dowodem. Na sali słyszało się nie tylko polski i niemiecki, ale również francuski – dama na kanapie tłumaczyła coś dżentelmenowi we fraku i co chwilę dolatywało od okna jej

zdumione „Oh mon Dieu!”

– Stary już jest – rzucił znad filizanki Nawiązka, ale Mirek aktualnie był zajęty czymś zupełnie innym.

Już dawno odkrył, że jego wydatny nos to źródło udręki, ale i rozkoszy jednocześnie. Zmysł węchu miał rozwinięty niemal tak samo jak Goliat i teraz dla przykładu pachniało mu topionym masłem i wanilią. Na domiar złego kuchcik układał w przeszklonych witrynkach coraz to nowe wypieki. Makowce, serniki, pączki...

Zosia bardzo lubiła pączki.

– Ile tu jest peronów? – zapytał rudzielca i siłą woli zmusił się, żeby odwrócić wzrok od ogromniastego tortu, jaki zajechał właśnie pod kontuar. – Mam na myśli dworzec.

– Z tego, co mi wiadomo, to siedem.

– A nie pięć?

– Pięć, ale są jeszcze dwa przy towarowym. Trzeba dojść. A czemu?

– A nic, mam tam dzisiaj sprawę.

– Sprawę, Mędrus, to ty masz dzisiaj tutaj. – Nawiązka spojrział wymownie na faceta we fraku. – A za parę godzin następną. Na balu. Czarna Zośka. – Zniżył głos. – I w ogóle trzeba zebrać chłopaków i ustalić plan.

Chłopaków?

Czy to znaczyło, że było ich więcej?!

– Plan... Ustalimy, ustalimy, chociaż jak cię znam, na pewno już coś wymyśliłeś – spróbował pochlebstwa, które padło na wyjątkowo podatny grunt.

Grześ Nawiązka poprawił kamizelkę i rozochocony przysunął krzesło. Miał w sobie mnóstwo zapału. Po prostu pracownik miesiąca. Czy raczej przestępca miesiąca, jeśli robili razem w tej samej branży, a jak na razie wszystko na to wskazywało.

– Mędrus, a od czego mnie masz?! Się wie, że wymyśliłem. Plany to moje życiowe powołanie. Ale najpierw robimy po twojemu. Dzisiaj szmery bajery szwajcarskie rowery i, jak było ustalone, ogrywasz starego w pokera – rzucił leciutko i już chciał roztaczać kolejne wizje, ale Mirek mu przerwał.

– Słucham?

Owszem, w pokera grywał, ale przecież nie: wygrywał! A w ogóle to dowiadywał się na swój temat różnych ciekawych historii. Jeśli prowadził w dwudziestoleciu jakieś życie równoległe, nieźle się w nim urządził. Poza tym był chyba dosyć znany, bo co chwila ktoś mu się kłaniał. Facet we fraku również. Zakaszłał, a potem pomachał znacząco cygarem, jakby dawał umówiony znak. Mirek skinął w odpowiedzi głową i wrócił do przerwanej rozmowy.

– Stary musi sięgnąć po złoto – ciągnął z determinacją rudzielec. – I ty go do tego zmusisz. W pokerze nie masz przecież sobie równych. Po ostatnich partyjkach staruszek się rozochocił, myśli, że z ciebie kiep, ale z tym już basta. Tylko nie przeholuj, Mędrus! Na początku pozwól mu trochę wygrać, ale potem udaj zrozpaczonego i obstaw folwark.

Znowu złoto. I Diebel, a do kompletu Czarna Zośka. O tym już słyszał. Ale co wspólnego z tą całą hecą miał elegancki starszy pan, tego Mirek nie pojmował.

Zaraz, co ten Nawiązka znowu wygaduje?

– Folwark? Mam obstawić folwark?!

– A jaki to folwark, bracie? Sam mówiłeś, że pora już skończyć z krowami. Ileż można hodować wymionom...? Poza tym rządca zaczął kraść, musiałbyś nająć kogoś nowego. Ale o czym mowa, przecież wygrasz.

Aha, czyli do jego skromnego majątku doszła właśnie kolejna pozycja. Folwark. I co jeszcze? Może ujęcie ropy naftowej w ogrodzie na Zajączka? Z żalem pomyślał, że zaledwie wczoraj nie było go stać na alimenty. Zaraz, czy nie dałoby się stąd zabrać kilku milionów i przetransportować do przyszłości?

– Tylko tak to rozegraj, żeby Beniszewskiego ruszyła ambicja. I żeby odpowiedział kamienicą. Wiadomo, że prędzej dobędzie złota, niż odda dom. Zaprowadzi nas do kryjówki, a wtedy my...

Mirek westchnął. Prawda, jest przecież przestępcą. I to chyba złodziejem. Ciekawe, czym jeszcze się zajmował. Szulerka? Może jakaś afera korupcyjna z paliwami w tle? Te krowy i folwark nie przestawały go zastanawiać. Ale chyba nie handlował wściekłą wołowiną?!

– Ruszamy, Mędrus. – Nawiązka wstał, bo facet we fraku

znowu zaczął wywijać cygarem. Przeszedł obok nich, spojrzął wymownie, a potem pomaszerował do kontuaru, przy którym znajdowały się schody na pięterko. Wdrapał się tam i znikł za drzwiami. – Powodzenia, bracie. I pamiętaj, zimna krew, tylko zimna krew. Do dzieła!

Zimną krew Mirek musiał zachować już teraz, bo Goliat skorzystał z chwili nieuwagi i postanowił zawrzeć bliższą znajomość z porcelanowym tygrysem, który rozpierał się pod ścianą. Najpierw uważnie mu się przyjrzał, potem, licząc na żywiołową reakcję, zaszczekał, a kiedy spotkał się z obojętnością, dziarskim krokiem podszedł do figury, zadarł nóżkę i odpowiedział tym samym.

Olał gościa.

Zosia niby została uprzedzona, że w jej życiorysie zaistnieje ktoś taki jak Beczka.

Ale nie wiedziała, że należy to odczytywać dosłownie.

Kiedy grzecznie zapukały do mieszkania Danki, w środku rozległo się pełne pretensji „Czego tam?!”, a po chwili o ścianę gruchnęły rozwarte z impetem drzwi i pani Beczka ukazała się przed nimi w pełnej krasie.

Nazwisko pasowało do kobiety jak ulał.

Miała okrągłą, pocziwą twarz i mogłaby nawet uchodzić za niebrzydką, gdyby nie nos, który upodabniał ją do byczka Fernando. Był rozłożysty i wyposażony w dwie szerokie i przepastne dziury, aż dziw, że nie leciały stamtąd kłęby pary. Pani Beczka miała też ręce i nogi i te nie wyróżniały się niczym szczególnym, natomiast tułów tworzył z całą resztą mięsistą kulę, która pozostawała w nieustannym ruchu. Jeśli Zosia podejrzewała Dankę o ADHD, to teraz zyskała pewność, że mogło być gorzej. Na pani Beczce ruszało się niemal wszystko, a każdy z jej członków w rytm innej melodii. Ręce poprawiały loczki na blond grzywie, nogi rapowały, brzuch, chwając łąki umajone, wylewał się poza fartuch, a piersi – Danką poczuła się oszołomiona – pozbawione stanika piersi przetaczały się to

w lewo, to w prawo, siaba da ba da, i nie mogły się zdecydować, czy osiąść na pępku, czy biodrze.

Gospodyni nie traciła czasu na czułe powitania, ale wycelowała spojrzeniem swoich świdrujących oczek w Dankę i wykrzyknęła:

– Łapserdak!

Danka jak stała, tak otworzyła buzię i dopiero po kilku chwilach wydukała:

– Jaki serdak? Gdzie?

– Łobuz! Łobuz, łotr, i łazęga. – Pani Beczka dostała jakiegoś amoku. Najpierw cała poczerwieniała, potem rzuciła się do okna i zaczęła wygrażać firance. – To łajdak!

– Ale kto? – Danka oprzytomniała i odważyła się wejść do środka, bo zapach spalenizny wciąż jednak był przejmujący. Uspokoila się dopiero, kiedy zobaczyła otwarty piec, a w nim osmaloną brytfanę.

– Panny wchodzą. – Gospodyni pokazała na stół, co chyba oznaczało zaproszenie, więc Zosia zamknęła za sobą drzwi.

I z zaskoczenia unieruchomiło ją w miejscu.

Danka, jako dusza artystyczna, a do tego osoba ceniąca rozmach, urządziła swoje mieszkanie starannie, choć zwykle panował w nim nieprawdopodobny bałagan. Natomiast pani Beczka spokojnie puściłaby sanepid z torbami, bo z królestwa chaosu potrafiła zrobić miejsce schludne i czyściutkie do bólu, ale niepozbawione ciepła. Z korytarza wchodziło się od razu do kuchni, która niby jaśniała od bieli i błękitów, ale pełna była czegoś nieuchwytnego. Czegoś, co sprawiało, że chciało się tu usiąść i zostać na talerz rosółu.

Podobnie jak w ogródku przed domem każdy przedmiot miał tu swoje miejsce. Pod ścianą rozpierał się bielutki kredens zastawiony porcelaną i różnymi drobiazgami, w rogu stał niebieski okaflowany piec. Dalej stół, maszyna do szycia i jakaś decha z dwiema miskami pod kranem. A obok dziwna drewniana skrzynia. W oknach fikuśnie haftowane zasłonki i to, co Zosia lubiła najbardziej. Pelargonie. Całe mnóstwo. Kolorystycznie nawiązywała do nich czerwona podłoga, widocznie była w pakiecie całej kamienicy.

Danka patrzyła na to wszystko równie oniemiała jak jej siostra i z trudem łapała powietrze. W końcu została pozbawiona dachu nad głową.

– Jak to kto?! – Gospodyni aż się zachłysnęła. – Beczka przecie. Albo inaczej: Beczkowóz! Szynekwas by lepiej prowadził, a nie na kopalni robił, bo na tym najwięcej się wyznaje. Gorzałkę to nawet w kościele znajdzie, łachmianiach jeden. To łachudra!

Zosia w sumie była zachwycona. Usłyszeć tyle wyzwisk i wszystkie na literę ł? Przywarła wzrokiem do wydatnych ust pani Beczki i w napięciu czekała na więcej. Nie zawiodła się.

– A mówiłam, że ma się nie wydalać!

Danka w oszołomieniu popatrzyła na siostrę i usiadła przy stole. Jej również zaczęło się udzielać. Oczami wyobraźni ujrzała małżonka Beczkowej, tego łotra i łobuza, który kuca na czerwonej podłodze i...

– Tylko na pół godzinki zaszłam do Gajdzikowej, żeby zaplanować toaletę. Tyle mu starczyło, łysej pale. I ja dla takiego rzuciłam stolicę!

Zosia natomiast pomyślała o emaliowanym nocniku na poddaszu i poczuła dla pana Beczki coś na kształt współczucia. Może miał parcie, może wynikała sytuacja kryzysowa i chłop nie zdążył. Takie rzeczy się dzieją. Tym bardziej w świecie, w którym cywilizowane WC pozostaje w sferze marzeń.

– Tu nie ma toalety? – upewniła się Danka, która teoretycznie znała przedwojenne realia, ale przeczuwała, że nowe doświadczenie pozostawi na jej psychice trwałe ślad.

– Że jak? – Pani Beczka nie skojarzyła. Podparła się rękami i dopiero teraz obejrzała siedzącą przed nią dziewczynę. I ten obrazek wcale jej się nie spodobał.

– Łazienki, kibelka, nie wiem... O prysznicu nie marzę, ale by się przydał.

– A tak konkretnie to o co się Dance rozchodzi? Może Zosia wie?

Beczka znowu je zakasowała – wymieniła ich imiona. Z tego chyba wynikało, że one już w tym świecie istniały. Jeśli tak, na uczelni i w muzeum wylądowały pewnie jakieś ich

odpowiedniki!

Danka musiała się mocno wysilić, żeby uporządkować myśli, a w dodatku znaleźć inne określenie, które byłoby dla rozmówczyni zrozumiałe.

– Rozchodzi mi się o... wychodek.

– A Danka ma potrzebę? Jak tak, to na podwórko. Albo na górę. Nocnik tam przecie macie. Co mnie do tego?

– Bo mówiła pani o jakiejś Goździkowej...

– Gajdzikowej. Planowałyśmy dla jej bratowej suknię i bolerko – wyjaśniła Beczkowa i Dance dopiero teraz zaświtało, że pewne słowa mają tu zupełnie inne znaczenie.

Przecież „toaleta” określała całość kobiecego stroju, ale o co chodziło z wydalaniem, nadal nie pojmowała, choć na pewno i tę czynność należało odczytywać w nowym kontekście.

– Gajdzikowa, kobieta poczciwa z kośćcami, wiadomo. Ale te młode to mają tera przewróconą głowę. O! Tamta myśli chodzić w spodniach, a tu Danka odsztafirowała się jak... – Pani Beczka załamała ręce i zamilkła, a jej nozdrza rozděły się w zgorzeniu. – Jakby z bele kim romanse chciała odstawić – dokończyła, choć widać było, że zamierzała użyć zupełnie innych słów. – A tu takie wytworne suknie wchodzą do mód.

Wzdychając boleściwie, wyturlała się z kuchni, a Zosia z Danką za nią. Przecież to był najprawdziwszy skarb! Musiały być blisko, słuchać, delektować się tym słowotokiem i nie uronić choćby sylaby.

„Poczciwa z kośćcami”?

„Przewrócona głowa”?

Od współczesności dzieliło je ponad osiemdziesiąt lat. Owszem, dialekt mandaryński to to nie był, ludzi rozumiały, ale obcować z taką polszczyzną? Dzika przyjemność.

Pani Beczka, nieświadoma doznawanych w jej obecności rozkoszy lingwistycznych, zaprowadziła Zosię i Dankę przez pokój stołowy do ostatniego z pomieszczeń. Sądząc po wielkim małżeńskim łożu, szafach i toaletce, była to sypialnia, która dodatkowo służyła pani domu za coś w rodzaju pracowni. W rogu znajdowały się sterty materiałów, deska do prasowania i drewniany manekin, co pozwalało wnioskować, że gospodyni

musiała być krawcową.

– I jak? Macie coś do wyrzucenia? – Z zadowoleniem podparła się pod boki i pokazała na szafę, gdzie wisiały dwie prześliczne suknie.

Jedna ze srebrzystego jedwabiu podszyta jakąś przezroczystą materią, druga z bordowej organdy wykończona przy szyi małąkimi kwiatuškami.

Szyk i kwik w pegeerze to mało.

– Ale do jakiego wyrzucenia? Pani to chce wyrzucić?! – Danka uniosła w proteście ręce, a pani Beczka z irytacji aż sapnęła.

– Co też Dance dzisiaj dolega? A, prawda! Przecie wyście tu na czcnych żołądkach. A Zosia jak się czuje? Zdrowa wreszcie? – rzuciła pytaniem, ale raczej nie liczyła na odpowiedź, bo już nadawała o czym innym. – Od tygodnia nosów z pokoju nie wystawiacie, aż się frasowałam, bo na zimnej kuchni to się długo nie pojedzie. Ale robotę miałam i myślę, co będę napierać. Dzisiaj tańce w urzędzie, po suknie traficie. I jak, nadadzą się?

Zosia starała się zapamiętać z tego dialogu jak najwięcej. Wyrzucenie, które Danką połączyła ze śmietnikiem, a które zapewne znaczyło tyle co „zarzuty”, również zostało wciągnięte na listę. Pytanie gospodyni o zdrowie nasunęło jej z kolei skojarzenie z lekarstwami, które widziała na stoliku. Na szczęście czuła się wybornie.

Wręcz znakomicie.

– Dawno nie widziałam takich śliczności. Sukienki są doskonałe – zapewniła Beczkową z uczuciem i porozumiała się z siostrą wzrokiem. Bordo to był kolor Danki, bez dyskusji. Z kolei Zosia, unikająca do tej pory szokowania ubiorem, stwierdziła, że nie chce się już dłużej zlewać z gruntem. Do brązów i zieleni tudzież innych barw z palety runa leśnego poczuła nagle szczerą awersję. Srebrna sukienka mrużyła filuternie oko i tyle obiecywała, że nie można jej było tak po prostu zignorować. – Możemy przymierzyć?

– A po cóż ja się mordowałam? Przymierzać, jasna rzecz, że przymierzać. I to raz dwa. Poprawki po obiedzie... A ta szelma

potrafi się urwać nawet w niedzielę. Pasztet nastawiłam, mówię: nie wydalaj się. Choćby na krok. Pilnuj. To już! Ledwom znikła za rogiem. Poszedł! I tyle go widzieli. Szelma... Szelma, szuja i szubrawiec!

Mirek z całych sił starał się nie zawieść Nawiązki i przegrać, ale, jak się okazało, była to doskonała metoda, żeby orznąć w pokera nawet największego cwaniaka.

Nie było rady.

Chociaż wił się i szarżował albo z kolei odpuszczał, podejmując najbardziej idiotyczne decyzje, karta kleiła mu się do ręki jak szalona. Grześ mógł wzdychać, szarpać na stronie kędzierzawą czuprynę, a Mirkowi i tak przelatowały przed oczami asy, króle, damy i walety. A całe to bezczelne towarzystwo, jak na złość, tarzało się w odpowiednich kolorach.

Mężczyzna nazwany Beniszewskim również nie był zadowolony. Pośród starannie przystrzyżonej brody zaciskał usta, purpurowiał, a z rozdania na rozdanie zanosił się coraz silniejszym kaszlem. W końcu podziękował i burknąwszy coś na odchodne, wyszedł. I wtedy w pokoiku, który zdawał się wchłaniać każdą ilość tytoniowego dymu, pojawiła się ona.

Postrach prawa rodzinnego.

Kobieta bez kagańca, czyli... Edyta.

Goliat wyczuł ją pierwszy. Wskoczył Mirkowi na kolana i zaskomlał, a Mirek doznał najpierw wstrząsu, a potem przyływu żalu. Bo z chwilą przybycia małżonki karta się wzięła i na niego wypięła. Tyle że o kwadrans za późno. Przestała iść, a raczej szła na przekór. Im bardziej Edyta się uśmiechała (miała drobne, drapieżne ząbki i naprawdę można się było tego uśmiechu przestraszyć), tym więcej tracił. Wreszcie zarządzono przerwę, ale i tak zdążył przepuścić wszystko, co ugrał na Beniszewskim.

Czy już nigdy się od tej kobiety nie uwolni?

Musiała go dopaść nawet tu, gdzie powolutku zaczynał się

czuć jak Al Capone?

W końcu trafił do świata, w którym największym szaleństwem nie był zakup skórzanego portfela albo krasomówcze popisy przed studentkami. O nie, tu mógł sobie pozwolić na dużo więcej. Jeszcze do końca nie wiedział, co to „dużo więcej” oznacza, ale nowe możliwości pchały się do niego z każdej strony. Dosłownie czuł je przez skórę i z chwili na chwilę był ich coraz bardziej ciekaw.

Edyta stała przy oknie i paliła papierosa. Niby nic, ale spod rzęs słała Mirkowi tak powłóczyście spojrzenia, że bez problemu zamiotłaby nimi na glanc podłogę w całym lokalu. I najwyraźniej w tej wyfiokowanej główce coś się kłuło. A jeśli się kłuło, mógł być pewien, że nie wyjdzie mu to na dobre.

Ciekawe, jakie łączyły ich tutaj relacje.

– Jak zwykle wejście masz spektakularne. – Wskazał na kłębiących się przy stolikach facetów, którzy popatrywali na Edytę to niechętnie, to z ciekawością, z czego wywnioskował, że kobiety nie były tu mile widziane.

– Panie sąsiedzie, pan nie przestajesz mnie intrygować. – Edyta wydmuchnęła od niechcienia dym i prowokująco zatopiła się w jego spojrzeniu.

Oczy miała duże i ładne, ale doskonale wiedział, że w jednej chwili potrafią się zwięzić w dwie wredne szparki, przez co ten słodki dzióbek przeobraża się nagle we wściekłą gębę mudzahedina. Nie zwiodył go też perły na mlecznej szyi ani sukienka à la „ciągły dostęp”. Już to przerabiał i dostęp bynajmniej nie dotyczył miejskich wodociągów, mimo że rozciągał się na kilka dzielnic. Mirek zdecydowanie wolał mniej popularne fasony, za to w stylu „tylko dla wybrańców”.

Nazwała go sąsiadem? Ależ to była wspaniała nowina! Dzieliła ich ulica, trawnik, płot i psia buda czy co tam jeszcze. Nieważne. Liczyło się tylko jedno.

TUTAJ nie byli małżeństwem.

– Tak? A to czemu? – zagruchał miłym głosem, bo właśnie upajał się chwilą.

– Jednego dnia jesteś pan oschły i traktujesz mnie niczym puste bawidelko. A drugiego... Fiut! I beztrzesko łamiesz pan

etykieta. Odkąd to jesteście na ty? Nie zagalopowałeś się pan nieco? – Pogroziła mu kokieteryjnie palcem i Mirek powstrzymał się, żeby jej tego palucha nie odgryźć.

„Fiut” w usteczkach, które znały o wiele gorsze przekleństwa, zbytnio Mirka nie zdziwił, ale Edyta – ta nowa Edyta – pretendująca do miana damy to był jednak niesamowity widok.

– Etykieta? Osobiście wolę etykiety. – Pokazał na butelkę wina, co sprawiło, że nagle oprzytomniał.

Czy nie tego właśnie potrzebował, żeby wrócić?

Dworzec, peron i butelka.

Rzucił się więc do stolika i, nie pytając grających przy nim jegomości o zgodę, dopadł do... Chardonnay. Rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty pierwszy. Poczul, że pod koszulą zbiera mu się zimny pot. A jeśli rok produkcji podpowiadał, do jakich czasów się przeniesie?

Skąd w takim razie w dwudziestym wieku wytrzasnąć wino z roku dwa tysiące czternastego?!

– Zatem... Mirku, niezmiernie mi miło. – Edyta wystawiła rączkę i najwyraźniej oczekiwała, że się do niej przyssie.

Gdyby należała do kogoś innego, Mirek z pewnością by uległ. Zauważył, że panie cmokano tu po rękach nagminnie, takie czasy, wiadomo. Jego dziadkowi by się podobało, ale czułe gesty wobec kobiety, która go zdradziła? Z czułych gestów w grę wchodziło jedynie podduszanie. I to poduszką, żeby nie musiał dotykać larwy gołymi rękami.

– Mnie... Ykm... Również – oznajmił i uklonił się, a rączka wisiała w powietrzu i wisiała, ale wbrew jego życzeniom nie uszła.

Do rozmowy wmieszał się bowiem Grześ Nawiązka, który najpierw wybiegł z sali za Beniszewskim, a teraz wrócił i od jakiegoś czasu obserwował ich zza filaru. Rączka zmobilizowała go jednak do działania, teraz gorliwie jej dopadł i na swoje usprawiedliwienie zaczął się gęsto tłumaczyć.

– Pani Edyta, jakże mi przyjemnie. Błagam o wybaczenie, że tak wpadam z tupetem, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Pragnę tylko zapytać, czy spotkamy się wieczorem? Jeden taniec. Tylko jeden taniec, jeśli mogę prosić.

– Panowie też będą na raucie?

– Się wie... To znaczy, w rzeczy samej. – Rudzielec co chwila giął się w ukłonach, aż Mirkowi zrobiło się go żal. Gdyby wiedział, co pani Edyta potrafi zrobić ze zbyt miękkimi kolesiami... – Pan Mędrzycki nie przepuszcza żadnego balu. Prawda, bracie?

– Taaa – bąknął i spojrział tęsknie w kierunku drzwi.

– A mąż szanownej pani? – Grześ nie odczytał aluzji i wypytywał dalej. – Również będzie obecny?

Aha, a więc na tapecie był jakiś frajer.

Gratulacje.

Edyta spojrzała spłoszona na Mirka i machnęła lekceważąco ręką.

– Owszem. Ale Oskar jest raczej niebywały. Nie przepada za takimi rozrywkami. Podejrzewam, że czekają mnie najprawdziwsze nudy.

– Ależ nie pozwolimy na to. Tym bardziej proszę mieć nas na względzie. Jeden taniec. Albo dwa. Będziemy z panem Mędrzyckim zaszczytzeni.

– Taaa...

– W takim razie do zobaczenia. – Edyta uśmiechnęła się jak głodny kot i znowu wykonała numer z usychającą łapką, ale Mirek nawet tego nie zauważył. Złożył przepisowy ukłon i już pędził przed siebie.

Nawiązka dogonił go dopiero przy wyjściu z kawiarni.

– Mędrus, ty masz łeb. Uwodzić córkę Beniszewskiego?!

Od tej wiadomości Mirka wbiło niemal w obrotowe drzwi. Przeturlał się po skrzydłach, wpadł na portiera i dopiero na zewnątrz mógł zażądać wyjaśnień. Choć bardziej przypominało to rozmowę dyplomatyczną o tajnych bazach CIA w Polsce. Po kilkunastu okrężnych pytaniach, sugestiach i podstępach Nawiązka nadal tryskał entuzjazmem, natomiast Mirek zbladł.

Dowiedział się, że jest złodziejem, owszem, ale nie byle jakim. Oficjalnie wiezie na miejscu życie szanowanego obywatela. Pomnaża majątek, chodzi do kościoła, a nawet angażuje się w sprawy miasta. Natomiast od czasu do czasu podróżuje po Polsce „w interesach” i wtedy kradnie i oszukuje, jednak na

ofiary wybiera tylko finansistów, polityków albo przemysłowców. Co do Edyty... Jest córką faceta z cygarem i mimo że ma męża, od dawna ostrzy na Mirka pazurki. W dodatku okazało się, że cała rodzina Beniszewskich mieszka w jednym domu na ulicy Zajęczka. Dokładnie naprzeciwko niego.

I najważniejsze.

Stary wygadał się kiedyś po pijaku, że swój majątek zawdzięcza dziadziusiowi, niejakiemu Böenischowi, który dwa pokolenia wstecz był współnikiem Louisa Diebla i go wykolegował. W efekcie Beniszewscy weszli w posiadanie obłędnej ilości złota.

Od tamtej pory Mędrus i jego banda myśleli tylko o jednym. Przejąć goldy.

Chłop potrzebuje chociaż chwili odpoczynku.

Jakiś kompromis między domowym ciepłkiem a wolnością być musi, bo jak go nie ma, wszystko bierze w łeb. Pan Błażej Beczka całe życie wychodził z takiego założenia i chociaż kochał swoją małżonkę ze wszystkich sił, od czasu do czasu potrzebował odrobiny wytchnienia.

Adelę poznał prawie trzydzieści lat temu i nigdy swojego wyboru nie żałował, choć początki były trudne. Jego przyszła żona opowiadała się przeciwko autonomii Śląska, a Korfantego uważała za piniacza i awanturnika. I chociaż pan Beczka zgodził się we własnym domu mówić po polsku, bo Adelcia nie rozumiała gwary, to jej zapatwienie w Piłsudskiego mocno go złościło. Jednak serce nie sługa. Dla energicznej blondynki z Warszawy stracił głowę zaledwie po jednej potańcówce w remizie, ale jego rodzina potrzebowała kilku lat, żeby się przekonać do „obcej”. Dopiero kiedy wyszło na jaw, że Adela potrafi przyrządzić roladę i modrą kapustę lepiej niż niejedna Ślązaczka, że robota pali się jej w rękach, a do tego jako krawcowa nie ma sobie w Dębie równych, w rodzinie odetchnęli. Jednak na krótko, bo Adelcia zabrała się i za nich.

Po śmierci nestora rodu i swojego największego przeciwnika zorganizowała przepiękny pogrzeb, owszem, ale już następnego dnia zaczęła rządzić Beczkami niczym cesarzowa i nie było gadania, że kobieta powinna siedzieć w domu i słuchać męża.

Nikt nie ośmielił się jej przeciwstawić.

Ale też i pan Błażej nigdy nie pchał się do przeciwstawiania i rządu. Wystarczała mu gazeta, partyjka skata i odrobina gorzałki, którą mógł wypić z przyjaciółmi. Jeśli do tego dobrze zjadł i się wyspał, był najzwyczajniej szczęśliwy.

Trochę tylko ubolewał, że taka dorodna kobieta jak Adela nie powiła mu potomka, ale widocznie nie było im pisane. Po tylu latach zdążył się już z tą myślą oswoić, tym bardziej że Bóg dał im Zbigniewa. Tyle że Zbyj – tak nazywali osieroconego kuzyna Adeli, którego przygarnęli i odchowali jak swojego – to już był teraz dorosły mężczyzna. Długo się nim nie nacieszyli. Najpierw pojechał do szkół, potem dostał posadę w stolicy i znowu zostali sami.

Ale Zbyj nie zapomniał o nich, starych. Zajeżdżał, dbał. O, zaledwie tydzień temu podrzucił na stację dwie panny. Zosię i Dankę. Panienki zaczynały pracę w Katowicach, a mieszkanie czekało do odbioru dopiero za miesiąc, nie miały się więc gdzie biedactwa podziąć. Obie były nadzwyczaj grzeczne, skromne, Zbyj je zachwalał, więc wyprosili u właścicielki poddasze. Trochę zachodu z tym było, bo najpierw pan Błażej pomagał odświeżyć górę, potem Adela nabrała chęci i zagoniła go do malowania kuchni, ale skończyło się nieźle. Małżonka dostała przy pannach jakieś krawieckie roboty, po remoncie też nie wiedziała w co wsadzić ręce, więc nastąpiła chwila upragnionego spokoju.

A spokój jako towar luksusowy należało szybko wykorzystać.

Dzisiaj na przykład zamierzali uczcić krzyż. Jego przyjaciel dostał od prezydenta medal za pracę w kopalni i tak całkiem na sucho to jednak nie wypadało tego przyjąć do wiadomości. O nie, nie. Sprawa wagi państwowej. Skrzyknęli się więc z kamratami i po obiedzie skoczyli nad Rawę. W krzakach chmielu porastających rzekę, gdzie na prowizorycznym stolyczku z pnia parzyły się damy i walety, czuli się jak

w najlepszej knajpie.

Dzień był piękny jak rzadko.

Wszystko na świecie cieszyło się z odejścia zimy – kości pana Beczki również. Okładane promieniami UV zapominały o reumatyzmie. Trawy wystawiały ku słońcu swoje pozieleniałe szpikulce, a od Sośniny szedł zapach krowiego łajna, które na wiosnę zalatywało czymś zupełnie innym.

Nadzieją.

Tyle że kart to nie dotyczyło, pan Beczka obrywał dziś prawie w każdej licytacji i koniec końców przegrał z kretešem. Aż pożałował, że nie zabrał wędki, przynajmniej byłaby jakaś pociecha. Ale nad rzeką nie można się nudzić, bo nawet takie beczynne siedzenie na brzegu po całym tygodniu harówki ma swoją wartość.

Rawa szemrała ściekami przy każdym muśnięciu wiatorku, niosła na falach kłójące się kaczki i powoli sunęła w stronę młyna. Przy mostku dzieciaki zrzucały do niej stateczki i to urwis sąsiada pierwszy wypatrzył coś w wodzie. Najpierw przetarł zdumiony oczy, potem zachłysnął się ze szczęścia, a na koniec wrzasnął na całe koryto:

– Tam, widzicie? Noga! Wystaje noga. Mamy utopca! Utopiec płynie!

Podstępem wywlekły w końcu z Beczkowej, że wynajmują pokój na piętrze, a trafiły tu przed tygodniem dzięki niejakiemu Zbyjowi, kuzynowi pani Adeli. Potwierdziło się także to, co Zosia usłyszała od Oskara. Były urzędniczkami, a dziś czekał ich bal z okazji oddania Urzędu Wojewódzkiego.

I może dotarłyby w końcu na dworzec, gdyby nie sukienki.

Po przymierzeniu okazały się uszyte rewelacyjnie, a co jak co, ale sukienka, w której nie wygląda się jak pracownica przetwórstwa rybnego w fartuchu, jest na wagę złota. Zosia z Danką postanowiły więc dać spokój dworcom i peronom, zresztą i tak nie dysponowały butelką wina, a podejrzewały, że ten szczegół miał w przenosinach w czasie istotne znaczenie.

– Jeden wieczór. Co nam szkodzi? – Danka ściszyła głos, ale pani Beczka i tak nie zwracała na nie uwagi.

Wydawała dyspozycje dziewczynie, która wpadła do mieszkania tuż po tym, jak na stół wjechał rosół. Rozczochrana blondynka była chyba kimś w rodzaju dochodzącej pomocy domowej, bo zabrała się za skrobanie brytfanny, a teraz słuchała zaleceń gospodyni na jutrzejszy dzień.

– Ale rano wpadamy do monopolowego, kupujemy wino i pędzimy na dworzec – zastrzegła Zosia, która, spojrzawszy na sukienki, przestała się już martwić obrotem sytuacji.

Danka również.

Choć jedno ją nurtowało.

– Czy my istniejemy? – Dotknęła troskliwie biustu i dla pewności przydzwoniła łyżką w talerz.

– Ciekawe pytanie. Ale ja po pozbyciu się głębokich zmarszczek stałam się chyba bardzo płytka, bo interesuje mnie tylko, jak umyjemy głowę. – Zosia popatrzyła na Beczkę, która chwyciła parujący na piecu kociołek i wylała jego zawartość do miski. – W kranie jest tylko zimna woda. O balsamie do włosów i suszarce też możemy zapomnieć. Na szczęście zabrałam kosmetyczkę, przynajmniej będzie czym poprawić makijaż.

Na potwierdzenie swoich słów wygrzebała z torebki małą saszetkę i zaczęła dokładnie badać jej zawartość.

– Trzymaj mnie! – Danka rzuciła nagle łyżką. Nie spuszczała przy tym wzroku z talerza, który przed chwilą obróciła do góry dnem. – To najprawdziwszy Giesche. Zobacz, tu jest logo fabryki. Jadłam rosół na Gieschem, masz pojęcie?

– Nie mam. Rosół to ty jadłaś na kurze.

Talerz, tak jak cała zastawa, był imponujących rozmiarów, i z tego względu w Ikei opchnęliby go pewnie jako wanienkę, ale poza mdłym szlaczkiem na brzegach nie odznaczał się zbytnią urodą.

Danka uważała inaczej.

– To może być sporo warte. – Spojrzała zachłannie na torebkę Zosi, jakby rozważała, czy zmieści się w niej coś jeszcze. Na przykład komplet obiadowy, bo jeden talerz na

pewno by jej nie zadowolili. – Poza tym to jest historyczna chwila. Łąduję w kamienicy na Dębie i jem z najprawdziwszej porcelany. Przeszedł mnie prądzik. Taki wiesz... – Pokazała rękę, gdzie pojawiła się gęsia skórka.

– Widzisz? I już masz dowód, że istniejesz.

– Faktycznie spływasz. – Danka dorwała tym razem filiżankę i rozpoczęła kolejne śledztwo. – A z istnieniem miałam na myśli nasze byty. Te tutaj. Byty równoległe czy wcielenia, zależy, jak spojrzeć. Bo to wszystko wygląda tak, jakby ktoś nas przeniósł i wsadził w życie, które już tu prowadzimy. Jako my, ale nie my. Nie przeraża cię to?

Zosię mało co w tym momencie przerażało, a nawet odnosiła wrażenie, że odzyskując dawny wygląd, dostała coś więcej. Pogodę ducha? Ale tej brakowało jej przecież nawet kiedy miała dwadzieścia lat, bo obowiązki spadły na nią tuż po zakończeniu szkoły. Tym przyjemniej było teraz czuć radosne oczekiwanie. Tak zupełnie inne od beznadziei i marazmu, w jakich tkwiła przez ostatnich kilka miesięcy.

Nie zdążyła podzielić się z siostrą przemyśleniami, ponieważ pani Beczka raz-dwa zamieszała w garnkach i już stała przy stole z kopą zmieniaków posypanych obficie koperkiem. Na drugim talerzu spoczywały lśniące od tłuszczu rolady. Pomoc zwana Kachną trzymała w objęciach miskę z czerwoną kapustą, nad którą unosił się kwaskowy zapach jabłka i cebulki.

I one niby mają dać radę temu wszystkiemu tylko we dwójkę?

– Rosolek smakował? – zapytała dla zasady gospodyni, ale jej głos mówił, że nie bierze pod uwagę innej możliwości. Przy okazji zanurkowała wzrokiem do otwartej przed Zosią kosmetyczki. – A co tu jest takie ładne?

Zosia lekko się zawahała, bo nie była pewna, czy niektóre przedmioty miały już prawo istnieć.

– To do malowania.

– Po co? Z Zosi jest jaka aktorka, żeby buzię musiała sztyftować? Pan Bóg stworzył kobietę bez żadnych takich tam – zagrzmiała, po czym z ciekawością sięgnęła po tusz do rzęs, a Danka uśmiechnęła się przebiegle.

– Tym maluje się oczy. Chce pani spróbować?

– Ja? Spróbować? Uchowaj Boże! Na starość jeszcze trochę rozumu mi zostało. – Pani Beczka uprzejmie podziękowała i uczepiła się dla odmiany tamponu O.B., który Zosia na wszelki wypadek włożyła do bocznej kieszonki. – A to co za tutka? Sprytnie zapakowana.

Obie z Danką poczuły chyba to samo.

Konsternację.

Bo jak wytłumaczyć kobiecie, którą od dwudziestego pierwszego wieku dzieliły całe pokolenia, że na comiesięczną przypadłość znaleziono całkiem nowe rozwiązanie?

Zadania podjęła się Zosia. W końcu kosmetyczka należała do niej.

– To jest taki korek do... Tym tamuje się krew – wyjaśniła zgodnie z prawdą i dla odwrócenia uwagi wręczyła pani Beczce miniaturkę perfum, czym nieoczekiwanie ją ucieszyła.

– Pięknie dziękuję. Ale obiad nie może się przestać. Jedzcie, kochane, jedzcie. – Z wdzięczności wydzieliła im porcje jak dla górników po szychcie, a z każdą łyką ziemniaków oczy Danki robiły się coraz większe i większe, aż pojawiła się szansa, że dorównają piersiom.

Dieta rozłączna, jakżeby inaczej.

Danka stosowała ją, odkąd natknęła się na książkę Tao zdrowia Daniela Reida, która zupełnie zmieniła jej podejście do jedzenia. Było to kilka lat temu. I choć dzisiaj nie przestrzegała już pewnych reguł tak restrykcyjnie, pewnej zasady nie łamała nigdy. W jednym posiłku nie łączyła mięsa i ziemniaków.

– Ja za ziemniaki bardzo dziękuję – zastrzegła.

– A nie ma za co dziękować. Ziemniaków u nas dosyć, niech Danką je, na zdrowie. Beczkowóz już swoje dostał. Nawet dla Kachny zostanie.

– Nie, nie. Ja w ogóle nie chcę ziemniaków.

– Jak to Danką nie chce ziemniaków?!

– Skrobias i białko to najgorsze z możliwych połączeń. Żołądek ma problem, żeby je strawić jednocześnie. Mięso i kapusta, bardzo chętnie. Ale bez kartofli.

Pani Beczka wyglądała teraz tak, jakby w jej mieszkaniu pojawił się Murzyn. Który w białych skarpetkach odtąńczył

Jeziro Łabędzie.

– Kuchnia pięciu przemian. – Danka straciła hamulce, o jedzeniu mogła nadawać bez końca. Odkroiła kawałek rolady, zamruczała z rozkoszy i przestała zważać, gdzie jest i do kogo mówi. – Polecam. Chińczycy wymyślili ten system wieki temu. Chodzi o działanie enzymów, bo innych potrzebujemy do trawienia węglowodanów, a innych do białek. To oczywiście jest na początku nieco skomplikowane i wymaga wprawy, ale efekt murowany. No bo czy widziała pani kiedyś grubego Chińczyka?

Pani Beczka zapewne nie widziała w swoim życiu nawet ćwierci skośnookiego, Kachna tym bardziej, obie nie odrywały więc od Danki zafascynowanego spojrzenia. Z tym że w oczach gospodyni Zosia dostrzegła rodzącą się panikę.

– Ale jedzenie to tylko jeden z elementów – ciągnęła rozochociona Danką. – Do tego dochodzi yin i yang, a nawet qi, pięć żywiołów i różne takie. Smaki, temperamenty... Ja na przykład jestem Drzewem. Dużo energii, czerpanie z życia, korzeń. Zosia to Woda. Spokój, odměty i depresje. Czasem tylko przeleci jakiś szczupak. Ale pani Adela wygląda mi na Ogień. Siła! A roladka marzenie. – Cmoknęła i zaczerpnęła powietrza. – Ziemniaczki pewnie tak samo pyszne, nie przeczę. Zresztą ziemniaków jeszcze się tutaj, ho, ho, najecie. Jesienią zacznie się wielki kryzys. Już teraz radzę pomyśleć o złocie, bo waluta poleci na łeb na szyję. A w trzydziestym dziewiątym wybuchnie druga wojna światowa. Bardzo współczuję...

– Jezusie Nazareński! – Beczkowa załamała ręce, a Kachna wytarła nos i poszła w jej ślady. – Niech Danką wypluje te bluźniercze słowa. Jaka wojna, ja o żadnej wojnie nie chcę słyszeć. Odpukać w niemalowane. – W przerażeniu podbiegła do kredensu i walnęła pięścią w stolnicę.

– Obawiam się, że ta deseczka nie powstrzyma Hitlera. – Danką mlasnęła nad kapustką, a gwałtowne znaki Zosi skwitowała wzruszeniem ramion. Jej wzrok mówił, że wzięła się właśnie za ostrzeżenie ludzi. – Tego popaprańca nie otrzeźwi nawet bomba atomowa, tak że szkoda wysiłku. Złoto. Tylko złoto nie straci na wartości. I proponuję wyjechać do

Szwajcarii albo kupić jakąś chatkę wysoko w górach.

– Co też Danka wygaduje, ja się pytam. Jaki Hitler, jaka bomba?!

– Proszę nie zwracać uwagi, ona od rana ma dziwne wizje – rzuciła lekceważąco Zosia, chcąc w ten sposób ratować sytuację, ale jeszcze bardziej ją pogorszyła.

– Wizje? – Pani Beczka zamrugała oczkami i z przejęcia usiadła przy stole. Po raz pierwszy spojrzała na pończoszki i koronkową sukienkę jakby przychylniej. – Znaczy, Danka widzi przyszłość?

– Można tak powiedzieć. – Siostrzyczka nie pozwoliła sobie przerwać, chociaż Zosia już otwierała usta.

I dopiero teraz się zaczęło.

– A sny Danka umie wykladać?

Pani Beczka nie kryła już przejęcia, co Zosi, która siedziała dokładnie na wprost obrazka Najświętszej Paniienki, wydało się zastanawiające.

– Sny? Żaden problem, wystarczy mieć pojęcie o symbolach. Kopaliński, te klimaty.

– Czyli umie?!

– Zobaczymy, każdy przypadek jest inny.

– Danka uważa... Mnie się dzisiaj przyśnił ten mój cymbał. Ten stary ccc... – Beczkowa szukała czulego epitetu, w czym Danka była akurat niezła.

– Na c to będzie ciołek, czubek, ciemna masa... – wyliczała usłużnie. – Co by tu jeszcze... Cap?

Pani Beczka chrząknęła i ciągnęła dalej, choć z nieco mniejszym entuzjazmem.

– Przecie mówię. Mój stary mi się śnił.

– To już ustaliłyśmy.

– Ale bez wąsów. No taki był łysy na gębie, że aż się zląkłam, bo całe życie te wąsiska nosi i bez nich to bym go chyba ani poznała, chociaż one wstrętne i zalatują machorką. I taki był jakiś rozmyty, niewyraźny, jakby w wodzie leżał...

– A może to nie była woda, ale wódka? – Danka mrugnęła do Zosi. – „Codziennie kupuję alkohol. Czy jestem zakupoholikiem?”

Gospodyni z żartu zrozumiała tylko jedno.

– Że gorzałka?

– Dokładnie. Może to był proroczy sen i pani mąż wróci do domu zalany w trupa?

W ten oto sposób Danka Haba została znaną w Dębie wróżką.

Ledwie bowiem skończyła swoją kwestię, przy drzwiach zadudniło, załomotało i do środka wpadł Błażej Beczka, który wyglądał tak, jakby właśnie skończył zmianę w oczyszczalni ścieków. Wzrok miał mętny, koszulę rozchełstaną, a mokre i podarte spodnie nadawały się już tylko do kosza. Opadł na krzesło i rzucił jedno jedyne słowo, które w połączeniu z martwym wyrazem jego twarzy aż ociekało grozą:

– Trup!

Trup i Zbyj pojawili się na scenie mniej więcej w tym samym czasie, choć trup wyprzedził kuzyna o kwadrans. Tyle wystarczyło panu Błażejowi, żeby opisał zdarzenie nad Rawą i zaprezentował dowód w postaci zbrukanej krwią flagi, która wystawała topielcowi z kieszeni. Wizje i wykładanie snów zeszły na dalszy plan, ale pojawiła się już pierwsza zapowiedź przyszłej kariery Danki, bo Kachna podeszła do niej i po cichu zagadała:

– Pani, a jak mnie wczoraj szczur do sosu wpadł, to co teraz będzie?

Odpowiedzi nikt nie dosłyszał, bo Beczkowa podniosła lament z powodu biało-czerwonej materii, która leżała na stole i zaczynała się Zosi z czymś kojarzyć. A, prawda. Uroczystość na placu.

– Było zabierać? Może tyś wziął jaki trop?

– Jaki tam trop. Co można wytropić z kawałka materiału? A miała się po komisariatach poniewierać? To jednak flaga.

– Nie twoja ona i tyle. A coś ty się nagle taki Polak zrobił, co?

– Beczkowa spojrzała krytycznie na małżonka, który co rusz poprawiał sumiastego wąsa. – Komendanta żeście chociaż, krzakołazy jedne, wezwali?

– Wszystko było jak należy, moja droga Beczulko. – Pan Błażej ochłonął i starał się trzymać nieco z boku, bo jego żona miała węch lepszy niż niejeden chart, a zajadła była bardziej od całej sfory. – I jutro komendant na składanie meldunków prosi.

– Ty nie bądź głupi. Idź to zanieś, powiedz, żeś znalazł po wszystkim. I w ogóle było się tam pchać? Z tego to dopiero kłopoty mogą być...

– Ja się pchać nie pchałem. Tylko wyłowilem.

– Rybak mi się trafił, patrzcie państwo... I po co?!

– Beczulko kochana, jak to po co? Trza było sprawdzić, czy człowiek dycha. Ale jego, mnie się widzi, udusili. Język wywalony, siny, a na szyi pręgi. Udusili dziadka, jak amen w pacierzu, udusili.

– Ty mi takich rzeczy na noc nie opowiadaj, bo mi się jeszcze przyśni. – Pani Beczka zerknęła zezem na Dankę i w tej samej chwili u drzwi rozległo się gromkie pukanie, które po opowieści pana Beczki zabrzmiało w słonecznej kuchni co najmniej jak walenie do pustego grobu.

Zaległa pełna napięcia cisza.

Na krótko. Zaraz do pomieszczenia wszedł wytworny, ale chorobliwie chudy mężczyzna i od progu zaczął panią Adelę tytułować ciocią. Pan Błażej wyściskał gościa i zaprosił do stołu, a jego żona pogoniła Kachnę do grzania obiadu. Korzystając z zamieszania, Danką z Zosią obejrzały sobie Zbyja, bo tak zwracali się do niego gospodarze. I znowu zagadka, bo przecież Beczkowa sugerowała, że właśnie on je tutaj przywiózł. Tyle że widzieli człowieka pierwszy raz w życiu.

Zbyj był w wieku Danki, ale wyglądał dużo starzej. Jego brwi przypominały dwie włochate gąsiennice, które wierciły się, jakby nieustannie coś ciumkały, i stanowiły jedyny ruchomy element w tej smutnej i pociągłej twarzy. W czarnych oczach Zbyja żarzyło się przywiązanie do Beczków, jednak od wejścia do kuchni ani razu się nie uśmiechnął. Na widok lokatorek gąsienice majtnęły kilka razy tułowiem, a ich właściciel mruknął coś niewyraźnie i całą swą uwagę poświęcił zakrwawionej fladze.

A ponieważ gospodarz po raz drugi rozpoczął tę samą opowieść i zrobiło się późno, Danka z Zosią podziękowały i już chciały biec na górę, kiedy Zbyj przerwał panu Beczce:

– To ja z nimi. Wuj dokończy za chwilę. Sprawę mam do dziewczyn.

Na schodach zupełnie je zadziwił.

– W samochodzie trzymam, zaraz wrócę – rzucił tajemniczo i popędził schodami w dół.

– A ty gdzie trzymasz? – zapytała z przekąsem Danka, otwierając mieszkanie.

– W banku – odpowiedziała automatycznie Zosia. – Ale o co chodzi?

– Myślisz, że ja wiem? Ten cały Zbyj powinien się nazywać Zbój. Patrzy jak wilk. Nie zgwałci nas tutaj? – Rozejrzała się niepewnie po poddaszu.

– Możesz pomarzyć. Sam jeden nie dałby rady.

– A gdyby mu tak w obronie własnej przydzwonić tym oto cacuszkim? – Danka podreptała do krzesła i podniosła nocnik. – Emalia. – Puknęła w naczynie. – Emalią można zabić?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nikogo nie zabijałam. Emalią... Oskara chciałam zabić drewnem.

– Tym? – Danka wskazała na kuferek.

– Tym.

– Z jakim efektem? Może chociaż śmierć kliniczna ci wyszła?

– Wyszła to jemu. Ale raczej ucieczka. Daj spokój...

– Bo ty się nie umiesz zabrać do sprawy.

– Tak? – spytała przekornie Zosia. – A jak się zabiera za zabicie faceta?

– W sumie to oni zabijają nas. – Danka zmieniła nagle zdanie i zmarkotniała. – I przychodzi im to bez żadnego wysiłku. Nie wiem, czy ja w ogóle powinnam mieć nadzieję.

– Na?

– Na normalny związek. Chyba pozostanie mi szukać kandydata w duszpasterstwie akademickim. Popatrz, w jakich czasach żyjemy. Seks i ekscytacja na wyciągnięcie ręki. Nie wychodzi ci z partnerką, wpisujesz w Google „chętna i ponętna”

i lecis z koksem.

– Google tu raczej nie uświadczysz – wtrąciła przytomnie Zosia. – Swoją drogą, okazuje się, że można zniknąć z powierzchni Facebooka i przeżyć.

– Ja nie o tym. Ja o tamtym. Faceci ciągle potrzebują polowań i impulsów. Ostatnio podsłuchałam w barze dwóch panów. Uważaj. Będzie w gwarze, lepiej oddaje dramatyzm. Wiesz, jaka kobieta jest najlepsza? „Byle jako, byle obco”. Może więc powinnyśmy się przebierać?

Zosia zachichotała rozbawiona.

– Z przebieranek mogę odradzić pielęgniarkę. Niby wypaliła, ale pacjent zażądał diagnostyki jąder. A mnie już te jądra... No, amputowałabym najchętniej, jeśli mam być szczerą.

– Tępy m nożykiem? – podłapała ochoczo Danka. – Ja na upartego szarpnęłabym się nawet na rentgen powrózka nasiennego, nie ma sprawy. Tylko że to ciągle będę ja. Danka Haba. A podnieca tylko nieznanie. Jesteśmy po prostu pokoleniem reklamy i komerchy. Wciąż pragniemy tylko nowości i nowości...

– Nie wiem, może już taka natura człowieka? Czasy na pewno mają znaczenie, ale jednak nie do końca. Na przykład tu. – Zosia wskazała na obrazek Jezusa, który wisiał nad łóżkiem – fundament religijny jeszcze nie pęka. I nie ma Billa Gatesa, oczywiście. Ale założę się, że jeśli pójdziesz do sklepu inną drogą niż zwykle, cały Dąb będzie huczał. Zdrady zawsze się zdarzały i będą się zdarzać.

– Czyli co? Nie jesteście stworzeni do monogamii?

– Nie wiem, czy jesteście. Ja jestem stworzona, przynajmniej do monogamii czasowej. Dwadzieścia lat to chyba czasowa, nie? Ale faceci mają parcie i co zrobisz? Będziesz sobie co parę lat wymieniać? Królowe też musiały tolerować kochanice królów, a Francuzki? Są ślepe i głuche, ale przynajmniej pachną Coco Chanel. I od czasu do czasu same też korzystają. Nie żeby rozwalać rodzinę, ale żeby życie miało smaczek. Przecież kobiety również mają potrzeby, tylko wołają się poświęcać. Poświęcać!

– I to TY mówisz? – Danka poczuła się nagle rozczarowana.

– Jakieś wnioski trzeba wyciągać.

– Przecież się rozwiodłaś!

– Bo wyciągnęłam wniosek, że przeminęło z wiatrem, spadło z deszczem i wyschło z kałużą. A królową nie jestem i nie muszę się trząść o Inflanty. I od Francji wolę jednak Polskę. Tak że siły mi się skończyły. Dziwne, co?

– A bez tego wszystkiego nie można? Żyć długo i szczęśliwie z tym jednym jedynym...? – Danka spojrzała na swoje odbicie w nocniku i z pretensją potrząsnęła naczyniem.

Wbrew pozorom była romantyczką.

Połowiczną i utajoną, bo do pewnych pragnień w obawie przed śmiesznością nikomu by się nie przyznała, ale jednak. Przed kilkoma miesiącami zakończyła swój długoletni związek z pewnym muzykiem, ale po tygodniu żaloby już zaczęła biegać na randki i od nowa marzyć o miłości swojego życia. Wspierała się przy tym teorią statystyczną. Na stu poznanych mężczyzn musiało się przecież znaleźć co najmniej dwóch interesujących. Na razie przerabiała numer dwudziesty dziewiąty.

– Każdy żyje, jak chce i uważa za stosowne. – W Zosi piknęło poczucie winy, bo siostra zaczynała wyglądać, jakby jej ktoś odebrał ukochanego koteczka. Ale czy przed najbliższą osobą powinno się udawać, że się posiada złudzenia? – Nie ma jednej uniwersalnej recepty. Ale facetów, którzy nie chodzą na boki, przypada w Katowicach... Ilu? Trzeba by popytać u geriatry, jakie tam mają statystyki. W naturze to samo. Łabędzie i jeżowierze! I parę innych gatunków, reszta to czysta poligamia.

– Homo sapiens, mówi ci to coś? Stoimy wyżej niż zwierzęta i na pewno są związki, w których ludzie są sobie wierni. A ty wszędzie widzisz występki – fuknęła rozeźlona Danka. – Potrafisz podnieść na duchu, naprawdę.

– Czego się spodziewałaś? Rozmawiasz z kobietą po przejściach. Może lepiej przeprowadź wywiad z Beczką? Powie ci, że świat to sklep z cukierkami, a jej mążzonek zdradza ją jedynie z flaszka. Chociaż to ostatnie może być akurat prawdą, swoje lata już ma.

– Sklep z cukierkami... Z takim cynicznym nastawieniem do

życia długo będziesz sama – podsumowała spokojnie siostra i właśnie ten spokój był najbardziej przygniatający. – Biedny ten twój Mędrzycki. Bo ty ciągle masz zmarszczki. Tyle że w środku.

Danka na pewno nie chciała jej sprawić przykrości, ale Zosia poczuła się wyjątkowo podle. Kiedy więc do drzwi zastukał Zbyj, obdzieliła chuderlaka raczej mało przychylnym spojrzeniem.

– Wszystko sprzedane – oświadczył na wstępie, unosząc kąciki ust w mdłym uśmiechu. – Mówiłem, że w tydzień dam radę.

Zbyj dumny z siebie wyglądał tak samo jak Zbyj powitalny. Skurcz brwi, a twarz płaska i niewzruszona niczym płyta cementarna. Jeszcze nie zdążyły ochłonąć po żywiołowej wymianie zdań, kiedy bez jakichkolwiek emocji przesunął Dankę z nocnikiem na bok i rzucił na łóżko starą skórzaną walizkę. Kliknęły zapięcia i ich oczom ukazały się pliki banknotów. Ułożone ciaśniutko po samo wieko i związane zwykłym konopnym sznurkiem.

– Co... to? – Na Dankę pieniądze, choćby ruble, jeśli tylko starczały na zakup czegoś więcej niż lizaka, zawsze działały tak samo.

Wprawiły ją w trans.

– Wasza działka. Za Gdańsk. Najwięcej dostałem za obraz Willmanna. Ten z Kapistranem. A rzeźbę Padewskiego puszcze w tym tygodniu, już mam kupca.

Dla Danki szczegóły brzmiały znajomo. Aż ją zatchnęło.

– Czy mówimy o Michaelu Willmannie zwanym Rembrandtem ze Śląska?!

– A nie wiesz, co kradłaś? – warknął Zbyj i obie w tym samym momencie wybuchły histerycznym śmiechem.

– Mało?! – Zostały chyba opacznie zrozumiane.

Danka szybciutko wróciła do równowagi.

Może temu dziwakowi coś się pomieszało? Ale czy to zaraz powód, żeby pozbywać się środków trwałych? Na bal zamierzały przecież pojechać taksówką, jutro czekały ich zakupy w monopolowym. A może i w sklepie z porcelaną?

W Dance zaczął dojrzewać pewien obiecujący plan, który miał ścisły związek z przeniesieniem w czasie naczyń stołowych. I nie tylko naczyń. Choćby Kossak. W dwudziestoleciu jeszcze nie osiągał zawrotnych cen. Ale gdyby udało się go zakupić i przenieść w przyszłość...

– Czyli to jest dla nas? – upewniła się, oblizując usta.

– Swojego zabrałem jedną trzecią. Tyle, ile było umówione. Nie ufacie mi? – Łypnął czarnym okiem, a Zosia mimowolnie drgnęła.

– Zaraz nie ufacie. – Danka podeszła do walizki i zaczęła ją miziać z dużo większym zapalem niż przed chwilą emaliowane naczynie.

– Gadałem dzisiaj z tym Żydem, co nas tu ściągnął – oznajmił Zbyj. – W końcu wyłożył kawę na ławę. Ten Niemiec to grubsza sprawa, jak się okazuje. Tyle że Moszek, znaczy Żyd, chce wejść z Czarną Zośką w spółkę.

– Niech sobie wchodzi... Opowiadaj, opowiadaj – zachęcała Danka.

Wyjęła plik banknotów i zaczęła go z lubością obwąchiwać.

– Czyli zgoda jest? – upewnił się, zerkając badawczo tym razem na Zosię, która zauważyła w jego oczach dziwne błyski.

– Zgoda buduje, niezgoda rujnuje, a przecież tego nie chcemy – palnęła sentencją siostra i sięgnęła po kuferek. Najwyraźniej w celu przełożenia do niego chociaż części zdobyczy.

Nie można było na to pozwolić, kuferek powinien zostać jak najdłużej zamknięty. Zosia skoczyła do łóżka i bez słowa wyjęła go Dance z rąk.

– Ale Moszek chce pośredniczyć w sprzedaży złota – uprzedził. – Taki stawia warunek.

– Jakiego złota?

Mężczyzna wykrzywił się szkaradnie.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Skoro rozmawialiśmy... – Danka uśmiechnęła się czarująco. – Niech pośredniczy.

– Czyli wstawiam do roboty Moszka – stwierdził Zbyj. – To kiedy włam?

I tu już sprawa dojrzała do wyjaśnień, choć nakłanianie do

nich tak, żeby osoba wyjaśniająca nie nabrała podejrzeń, jest dosyć trudne. Zosia nie miała żadnego pomysłu i zapewne zaczęłaby tłumaczyć, że doszło do pomyłki, ale Danka poczuła już w nozdrzach upojny zapach mamony.

Wysiliła szare komórki i na efekty nie trzeba było długo czekać.

– Zbyjku... Zbyj to od Zbigniewa, prawda? Zbyj gniew, pozbądź się gniewu... Wspaniałe imię. – Podeszła do właściciela walizki i położyła mu poufale rękę na ramieniu. – Widzisz, stało się coś nieprzewidzianego. – Wskazała na stolik z lekarstwami. – Ciocia pewnie ci opowie, chociaż nie chciałam jej martwić i nie przekazałam wszystkiego, co powiedział lekarz.

– Lekarz?

– A lekarz, lekarz. Zosia była chora.

– Ale przecież jest zdrowa. – Zbyj popatrzył na Zosię jak na kogoś, kto dostarcza do pracy lewe zwolnienie.

– Ślina jej już z ust nie kapie, fakt. Ale nie można powiedzieć, żeby było całkiem dobrze.

– Ale co się stało?

– Miałyśmy tu mały incydencik rdzeniowo-mózgowy...

– Co?!

– Oj, nie będę przecież rzucać łaciną. Dziewczyna przechodziła anginę i doszło do migracji bakterii. Ropnych! Summa summarum Zosia ma luki w pamięci.

– Co to znaczy, do diaska?! – Zbyj przeraził się, jakby Zosia była co najmniej jego szwagierką.

– Niby pamięta, jak ma na imię, prawda, Zosiu? – Danka, zdrajczynie, pogłaskała ją po głowie jak dziecko specjalnej troski i dalej taplała się w wymysłach. – Ale kompletnie nie pamięta swojej przeszłości. Poprosiłam o konsultację pewnego znanego profesora i poradził, żeby zastosować terapię wstrząsu neuronów.

– Neu...

– Neuronów. Yhy. To bardzo proste. Wystarczy, że Zosia usłyszy od kogoś obcego, co robiła w ciągu ostatnich miesięcy. Czym się zajmowała, gdzie mieszkała... Taki tam research.

– Ri...

– Research, yhy. Może byś spróbował?

– Ale co ja mam zrobić?!

Danka spokojnie wypuściła powietrze, ale nawet jej pończochy wyrażały zniecierpliwienie .

– Po kolei. Zosia to... Dokończ.

– Zosia to Czarna Zośka, szefowa.

– Ona? A czemu nie ja?

Zbyj rozłożył ręce i widać było, że rzetelnie zbaraniał.

– Dobrze, nieważne. – Danka podjęła wątek, bo zorientowała się, że traci rozmówcę. – I tak wszystko konsultuje ze mną. Czarna Zośka? A czym się konkretnie zajmuje?

– We trójkę łoimy Niemców – rzucił z zaciętością Zbyj.

– Ło...

– Łoimy. Okradamy. Ja pruję sejfy i sprzedaję fanty, bo znam najlepszych paserów. Czarna Zośka wybiera szwaba, uwodzi i ustala plan. Cycatka – Zbyj złożył niedbały ukłon przed popiersiem Danki – się wspina.

– Wspina...

– Wspina – potwierdził obojętnie. – Kobieta guma i akrobatka. Potrafi wejść do każdego budynku i otworzyć każdy zamek.

– Naprawdę? – Danka spłonęła rumieńcem. Poznawane szczegóły wprawiały ją w zachwyt, czego nie można było powiedzieć o Zosi.

Usiadła na krześle całkiem ogłuszona.

– No, jeszcze nie skrewiłaś. – W tonie Zbyja pojawiło się uznanie.

– I co, i co?

– Mieszkamy w Warszawie i jeździmy po kraju. Zależy, co się trafi. Ostatni był burzuj z Gdańska. O! – Stuknął kolanem walizkę. – A przed tygodniem uradziliśmy, że czas przyjechać na Śląsk. Podałem wam nazwisko, wstawiłem do ciotki, a sam puszczałem łup. I jak poszło z Pelcem? Wiadomo już, jak żyje, jak mieszka?

Nawet Dance wymienione nazwisko kojarzyło się tylko z jedną osobą.

– Oskar Pelc?!

– A te luki i migracje zaraźliwe? Pytasz, jakbyś nie wiedziała. Pewnie, że Oskar Pelc. Moszek zapisał nazwisko na kartce, a kartkę dostałaś. Czyli jak? Wiecie już coś?

Zosia musiała wrócić do rzeczywistości, nawet jeśli rzeczywistość wydawała się jej w tej chwili mocno nierzeczywista: siostra uszczypnęła ją w ramię.

– Hmm... – Udała, że się namyśla i faktycznie tak było. Oskar i złoto? Jakim cudem, przecież jej małżonek przetopiłby własne plomby! Postanowiła jednak iść w zaparte. Stara metoda Danki. Siostrzyczka na pewno z tego wybrnie. – Wiemy wszystko – oznajmiła.

– Świetnie. To kiedy włam?

Taksówka.

Łatwo powiedzieć.

Mogły co prawda poprosić o podwiezienie Zbyja, ale rozmowę o włamach skończyły jakimiś mglistymi obietnicami i stwierdziły, że faceta należy unikać. Pozostał im transport publiczny, jednak złożyło się dość pechowo. W Dębnie nie było postoju taksówek, a co do tramwaju: doszło do jakiejś awarii, czas naglił, więc czekając na autobus, złapały chłopską furmankę. Jak się okazało, podróż w balowych sukniach na kupce słomy też może mieć swój urok, choć Danką martwiła się, że dostanie kataru. Suszenie głowy ręcznikiem nie przeszło gładko.

– Ale włosy są czadowe – oceniła, poprawiając fryzurę.

Toaleta okazała się nie taka straszna. Pani Beczka przyniosła im z Kachną ciepłej wody, a potem przeżyły spore zdziwienie, bo znalazła się i odżywka do włosów. Olej rycynowy. Beczkowa natarła im głowy specyfikiem, zaleciła poczekać kwadrans, a po umyciu pomogła splukać wodą z octem. W efekcie włosy Zosi i Danki lśniły jak po wizycie w najlepszym salonie fryzjerskim.

– Czarna Zośka, he, he. Cycatka! Przecież zaraz skonam. I jeszcze kobieta guma. Ja! – Danką nie mogła wyjść z podziwu

i na nowo zaczęła przeżywać. – Może faktycznie powinnam poćwiczyć jakieś sztuczki?

– Tak. Jutro na peronie.

– A nie korci cię, żeby... Żeby tu zostać i złamać parę konwenansików?

Zosia rozważała właśnie, czy słoma jest w stanie odbić na jej sukience w miarę regularny wzorek. Stwierdziwszy, że jednak istnieje taka możliwość, wcisnęła sobie pod zadek torebkę.

– Korcić korci. Ale martwię się o Mędrzyckiego i twojego laptopa. Poza tym jutro muszę być w pracy i nie mam złodziejskich zapędów jak co niektórzy. Banda Czarnej Zośki! – prychnęła. – Paradne. Już mniej dziwisz ty jako kobieta guma; mięśnie Kegla masz przecież giętkie. – Nie mogła się powstrzymać, żeby Dance nie dogadać.

– Jeszcze jedno słowo i pożyczę od woźnicy bat. Chyba że naprawdę chcesz mnie obrazić. Bo gdybym ja chciała obrazić ciebie, powiedziałabym, że złodziejka jeszcze ujdzie. Parę lekcji i wyniosłabyś ze spożywcza beczkę kapusty. Gorzej z tym uwodzeniem Niemców.

– Bo co?

– Bo nie będę się powtarzać.

Wieczór zapadał powoli i przepisowo.

W górze zawisł szpiczasty księżyc, a niebo przysłoniła najpierw cieniutka zasłonka zmierzchu, potem już solidna kotara, która w miarę zbliżania się furmanki do miasta jaśniała po brzegach od ulicznego oświetlenia. A Katowice miały nie być jaką iluminacją: lampy gazowe i elektryczne, imponujące neony oraz wystawy – wszystko to sprawiało, że place i trotuary wyglądały jak scena w kinoteatrze albo obraz impresjonisty, który nie szczędził farb i pokrył całe płótno świetlistymi pačkami.

Woźnica również cieszył się wieczorem.

Jechał niespiesznie i od niechcienia przysłuchiwał się toczonej za plecami rozmowie, choć rozumiał z niej mniej więcej tyle co jego koń. Dotarło do niego tylko coś o złodziejach i aż go zmroziło. Bo co to za rozmowy jakieś głupie? Gdyby panny nie wyglądały na porządne, już dawno wyciepnąłby je do rowu,

pomimo że na dzień dobry dostał dziesięć złotych. I to bez żadnego targowania.

– Nie chcę się kłócić – powiedziała ta, która miała na głowie kitę jak jego Gniady. – I mogę obiecać, że będę bardziej otwarta... Co się rozkraczasz? Mówię o nastawieniu do związków, więc się nie nabijaj i zewrzyj swoje bezwstydné nóżki. A właśnie, związki. W to, że Oskar może mieć jakiegokolwiek złoto, nigdy nie uwierzę. Od razu by przepuścił. Chyba że jego żona, bo wspomniał o żonie, trzymałaby łapę na sejfie. O żeż! Przecież on się jej bał... Oskar boi się kobiety! Gdzie to zapisać? Panie Boże, spraw, żeby ją mogła poznać i uściskać!

Pozbycie się Grzesia Nawiazki przypominało walkę ze stonką ziemniaczaną; był przebiegły i zawzięty jak cała plantacja tej paskowanej zarazy. Co do odporności na pestycydy – tego Mirek jeszcze nie sprawdził, ale było blisko, bo facet chciał go odprowadzić do domu. Poddał się dopiero, kiedy usłyszał, że na przyjęcie musi obowiązkowo przybyć we fraku.

O sklepach czynnych w niedzielę Mirek mógł zapomnieć, po butelkę wina udał się więc do najbliższej knajpy. Z rocznikiem również nie było problemu, tyle że otrzymał trunek z roku dwudziestego dziewiątego. Ściskając go jak najcenniejszy skarb, odpalił cewueskę i popędził na Wojewódzką. Niestety wejście na dworzec od strony ulicy nie istniało. Na terenie parkingu stały zabudowania gazowni, a pilnujący ich dozorca poradził, żeby wchodzić przy kinoteatrze albo od razu uderzać na Dworcową.

Tak też Mirek zrobił.

Podjechał pod główne wejście i najpierw chwilę siedział i patrzył, bo w okolicy dworca zastał obrazek co najmniej różny od tego, do jakiego przywykł. Budyńki i całą aleję oświetlały rześiste światła, z hotelu Monopol sączyła się nastrojowa muzyczka, a po Dworcowej i Dyrekcyjnej spacerowało tyle narodu, co latem po sopockim molo. Każdy wystrojony jak na

pierwszą komunię i każdy z nadzieją na szampańską zabawę.

Wciąż nie mogąc się nadziwić, Mirek ruszył do hali głównej i zapytał o peron piąty. Pokonał przejście podziemne i pośród dudnienia pociągów i grzechotania torów poczuł się niemal jak wracający do Itaki Odys.

Z tym że Penelopy pod semaforem nie zastał.

Choć liczył się z taką ewentualnością, z trudem zwalczył palące poczucie zawodu. Przesiedział kwadrans na ławce, jeszcze raz natarł Goliatowi uszu za profanację tygrysa, a potem wziął się za podróżowanie w czasie. W tym celu poczłapał na koniec peronu i tu dopadło go kolejne rozczarowanie. W miejscu uporka zobaczył metalową skrzynię, zapewne z zapasem piachu na zimę.

Nie wyglądała jak wehikuł czasu.

– Jakaś podpowiedź by się jednak przydała – mruknął z pretensją, nadaremnie szukając pod rzeźbionym dachem megafonu, po czym odkorkował wino. – Jak to było? Czego bym chciał najbardziej...

Podpowiedź otrzymał, choć nie taką, jakiej się spodziewał. Zza wiaty wyskoczył naraz mężczyzna w uniformie dzierżący w dłoni chruścianą miotłę. Wzrok miał surowy.

– Panie, ja uprzejmie wołam, idź pan trunkować gdzie indziej! Ruch na tym piątym jak w kawiarni. Ciągłe tylko spotkania towarzyskie elit. A potem kto po elitach sprząta?

Nie zważając na stróża, Mirek zamknął oczy i gorączkowo wypowiedział życzenie, a miało ono bezpośredni związek z pewną puszystą panią doktor literatury współczesnej. I chociaż ścisnął butelkę, aż pobieleły mu palce, kanały czasoprzestrzenne się nie rozwarły. Wciąż siedział na obdrapanej skrzyni. Tylko staruszek stawał się coraz bardziej namolny. W paskudnym humorze Mirek wrócił więc do samochodu, a ponieważ zupełnie nie miał pojęcia, który dom na Zajęczka mógł być jego własnością, pojechał prosto na Jagiellońską, do urzędu.

I tu zrozumiał, co oznacza słowo wypowiedziane z takim zacięciem przez stróża.

Elita.

Oddał Goliata pod opiekę portiera i chociaż wpadł na salę lekko spóźniony, zaprowadzono go do stołu, gdzie w niedalekim sąsiedztwie (nie licząc Nawiązki pastwiącego się nad zwierzęcym kadłubem) zasiadał... sam prezydent i ludzie z jego otoczenia. Nie brakowało też miejscowych znakomitości, co Grześ od razu komentował, na szczęście półgłosem. Mirek dowiedział się zatem, że oprócz całej plejady polityków i urzędników biesiadowali tu także ludzie sztuki: po przekątnej sączył wino dyrektor teatru, dalej flirtował z pewną damą znany atysta malarz. Swoją obecnością zaszczytili grono również wojskowi, a szlify na pagonach robiły piorunujące wrażenie. Szefów przeróżnych instytucji było tylu, że Mirek w końcu się pogubił, a bal na pożegnanie profesora wydał mu się naraz spontaniczną bibką w barze mlecznym.

Kiedy odpowiedział na wszelkie możliwe ukłony i wymienił uprzejmości z sąsiadami, zajął się kolacją. Był to najlepszy sposób, żeby uniknąć rozmowy, zwłaszcza takiej, w której może paść jakieś kompromitujące pytanie, poza tym dawno nie widział tak bogato zastawionego stołu. Po nasyceniu pierwszego głodu pozwolił sobie nawet na wybrzydzenie. Najpierw tradycyjnie pochłonął kluski śląskie z sosem, ale spróbował także ozorków w galarecie, a potem zaszalał i porwał się na dzika. Kruchutki, doprawiony rozmarynem, dosłownie rozpływał się w ustach. Pyszności. Natomiast wybór pieczonych ptaszyn był tak duży, że Mirek nie potrafił się zdecydować. I zaraz za to zapłacał. Bo Grześ wziął tę chwilę refleksji za koniec uczty i zaczął go dokądś ciągnąć.

– Mędrus, ty się przypochlebiaj Beniszewskiemu, a nie patrz na gęsinę – strofował po drodze. – Daleś mu takiego łupnia w karty, że ho, ho. Idź, zagadaj do niego, żeby nie miał żalu. O pani Edycie, o...

– O żadnej Edycie!

– Tylko bez nerwowych ataków, bracie. Zależy nam na układach z tymi ludźmi. A nawet nie byłoby źle, żebyś ty i pani Edyta... Wiesz, w prywatnej komitywie... Rozkochaj ją w sobie, Mędrus! – Nawiązka najwyraźniej wierzył, że to możliwe, bo zaczął mówić z jeszcze większym ożywieniem: – A potem

namów do wspólnej ucieczki, do połączenia majątków...

– Odbiło ci? To jest ten twój pomysł?

– Co chcesz? W miłości jak na wojnie. Wszystkie chwytły dozwolone.

– Miłość?! – Mirkowi zrobiło się niedobrze i na pewno nie miał z tym związku spożyty dzik.

– Nie udawaj, że nie zauważyłeś. Córka Benisza za tobą przepada. A mówi ci to...

– Tak, wiem. Grześ Nawiązka – dokończył ponuro Mirek. – A wzięłeś pod uwagę, że ona może wcale nie wiedzieć o żadnym złocie?

Grześ musiał chyba znać Edytę niezgorzej, bo parsknął śmiechem.

– Daruj, bracie, ale ona wie o złocie w całym województwie. Nie tylko o tym w Katowicach. Poza tym pokazywała nam ostatnio bransoletkę i szeptała o tajemnicy rodzinnej. Nie pamiętasz? Mędrus, zbliż się do tej kobiety, ja cię zaklinam. Proszę, błagam, nawołuję! To najlepsze rozwiązanie – palnął na zakończenie, bo za rogiem natknęli się na gromadkę mężczyzn rozprawiających z ożywieniem o jakimś incydencie w Opolu.

Kiedy Mirek zdążył wywnioskować, że chodzi o aktorów Teatru Śląskiego, którzy zostali pobici na gościnnych występach, czym podobno żyło nie tylko całe miasto, ale i reszta kraju, rozmowa nieoczekiwanie zesłała na bardziej przyziemne tematy. Zaczęło się od pochwał na cześć balowego menu, potem omówiono budowę miejskiej rzeźni, a skończono na masowej hodowli kaczek, kur i gęsi. Mirka osobiście ruszały krowy, bo jednak Nawiązka rozpalil jego wyobraźnię tym rzekomym folwarkiem, i już chciał omówić temat z Beniszewskim, kiedy za plecami usłyszał kobiecy głos.

Głos, który do tej pory znał z poburkiwań, docinków i warknięć, ale głos, który potrafił również mięknąć i delikatnieć, kiedy jego właścicielka się zapominała.

Zosia!

To nie mógł być nikt inny.

– Przepraszam, że panom przeszkadzam... Ale skoro mowa

o kurach, kaczkach i interesach, to może pan Mirek pokaże swojego ptaszka?

Miała być dobrze nastawiona.

I z chwilą odzyskania ludzkiego wyglądu to nastawienie faktycznie zaczynało nabierać rumieńców. Tylko że faceci nie załatwiali Danki na szaro, już raczej działa się odwrotnie. A zakochana Zosia nie znała umiaru. Chciała być blisko i jeszcze bliżej. Wywalona oknem, wlaźłaby kominem albo zawisła na drabince przeciwpożarowej, nawet jeśli oblubieniec stanąłby na dole, wymachując złowrogo palniczką. Potem było jej oczywiście wstyd, ale nie potrafiła się powstrzymać i nie okazywać uczuć, które, tłumione latami, tylko czekały, żeby wyprysnąć na wolność i pęcznieć, pęcznieć...

To jak to, do cholery, jest?

Czy już nie można być sobą?!

– A taki Hannibal Lecter czy inny wampir – tłumaczyła Danka – myślisz, że nie chciał być sobą i wyróżnić połowy miasta? Być sobą! Czyli jak pracujesz nad swoim upośledzeniem umysłowym, to już nie jesteś sobą? Bzdury. A swoją drogą, gdyby odwrócić sytuację: też bym się przestraszyła, gdyby facet chciał ze mną chodzić do fryzjera albo grzebać w ciuchach na wagę. I ciągle tylko na rączki i na rączki. Przestań, ludzie muszą oddychać.

– Dlatego powinnam być sama.

– Dlatego powinnaś myśleć. Buziaki i słodycze, jak najbardziej, ale zaraz potem strzał między oczy i utrata przytomności. Równowaga, to się nazywa równowaga.

– Ty i te twoje metody...

– Metodycznie mam pewne rzeczy w nosie i bardzo mi z tym dobrze. Tak że bierz przykład. Na pewno nas wpuszczą? – Danka truchlała na samą myśl, że bał może ją ominąć, dlatego kiedy portier bez mrugnięcia okiem zaprosił je do środka, nie posiadała się ze szczęścia. Dylematy siostry i całego świata poszły w odstawkę.

Przemierzając korytarze, prawie podskakiwała, a kiedy weszła do Sali Recepcyjnej, którą otaczały sznury elegancko przystrojonych stołów, stanęła w progu i zaczęła mruczeć. Z rozkoszy. Towarzyszący im od westybulu bardzo miły pan taktownie odczekał chwilę, po czym zaprowadził je do miejsc, gdzie na bileciku widniało imię i nazwisko Zosi, a następnie życzył im udanej zabawy.

– Kręci mi się w głowie. – Danka była zachwycona. Przyglądała się uczującym damom, które pływały się w perłach albo brylantach, ale zaraz bez kompleksów stwierdziła, że najpiękniejszymi klejnotami na sali są i tak żyrandole.

Misternie cięte kryształy układały się pod sklepieniem w coś, co przypominało gigantyczne piętrowe torty. Szkiełka pryskały wkoło srebrnymi plamkami, plamki siadały na frakach, tiulach i szalach, nie gardziły nawet nosami pań czy łysinami panów.

– Rany, jakie jedzenie! Popatrz, czemu ta baba pali przy stole?

Zosia zerknęła w tym samym kierunku, w którym Danka właśnie się wykrzywiła, i bez żadnego uprzedzenia spojrzała w twarz... byłej żonie Mędrzyckiego, która, jak gdyby nigdy nic, paliła papierosa. Odstawiona po same loki siedziała pod ścianą i ze znudzoną miną zajmowała się dokładnie tym samym co one. Obserwacją.

Ona też tutaj?!

– Chyba podejść i uświadomię kobiecie, że błędzi. – Danka nie znosiła dymu, a ignorowanie osób niepalących uważała za zbrodnię przeciwko ludzkości. Szanse, żeby ją powstrzymać, były podobne do tych związanych z zapobieganiem rewolucji październikowej.

Zosia obserwowała scenę z pewnej odległości, dlatego nie słyszała rozmowy, ale wstrząs malujący się w tych dużych oczach, kiedy Danka z uśmiechem na ustach wykonała gest podrzynania gardła, był całkiem przyjemnym widokiem.

– Niestety. – Siostra wróciła na miejsce i przyznała się do porażki, bo pani Edyta nie tylko nie zaprzestała palenia, ale z zaciętością odpaliła kolejnego papierosa. – Trafiło na beton i ugory. Rak i rozedma płuc nie robią na babsztyle wrażenia.

Bierne palenie, na które nas naraża, również.

– Opieprzyłaś właśnie była żonę Mędrzyckiego.

– Nie opieprzyłam. Kulturalnie wyjaśniłam... Hę?! Jaką żonę?

– Była, przecież mówię. Rozwiedli się. Ale to ona. Nie poznała mnie, widziałyśmy się tylko raz.

– Że ona też jest przeniesiona?

– Nie wiem, czy jest przeniesiona. Oskar sprawiał wrażenie, jakby należał do tego świata. Ona też ma się całkiem dobrze, tylko my gapimy się na wszystkich, jakbyśmy pierwszy raz trafiły do zoo.

Na środek sali wyszedł właśnie facet, który zapowiedział występ znanej śpiewaczki, a siedzący obok wąsacz patrzył niby w talerz, ale Zosia zauważyła, że jego wielkie uszy poruszały się przy każdym wypowiedzianym do Danki słowie. Zasugerowała spacer.

I tak trafiły do sali ozdobionej złotymi lamperiami, którą okupowało męskie towarzystwo wzajemnej adoracji. Pod godłem przedstawiającym, jak na ironię, orła, panowie z kieliszeczkami w dłoniach dyskutowali zawzięcie o mordowaniu ptactwa. Już chciały się gdzieś przenieść, kiedy Zosia wypatrzyła w gromadce znany wąsik. I dorodny nos.

Mędrzycki!

A więc jednak.

Już chciała biec, rzucać się asystentowi w ramiona i kwiczeć z radości, ale powstrzymały ją dwie rzeczy. Pierwsza miała związek z kretyńskim wyrażaniem uczuć, druga z poplątaniem czasowym. Może Mędrzycki wcale nie jest tym samym Mirkiem, ale Mirkiem, który żyje w dwudziestoleciu i nie ma zielonego pojęcia, kim jest Zosia Haba?

– Czy ten nosacz to nie przypadkiem...? – Danka również rozpoznała Mędrzyckiego.

– Przypadkiem. To on.

– Więc na co czekasz?

– Przecież rozmawia. Poza tym co ja mam mu powiedzieć? – Zosię zżerała potworna trema. – A jeśli jego wcale nie przeniosło? Może poczekamy, aż zostanie sam?

– Poczekamy? Faceci o biznesach mogą długo, żadne poczekamy. Zagadaj jakoś... Nie wiem, rzuć jakimś błyskotliwym tekstem. Ale takim, żeby tylko on zrozumiał. Jeśli zrozumie, znaczy, że jest z nami. Wtedy go odciągniemy. Z jajem, siostra, z jajem!

W rzucaniu błyskotliwymi tekstami Zosia miała mniej więcej taką wprawę jak Danka w chodzeniu na roraty. Fruwające w powietrzu ptactwo bynajmniej nie stwarzało zbyt wielu możliwości, chyba że kogoś napełniają natchnieniem wątróbki czy kotlety z piersi. Zosi nie napełniały. Wśród kwakania i gęgania przyszło jej na myśl tylko jedno skojarzenie, a dotyczyło sowy, której tatuaż wielokrotnie u Mirka podziwiała.

I w tę sowę postanowiła uderzyć.

– Przepraszam, że panom przeszkadzam... Ale skoro mowa o kurach, kaczkach i interesach, to może pan Mirek pokaże swojego ptaszka?

Danka złapała się za głowę, panowie we frakach skamienieli do tego stopnia, że wszyscy razem zdawali się tworzyć monumentalną płaskorzeźbę, i dopiero wtedy Zosia zrozumiała, co wynikało z połączenia sowy i błyskotliwości. Na dokładkę, kiedy uniosła sukienkę, żeby się po tutejszemu uklonić, zauważyła, że z buta wystaje jej słoma. Jedno źdźbło, ale jednak.

To zupełnie pozbawiło ją animuszu i czerwieniejąc ze wstydu, zamierzała po prostu czmychnąć, kiedy powstrzymały ją dwie ręce. Jedna, ta o żelaznym uścisku, należała do Danki, druga, ciepła i stanowcza, do Mirka, który najpierw się rozpromienił, potem zmarszczył w zamyśleniu brwi i prawie było widać, że pod jego czaszką doszło do jakiegoś zwarcia, bo aż poklepał się po czuprynie.

– Ptaszek! Panowie wybaczą, ale prośba damy jest dla mnie rozkazem – rzucił rozanielony i odpiął z mankietu spinkę, a Zosia stwierdziła, że ma do czynienia z mężczyzną genialnym.

Domyślił się!

Sowa wyjrzała na światło dzienne witana salwami śmiechu, a wcześniejsze zdziwione spojrzenia zamieniły się w uznanie

dla kobiecego poczucia humoru. Gdyby w towarzystwie znalazły się inne panie, bez obaw – nie darowałyby Zosi i wyrwałyby zdarzenie w marmurze, a potem by ten marmur obwoziły po wsiach i miastach choćby chłopskim wozem, żeby wieść o jej kompromitacji dotarła do jak najszerszego grona. Ale ponieważ Danka z Zosią były w pokoju jedynymi przedstawicielkami płci pięknej, o sprawie dość szybko zapomniano. Po sobie przyszła kolej na orła; zaczęto drobiazgowo omawiać wizytę prezydenta.

Mędrzycki przeprosił panów i wreszcie mógł dopaść Zosi, ale przeszkodził mu w tym pewien miedzianowłosy mężczyzna, który uklonił się przed Danką tak głęboko, jakby miał zamiar ucałować jej kolana.

– A tak... Grześ Nawiązka. – Mirek dopełnił pośpiesznie formalności, ale rudzielec nie pozwolił, żeby go zepchnięto na dalszy plan.

– Z panią Czarną Zofią już miałem przyjemność – zaczął z kurtuazją, jednak nie potrafił ukryć niechęci i Zosia poczuła się nieswojo. Tym bardziej że Mirek spojrzał na nią jak na ministra pracy i polityki społecznej i zaczął charczeć od tłumionego śmiechu. Pomieszanego z niedowierzaniem.

– Ale panią wi... wi... widzę po raz pierwszy – wydukał Nawiązka oczarowany Danką. Z wrażenia zaczął się nawet jąkać. – Jeśli nie wydam się zbyt ordynarnym, powiem, że dawno nie poznałem tak je... je... jedwabnej kobiety.

Danka wystawiła do całowania najpierw prawą, potem lewą rękę, co nie było dobrym pomysłem, bo musiała walczyć, żeby się nie zacząć publicznie wycierać. Jednak jej wysoko uniesione brwi zdradzały rozbawienie.

– Ten jedwab pana ratuje. Domyślam się, że bawełna tu nie jest w cenie. Na szczęście poliestru jeszcze nie znacie.

– Słucham?

– Nic, nic. Jedwab może być. Dziękuję za komplement. Pan powiedział „Czarna Zofia”? – zapytała pozornie spokojnym głosem, ale ten, kto ją znał, wyczytałby w nim napięcie.

– Najuprzejmiej przepraszam, jeśli uraziłem. – Nawiązka znowu zaczął się gimnastykować i zamiatać frakiem parkiet. –

Nawet nie wiem, jak naprawdę ma pani na imię – tym razem powiedział do Zosi, choć nadal zezował w stronę jej towarzyszki.

– Zosia.

– Zosia? Jak uroczko. Ale oczywiście Danuta jest nie mniej dostojne. Zatem Czarna Zośka to od imienia? Tak po prostu? – Zaśmiał się perliście, ale nikt nie podzielił jego radości.

Mirek, Zosia i Danka spojrzeli po sobie w milczeniu.

– Mogę cię prosić na stronę? – Mirek podjął męską decyzję i ujął Zosię pod ramię, a Danka zdążyła jeszcze posłać siostrze zrozpaczone spojrzenie. Grześ Nawiązka pozostawał do jej wyłącznej dyspozycji.

– Mireczku... – zaczęła Zosia, kiedy znaleźli się na korytarzu, ale w tej samej chwili zamilkła wstrząśnięta.

Mireczku?!

Nigdy nie przypuszczała, że takie miody się z niej wyleją, mówienie do Mędrzyckiego słodkościami do niedawna nie wchodziło w grę. Jakby tego było mało, „Mireczek” wypływał na jej usta za każdym razem, kiedy chciała go po swojemu obłożyć nazwiskiem. Skandal.

– Mireczku! Widzisz, co się dzieje? Czemu nie mogę do ciebie mówić jak człowiek?

Mędrzycki bynajmniej się tym obrotem rzeczy nie przejął. Bezczelnie przyglądał się nowej sukience Zosi, jej fryzurze i nie tylko. Z obleśnym uśmiechem smarkacz zapuścił żurawia także w dekolt. I już nie musiała pytać. Stało się oczywiste, że przywędrował tu razem z nią i Danką. Prosto z peronu piątego. Gdzie doszło do wypowiedziania nieprzemyślanych życzeń, co z jednej strony przyniosło wiele dobrego, ale z drugiej...

– Nieźle – ocenił jej nowy look. – Ale chyba wolę tamtą Zosię.

– A co ci się nie podoba w Czarnej Zośce? – Uniosła zadziornie głowę, aż koński ogon podskoczył jej na plecach.

– Nie to, że mi się nie podoba... Musiałbym się przyzwyczać.

– To się przyzwyczajaj.

– Nie wiem, czy chcę.

I o co może takiemu chodzić? Zosia nie była wprawiona w odczytywaniu męskich komunikatów, a duma nie pozwoliła

jej drażyć. Na wszelki wypadek spojrzęła groźnie i uśmiechnęła się po staremu.

Lodowato i cynicznie.

– Czarna Zośka – powtórzył w rozbawieniu Mędrzycki.

– Mireczku... Widzisz, znowu! Chyba sobie odetnę język, jeśli tak dalej pójdzie... Mireczku Mędrzycki. O, chociaż to działa. Co wiesz o Czarnej Zośce? I kto to jest ten rudy? Gdzie byłeś?! – zasypała go pytaniami.

Po kwadransie oboje znali już szczegóły. I choć Mirek w roli złodzieja dziwił niemal tak samo jak Czarna Zośka, szefowa bandy rzezimieszków, Zosię o wiele bardziej interesowała dzisiejsza wizyta Mędrzyckiego na dworcu.

– Wypowiedziałem życzenie. Że najbardziej chcę zobaczyć...

– zacukał się. – Yyy... Twój, to znaczy nasz gabinet na uczelni. Wypiłem wino i nic. Nie było uporka, a butelka z bieżącego roku, więc w sumie nie ma się co dziwić.

– Czyli co? Jesteśmy tutaj uwięzieni? – Teraz, kiedy spotkała Mirka, perspektywa zostania w dwudziestoleciu już tak Zosi nie przerażała, ale świadomość, że nie pozostawiono im wyboru, nie należała do najprzyjemniejszych.

– Wypiliśmy wino z roku dwudziestego dziewiątego. I dlatego tu jesteśmy. – Mirek starał się mówić spokojnie, ale również zaczynał się denerwować. – Jeśli znajdziesz butelkę z dwa tysiące czternastego, będziesz wielka. Tak bym to ujął.

– Ale może trzeba znaleźć ten sam rocznik i dokładnie to samo wino? Pamiętasz, jak się nazywało?

– Kochana. Pytaj o Tokarczuk, Masłowską czy Świetlickiego. Wszystkie utwory i daty wydań mam o, tu. – Pokiwał najmniejszym palcem. – Ale wino? Wiem tylko, że było niemieckie.

– To będziemy szukać. Już od jutra. Niemieckie i wygięta butelka. Na pewno coś się znajdzie.

– Miejmy nadzieję. A co Czarna Zośka zamierza robić w międzyczasie? Kraść? – Mirek zaśmiał się pod wąsikiem.

– Nie przerażaj mnie. Podobno już coś ukradłam – wyznała, wspominając rozmowę ze Zbyjem i przyniesioną przez niego „dole”.

– Czyżby chodziło o Diebla i jego...

Tym razem skamieniała Zosia.

Ale tylko na momencik.

Słyszając znienawidzone nazwisko, zaraz dopadła swojego asystenta i zakryła mu usta. Danka nie mogła ich usłyszeć. Zaczęłyby się pytania, pretensje, dochodzenia. Kto wie, może siostra wpadłaby na pomysł historycznych wycieczek po tutejszych urzędach stanu cywilnego albo kościelnych archiwach. Słowem – rozpętałoby się piekło.

– Nigdy nie mów przy mnie o Dieblu. Rozumiesz? Nigdy!

– Przecież nie jest na g jak grejpfrut albo glikemiczny indeks. Zabawna jesteś. A może tobie chodzi o... złoto? Stąd ta konspiracja? Nie chcesz się dzielić?

– Jakie złoto?!

Mirek spojrzał na Zosię, ale jakoś inaczej niż zwykle. Pociągnął mięsistym nosem, a w jego oczach pojawił się zawód.

– Złoto Diebla.

– Cicho!

– Czyli jednak?

– Mireczku... Cholera! Miałeś nie wypowiadać tego nazwiska.

Rozmowa z pewnością skończyłaby się kłótnią, gdyby nie pani Edyta. Pojawiła się nie wiadomo skąd, zupełnie jakby wyrosła ze ściany albo z lustra, a na Zosię spojrzała jak na ptasią kupę rozmazaną na wiosennym płaszczu. Złożyła usta w dzióbek i przemówiła tonem porośniętego puchem pisklęcia:

– Wszędzie cię szukam, Mirku. Umawialiśmy się na taniec, muzyka tuż, a ty przepadasz. Ładnie to tak?

Mirek czuł się zrobiony w balona.

Widok Zosi niezmiernie go ucieszył, ale ta sama Zosia, która z przejęciem wygłaszała przed studentami wykłady o ideałach, okazała się zwykłą materialistką.

Złoto.

Tak, kobiety chcą tylko dobrego DNA i złota.

A kiedy już się rozmnożą, zawężają oczekiwania do tego

ostatniego. Mężczyzna ma im zapewnić bezpieczeństwo i życie na poziomie. Za to jego potrzeby po ślubie schodzą na dalszy plan; czułe akty zbliżeń ogląda już tylko na filmach, w dodatku jeszcze słyszy, że po „Playboya” sięgają tylko zboczeńcy. Kobieta staje się matką. Radość z bycia atrakcyjną pryska, mąż na dzień dobry dostaje opierdziel, że chrapie, że deska klozetowa znowu nieopuszczona, że nie ma na rachunki. Niedawna kusicielka pojawia się w sypialni skrzywiona i ubrana we flanelowe szmaty, które w psychice wzrokowca powodują trwale zmiany. A dziecko wyje, bo ma kolkę.

Jak on mógł o tym wszystkim zapomnieć?

Bardzo dobrze, że wypłynęło to złoto, bardzo dobrze.

Mirek pozwolił się uprowadzić Edycie, bo musiał otrzeźwieć. Tańczył automatycznie, czasem odpowiedział na hipnotyczne spojrzenie swojej byłej, ale wciąż rozmyślał, jak rozegrać sytuację. Postanowił właśnie, że powolutku rozejrzy się za butelką niemieckiego wina, ale złoto Diebla znajdzie, choćby miał się skichać, kiedy kątem oka zarejestrował, że jego odmłodziła koleżanka tonie w ramionach jakiegoś wypłosza w okularach. Sądząc po wygibasach, chyba uczyła go podstaw salsy, co wzbudziło wśród gości nie lada sensację – porównywalną do tej, z jaką przyjęto fryzurę tancerki.

Edyta również ich dostrzegła.

– Mój mąż? – wypowiedziała w najwyższym zdziwieniu i mógł sobie swojego następcę dokładnie obejrzeć. – Przecież on nie znosi tańczyć! Kto to w ogóle jest ta panna?

– Ta panna podobno kradnie pieniądze i dusze mężczyzn – rzucił ironicznie, przywołując słowa Moszka, ale informacja miała być raczej ponurym żartem.

Edyta odczytała ją jednak jak najbardziej dosłownie.

– Mirku, nie chcę cię detonować, ale zarządz odbijanego – rozkazała i z siłą maszyny parowej ruszyła w stronę płaszącej pary.

Cała Edyta.

Sama nie weźmie, ale innym nie da.

Facet w okularkach wykonał obrót i wyhamował przed swoją małżonką, co sprawiło, że na skutek tego niespodziewanego

spotkania poczerwieniały mu czubki uszu. Na sali wstrzymano oddech. Ale Zosia bynajmniej nie miała problemów z oddychaniem. Na wymianę przystała z widoczną ulgą.

– Płacze mi się po życiorysie jak smród po gaciach – skomentowała. – Wiesz, kto to jest? Mój były mąż. Oskar Pelc. Nie mogę się od niego uwolnić nawet podczas przenosin w czasie... Czemu przeszłość nas zawsze dopadnie? I to na opak. Bo ten burak sugerował w tańcu, zresztą sugerował już wcześniej, ale nie brałam tego na poważnie, że jestem jego kochanką. Ha! A teraz widzę, kim jest szczęśliwa małżonka!

– Tak. Edyta. Ale to mnie akurat cieszy. Że chodzę bez obroży.

– Groteska goni groteskę. Czuję się jak bohaterka Gombrowicza... Bez obroży? – Zosia przytuliła się do niego w walczyku i trochę złości z niego zeszło.

Ale tylko trochę.

– Związek – wyjaśnił. – Mam na myśli związek. Na śmierć i życie, że nic nas nie rozłączy; takie tam perturbacje. Podział majątku, alimenty, sama rozumiesz. Myślisz, że dlaczego oni są razem? – skinął w stronę Edyty i wyplosza wyklócających się w tańcu ze sztuczными uśmiechami na ustach. – Podejrzewam, że najbardziej łączą ich złoto.

– Skąd wiesz o złocie? – Zosia przestała w końcu udawać.

– Nie tylko ty masz w dwudziestoleciu swoich ludzi – wykręcił się i nagle wpadł na przewrotny pomysł.

Skoro Zosia tak bardzo tego złota chce, a pewnie trochę tu zabawią, proszę bardzo, zapewni jej rozrywkę. Spędzanie wolnego czasu w monopolowym, kiedy nowa epoka stoi przed nimi otworem, byłoby zwykłym marnotrawstwem. Sam też się trochę rozerwie, i tak nie miał innych zajęć.

– Zawsze lubiłaś wyzwania – zaczął słodko – a Czarna Zośka podobno uwodzi Niemców.

– Oskar nie jest Niemcem, ma po prostu niemieckie pochodzenie. Tak jak ja.

– Jak zwał, tak zwał. Ale skoro tutaj nie jesteś mamuszką...

– Słucham?! – Zatrzymała się nagle.

– Yyy...

– Więc w twojej ocenie do tej pory byłam mamuszką?

– Nie to miałem na myśli – zaczął się tłumaczyć i aż zaklął w duchu. – Chodzi o typ kobiety. Użyłem złego słowa, wybacz.

Ale nie powiesz chyba, że byłaś... Jesteś... O flirciarę mi chodzi!

– Zirytował się, że nie potrafi jasno wyrazić swoich myśli. – Jesteś kobietą stateczną, inteligentną, miałaś rodzinę, robiłaś karierę...

– Mamuszka! Niezmienna! – Zosia zdenerwowała się nie na żarty i zaczęła wygadywać jakieś bzdury. – A inne pięknieją, tak? Ale nie ja? Jak w ogóle można być takim gruboskórnym, Mireczku... Pieprzony Mędrzycki, ty! Myślisz, że nie potrafię uwieść mężczyzny i owinać go sobie wokół palca?

– Zosiu...

– Potrafię! Jeszcze potrafię.

Stało się. Znowu się pokłócili. Żeby więc nie dopuścić do jeszcze większej awantury, przedstawił swoją propozycję.

– W takim razie udowodnij to. Uwiedz pana Pelca i dobierz się do jego złota. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że ukrywa je w wili na Zajączka. Nie udawaj. Złoto Diebla. Zadowolona? Daję ci tydzień, chyba że wcześniej się stąd urwiemy. Banda Czarnej Zośki kontra banda Mędrusia. – Wypiął kłapy fraka. – Co ty na to?

– Uwieść Oskara?!

W zielonych oczach Zosi dostrzegł obrzydzenie i zachichotał. A potem próbował ją zagrozić do walki:

– Czarrna!

– Oskara? – powtórzyła jeszcze raz, po czym wzruszyła ramionami. – Proszę bardzo. Łatwizna, już to przerabiałam. Ale skoro ja Oskara, ty – słodką panią Edytę. Powtórka z rozrywki. Może być?

– Ale że...? – Od razu pomyślał o dzieleniu łóża i zaczął mieć wątpliwości.

– A to już twoja sprawa, czy potrafisz zbałamucić kobietę bez użycia środków nadzwyczajnych. Ja nie zamierzam, ale wiem, że faceci mają ograniczoną pał... paletę sposobów. Tylko pamiętaj, że jest płodna. Sam mówiłeś.

Nagle, wbrew sobie, poczuł przyjemne podekscytowanie.

Wyciągnął rękę.

– Umowa stoi?

– Stoi. A co wygram? – zapytała, przekrzywiając zabawnie głowę, i musiał się powstrzymać, żeby jej nie wydzielić pstryczka w nos.

Młoda czy dojrzała.

Ze zmarszczkami czy bez.

To wciąż była Zosia.

Ogromnie lubił się z nią przekomarzać.

– Wygrasz coś, co błyszczy tak samo jak złoto, ale o wiele bardziej rzuca się w oczy. Satysfakcję i pewność siebie.

Grześ Nawiązka na widok Danki oniemiał z zachwytem.

I chociaż zwykle nie miał problemu z prowadzeniem błyskotliwej rozmowy w towarzystwie dam, przy Dance poczuł się jak sztubak wywołany do tablicy. Nie dość, że była ładna, to jeszcze pewna siebie w tak intrygujący sposób, że przy tej bystrej istocie wydawał się sobie wręcz nieciekawym. Bo niby czym mógłby jej zaimponować? Kątem oka zobaczył swoje odbicie w ścianie z luster i stwierdził, że wyróżnia się na tle obecnych na sali mężczyzn. Owszem.

Ale bynajmniej nie zabójczym spojrzeniem czy sylwetką atlety.

W zbyt opiętym fraku, z płomiennorudą fryzurą i czerwoną twarzą bardziej przypominał dojrzałego w słońcu pomidora niż salonowego Adonisa. Porywać w każdym razie nie porywał, a przynajmniej nie w tej chwili. Kiedy się wypomadował i wystroił, owszem, wyglądał jako tako, psy nie szczekały na jego widok, ale niestety dzisiaj zabrakło czasu na ablucje. Cały dzień spędził z Mędrusiem, który jakby dostał do głowy. Ciągłe trzeba mu było coś tłumaczyć, a na koniec dopytywał nawet o swój własny adres! Choć to ostatnie Nawiązka połączył raczej z chęcią zaimponowania Czarnej Zośce. Wiadomo, że na Zajęczka nie mieszkają biedacy. A może szef podpowiadał w ten sposób bałamutce, gdzie powinna go szukać?

Przecież już z daleka było widać, że tych dwoje miało się ku sobie.

A jak się w tańcu przekomarzali, jak wadzili...

Jedno jest pewne – przed panią Edytą Mirek tak się nie przeżył.

Zresztą, jego szef miał do czarnuli słabość nie od dzisiaj. I już raz za te amory zapłacili. Właśnie w Gdańsku. Wzięli na celownik dom znanego kolekcjonera, a Czarna Zośka, zupełnie tak jak teraz, niby przypadkiem pojawiła się w mieście. Mędrus latał z nią po kabaretach, kupował kapelusze, pachnidelka, a potem okazało się, że jej kamraci nie próżnowali. Co noc wynosili z mieszkania dzieła sztuki, podkładając na miejsce duplikaty. Sprawa wydała się u pasera, bo oczywiście ukradli już z Mędrusiem podróbki.

Wstyd i żenada na całą okolicę.

Nawiązka od niewesołych wspomnień spurpurowiał jeszcze bardziej, a kiedy pomyślał, że ta czarna wiedźma mogła wiedzieć o Dieblu i jego złocie, aż się w środku cały zagotował.

I to gorąco zmobilizowało go do działania.

Choć trzeba przyznać, że osoba Danki również nie pozostawała bez znaczenia.

Na początek postanowił ustalić, gdzie obie damy mieszkają. W tym celu pojechał w sporej odległości za samochodem szefa, który odwoził panny po balu, i tak dotarł do Dębu, na ulicę Królewsko-Hucką. I mina mu się wydłużyła. Ciekawe. Czarna Zośka, sławna złodziejka, znana z zamięłowania do luksusu, zatrzymała się w zwykłej robotniczej kamienicy, przy której nie było nawet porządnego podwórka. A Mędrus wpakował się cewueską w to błoto bez żadnego zastanowienia.

Nawiązka przeciwnie. Minął bramę i zaparkował w bocznej uliczce. Suchutko i kulturalnie, bez szkody dla opon. Począł, aż szef się pożegna, a kiedy usłyszał w nocnej ciszy warkot silnika, wyszedł z samochodu i udał się na mały rekonesans.

Trzeba trzymać rękę na pulsie.

O ironio, tętno zaczęło mu skakać jak szalone.

Kiedy bowiem zadarł głowę i zajrzał w okno poddasza, na tle podświetlonej firanki ujrzał drobną postać kobiety, która

najpierw zamaszystym ruchem wyłożyła na parapet swój rubensowski biust, aż osiadł tam jak ciasto drożdżowe na blasze, potem pogładziła z uczuciem jedną kulę, potem drugą, a jeszcze później...

Zaczęła do nich przemawiać?!

Bo przecież „Nie oddam was nikomu” nie mogło być skierowane do niego.

Hm, chyba nigdy nie zrozumie kobiet.

Ale obejrzana scena wcale Grzesia Nawiazki nie zniechęciła. Przeciwnie. Chciał być jeszcze bliżej Danki, chciał leżeć na parapecie, doznawać lęku wysokości, spadać, wspinać się i znowu spadać. Nieważne. Byle nie dzieliły ich dwa piętra, jak teraz.

Nie chciał być wiecznie sprowadzany do parteru.

Mirek zachował się jak dżentelmen i mimo idiotycznego zakładu odwiózł je do domu. Jednak Danką, która spędziła większą część wieczoru w towarzystwie Nawiazki, była niezbyt pocieszona. Rudzielec podczas upojnego sam na sam nieoczekiwanie stracił rezon i prawie cały czas milczał, nie spuszczać z Danki wzroku wiernego cocker-spaniela. Kiedy więc do siostry dotarło, że zapomniały zapytać Mędrzyckiego o teczkę z laptopem, naprawdę się wściekła.

– Jutro mu przypomnisz – łagodziła Zosia, która umyła właśnie zęby w lodowatej wodzie. – Umówiłam się z nim o dwunastą. Na dworcu. Wcześniej musimy obskoczyć monopolowe. Teraz poprawię ci humor, uwaga...

– Niewykonalne. Ten rudy mówił do mnie „Danuto”. Da-nu-to! Czulałam się jak siedemdziesięcioletnia ciotka, chora na zaawansowany artretyzm. A potem mu się zmieniło i nie odezwał się już słowem, to ja musiałam nadawać.

– Z nadawaniem raczej nie masz problemów.

– Ale nudziłam się jak mops! Ja rozumiem zachwyty, fascynację i tak dalej, ale niech będzie trochę napięcia. Bo inaczej gdzie zabawa? Gdzie adrenalina?!

– Zapewniam cię, że nie będziesz więcej narzekać na nudę.

Informację, że Nawiązka jest członkiem bandy Mędrzyckiego, a sam Mędrzycki to także złodziej, który rzucił Czarnej Zośce wyzwanie, Danką przyjęła ze spodziewaną euforią. Oczywiście, euforia dotyczyła głównie sfery materialnej.

– Czyli jednak. A mówiłaś, że Oskarek nie może mieć złota.

– Złoto osobiście łączę z jego tutejszą małżonką, Edytą.

– Mnie się już te żony i mężowie mieszają. – Danką machnęła ręką. – Kochanki również. Co za ironia losu. Ale może właśnie dlatego poderwanie Oskarka pójdzie ci jak z płatka?

– Jak z płatka by poszło, owszem, gdybym wpakowała mu się do łóżka.

– To się wpakuj, przecież już wiesz, czym to smakuje.

– Właśnie! Dlatego ani myślę. Wielkie dzięki.

– Uuu, to faktycznie będziesz miała problem.

– Czemu wy mnie tak nisko oceniacie?!

– Jacy „wy”? – zacięła się z uciechą Danką.

– Nieważne. Ale zapewniam cię, że wolałabym, żeby niektóre osoby zwracały się do mnie Zofio, niż... Mamuśka!

– Mamuśka? O matko!

– Prawda?!

– To już grubszy szpadel. Oraz grabki. A kto był tak uprzejmy?

– Mędrzycki. Do którego mogę powiedzieć tylko „Mireczku”! Dopiero potem wchodzi nazwisko, ale to już nie to samo. Nagrał sobie, kmiotek... Dobra. Ustalamy plan działania – wydała komendę Zosia, a Danką usiadła na łóżku zwarta i gotowa.

Przeczuwała wyborną zabawę.

– Siostra, zadziwiasz mnie – powiedziała uroczyście, jakby zaraz miała wręczyć Zosi medal.

– Ja myślę. W porządku, na dobranie się do złota mamy tydzień. Jakież propozycje?

– A gdzie Oskarek mieszka? – chciała na wstępie wiedzieć Danką.

– Chyba tam, gdzie mieszkał, zanim się poznaliśmy. W wili na Zajączka.

– W takim razie jutro obejrzymy sobie jego chatkę. Faktycznie się włamiemy?

Zosia przewróciła oczami.

Teraz czekało ją najgorsze. Ale skoro postanowiła udowodnić coś Mędrzyckiemu, nie było odwrotu. Poza tym Danka już jutro mogła dopaść laptopa, gdzie podobno zgromadziła materiały na temat Diebla. Zdaje się, że sprawa i tak by się ryła.

– Włamać! – prychnęła lekceważąco. – Przecież na Zajęczka byłam nie raz. Ja bym to raczej nazwała wizytą. A złoto... Nie będziesz zachwycona, ale... Może się okazać, że złoto tak naprawdę należy do nas. Ale to tylko hipoteza... Jeśli się potwierdzi, po prostu zażądamy jego zwrotu. W świetle prawa.

– Słucham? Czy mogłabyś do mnie artykułować dużymi literami? Jak to: może należy do nas?

Zosia wyciągnęła spod łóżka kuferek i bez słowa przekazała siostrze.

Kiedy tłumaczyła, jak znalazł się w jej posiadaniu, Danka już wściubiła nos do środka i z wypiekami na twarzy brała się za oglądanie papierów.

– Mędrzycki mówił, że Oskar i Edyta mają złoto Diebla – wyjaśniła Zosia. – Dokładnie tak się wyraził. Złoto Diebla. Nie wiem jak, nie wiem skąd. Ale nawet jeśli Mirek zna całą historię, niczego nam nie zdradzi. Dlatego trzeba to przejrzeć.

– Przecież Diebel zwał z talarami. A potem mu je odebrali. Skąd więc złoto?

– Mnie się pytasz? – Zosia podniosła koldrę, pod którą ułożyły banknoty od Zbyja, i zaczęła je przekładać do szafy. Zafascynowana dokumentami Danka nawet nie zwróciła na to uwagi. – Nie jestem historykiem. Wszystko, co o facecie wiem, zawiera się w jednym zdaniu.

– Zosia, przecież tu są skarby! – Dance błyszczały oczy podobnie jak profesorowi, kiedy opowiadał o zawartości kufierka. I zdaje się, że użył dokładnie tego samego słowa. Skarb. – O, tu jest wycinek z „Katolika”. Z tysiąc osiemset siedemdziesiątego. Mogę?

– Dawaj. Skoro już nas w to wpakowałam...

– Wczoraj odebrał nasz magistrat telegram od prezydenta

policii z Wrocławia, że burmistrza Diebla, który 15 000 tal. 1 Października ukradł z kasy miejskiej i czmychnął w świat, złapano w Ameryce w mieście Baltimore; znaleziono przy nim jeszcze 11 000 tal. Chociaż miasto oprócz 4 000, które już rozproszył Diebel, musi jeszcze wypłacić 500 tal. i 5 procentów od całej summy, jako obiecaną premię za złapanie złodzieja, a takim sposobem zaledwie 9 000 dostanie z ukradzionych 15 000, jednak cieszy się mieszczaństwo, że zbrodniarz nie uszedł doczesnej kary. Jeszcze raz powtarzamy: Dzięki Bogu, że Diebel nie jest naszej wiary, lecz człowiekiem wolnomularzy.

– Zbrodniarz – powtórzyła Zosia i zesła z niej cała energia. – I wolnomularz.

Źle jej robił na psyche ten Diebel.

Bardzo źle.

Niestety nie mogła się już wycofać.

– Dla katolików każdy Niemiec był wolnomularzem – rzuciła nieuważnie Danka i zachichotała nad pożółkłą kartką. – Założę się, że te papierzyska gromadziła jakaś kobieta. Posłuchaj tego... W Paryżu kosztuje obecnie po restauracjach pierwszego rzędu: potrawka z kurcząt 16 franków, potrawka z królików 12 fr., kurczę 26 fr., królik 18 fr., indyk 60 fr., gęś...

– Proszę cię, przypomina mi się ptaszek – zaprotestowała Zosia.

– Cicho, najlepsze przed nami. Głowa kałafiorów 3 fr., główka kapusty 4 fr., Psiny funt 2 fr., kot (Angora, pyszne egzemplarze) oprawiony, bez skóry, 5 fr., szczur 1 fr., szczur tłusty 1 1/2 fr. W jardin des plantes zjedzono prawie wszystkie zwierzęta. Masz pojęcie? Tu jest tych wycinków od groma i trochę. I stare, i te po odzyskaniu niepodległości. O modzie, manierach... Przecież to rewelacyjny materiał na wystawę!

– Jaką wystawę? – przestraszyła się Zosia.

– O Wielkich Katowicach. Mówiłam ci, że mam przygotować.

– A co to są Wielkie Katowice? Kiedy nas przenosiło, słyszałam zapowiedź z megafonu.

– Śląsk po pierwszej wojnie przyłączono do Polski, tak? – tłumaczyła cierpliwie Danka, zupełnie jakby miała do czynienia z osobą, która z trudem skończyła podstawówkę. – I potem

zrobiono z Katowic stolicę województwa. A jeszcze później przyłączono do miasta wszystkie okoliczne wiochy, kurniki, przysiółki i kolonie. I z tego powstały dzisiejsze dzielnice, między innymi nasza, Dąb. Dlatego wielkie. Nowoczesne, przemysłowe Big City z tego miało wyjść i teraz możemy się przyglądać jego początkom.

– Będziemy się przyglądać – ucięła Zosia. – Rano. Czy oprócz psiny i szczurów masz coś jeszcze? Na przykład jakiś pikantny szczegół na temat złota?

Danka, zwykle w gorącej wodzie kąpana, przy zetknięciu z materiałem historycznym zmieniała się w kogoś całkiem innego. Z namaszczeniem oglądała każdy świstek i nie pozwoliła sobie przeszkadzać.

– To nie jest wizyta u rzeźnika, że pół kilo schabu kupujesz za dziesięć złotych. Co ja mam to wszystko prześwietlić rentgenem w ciągu sekundy? Ty lepiej idź do łóżka – zażądała stanowczo i ułożyła pościel w wygodny grajdołek. – A ja nad tym posiedzę.

Zosia przyklasnęła pomysłowi.

Wyjęła spod poduszki upiorną koszulę nocną, która sięgała jej do kostek, rzuciła ten pokutny wór w kąt i stwierdziła, że będzie spać na golasa. Trzeba się cieszyć ciałem, dopóki jest jędrne i szczupłe. Zасыpiając, zdążyła jeszcze pomyśleć o...

Mireczku.

Mędrzyckim cholernym.

Pani Adela Beczka była znana w całym Dębnie nie tylko z tego, że jako krawcowa umiała podrobić każdy paryski wzór, ale również z tej przyczyny, że nie znosiła bezczynności. I niby teraz miałyby stać jak ta ciućma i patrzeć, jak marnuje się jej chłop? Takie prorocze sny z trupem w tle to nie byle co. Skoro śnił jej się Błażej bez wąsów, a te z wiekiem obrzydliwie żółkły, zamiast siwieć, należało się ich pozbyć. I tyle. A Błażejowi złość przejdzie, najwyżej poprzeklina sobie z kumplami nad Rawą, wielkie rzeczy.

Ponieważ jednak pani Adela woląa robić niż mówić, upewniła się, że małżonek po dniu pełnym wrażeń śpi snem człowieka sprawiedliwego, i wymknęła się z łóżka. Żeby akcja przebiegła sprawnie, najpierw przygotowała sobie nożyczki oraz brzytwę, a następnie zapaliła świeczkę, w obawie, że zbyt silne światło mogłoby pokrzyżować jej plany.

Zaczęła od kuksańca między żebra, ale Beczkowóz ledwie drgnął, zresztą zawsze miał mocny sen, tym bardziej po wódce. Nad poduszką męża unosiła się kwaśna chmurka z procentów zaprawiona wieprzową roladą i panią Adelę zemdliło, ale pierwszy raz w życiu ucieszyła się, że środek znieczulający pracuje na jej korzyść.

Można było przystąpić do dzieła.

Z wprawą osoby posługującej się na co dzień nożyczkami najpierw delikatnie przycięła i podgoliła lewą część wąsa, lecz kiedy zamierzała zmienić stronę, usłyszała w kuchni jakiś niepokojący dźwięk. Coś jak skrzypienie podłogi. O żadnym złodzieju nawet nie pomyślała, wszyscy się tu znali i jeden pilnował drugiego, zresztą każdy wiedział, że Beczka jest chłop łagodny i nikomu nie wadzi, ale jak się naprawdę zezłości, to nie daj Bóg.

Ale dźwięk trzeba było sprawdzić.

Zabrała świeczkę i szeleszcząc wykrochmaloną koszulą, ruszyła do kuchni, bo może Kachna wpuściła kota sąsiadki i teraz buszuje gdzieś szkodnik po spiżarni. Układając sobie w duchu słowa, jakimi przywita rano bezmyślną dziewczuchę, pani Adela stanęła w progu i aż musiała się oprzeć o piec. Potem zaczerpnęła w pierś powietrza i wrzasnęła, jak tylko potrafiła najgłośniejsz:

– Ratunku, rabują! Biegnij, kto żyw! Rabują!

Po kuchni miotał się diabeł.

Wielki i pokraczny, a w świetle świeczki jego gęba płonęła czerwienią jak roztopione żelazo. Dopiero po chwili pani Adela zorientowała się, że napastnik po prostu okręcił sobie twarz porwaną ze stołu flagą, stąd czerwień, ale nie było czasu na rozmyślanie. Już chwytając za patelnię, kiedy na odsiecz małżonce ruszył pan domu. Wpadł do kuchni w kalesonach

i koszulinie, z połową węża na stężalej twarzy. Zwykle uśmiechnięty i niefrasobliwy, teraz przeobraził się w lwa gotowego bronić swojego stada. Choćby do ostatniej kropli krwi.

I krew faktycznie się połała.

Bo pan Błażej doskoczył do włamywacza w celu porachowania mu kości.

– Po cudze wyciągać rękę ci się zachciało?! – wykrzyczał, choć tamten jeszcze nie zdążył niczego ukraść. – Po cudze?! Ty gagatku! To ja ci zaraz tę łapę utnę. Jak mi Bóg miły, utnę!

Gagatek musiał się domyślić, że to nie czcze przechwałki. Pan Błażej uczepił się jego ubrania i odciągnął go od drzwi, a pani Adela przełamała strach i ściskając patelnię, zakradła się od drugiej strony. Kiedy przywaliała złodziejowi po nerkach, ten podskoczył, zacharczał i chcąc się wywinąć z uścisku, rozpaczliwie zamachał w powietrzu pięściami. Gdyby pan Beczka to przewidział i się odsunął, intruz nie zdefasonowałby mu nosa. Ale stało się inaczej. Uderzenie było przypadkowe, jednak na tyle silne, że Beczka wypuścił przeciwnika z rąk i zamroczony usiadł na podłodze.

A tamten oczywiście wykorzystał okazję i uciekł.

Dopiero wtedy pani Adela włączyła światło i na widok krwi przeżegnała się. Potem dopadła małżonka i już mogła odetchnąć z ulgą. Beczka nie stracił nawet jednego zęba. Łało mu się za to z nosa.

– Już tamuję. Głowa do tyłu i leż – zarządziła i skoczyła szukać bandaży.

Ale znalazła coś lepszego.

Tutkę panny Zosi.

Tę do tamowania krwotoków.

Oglądały ją, przekładały z rąk do rąk i tutka zamiast z powrotem do torebki, trafiła na stół i wpadła pod jeden z talerzy. Znalazła się, kiedy już wszyscy skończyli jeść, dlatego gospodyni zamierzała ją oddać właścicielce dopiero jutro. Ale skoro w kuchni tryska krew, a tutka służy do tego, żeby krew nie tryskała...

Zbyj wpadł do kuchni, kiedy akcja ratunkowa została już

zakończona, a pani Adela odkryła właśnie, że łóżko gościnne stoi puste.

– Obchód robiłem, bo chyba ktoś do okien zaglądał i laził wokół domu. Co jest? Czemu wuj krwawi? I czemu wuj ma tylko połowę wąsa?!

Skonany był okrutnie.

Odwiózł dziewczyny do kamienicy, gdzie wynajmowały pokój na poddaszu, i z czystym sumieniem postanowił rzucić się do własnego łóżka. A własne łóżko znajdowało się w jego własnej willi z własną służbą, co stwierdził już na podjeździe przed wielkim domiszczem.

To znaczy stwierdził obecność służby, gdyż ledwie zaparkował, zza masywnych drzwi wychylił się mężczyzna w liberii, aby, świecąc w ciemności łysiną, podbiec do bramy i sprawnie się z nią uporać. Wieńczący te zabiegi wymowny ukłon mógł oznaczać tylko jedno: Mirek jest tu znany jako pan domu i to łóżko faktycznie musiało na niego czekać.

Co za ulga.

Trochę speszycie go tytułowanie, bo lokaj był nobliwym starszym panem, a bez przerwy kłaniał się i mówił: „szanowny pan raczy...”. I tak Mirek raczył przekazać mu smycz z Goliatem, raczył oddać płaszcz, kapelusz, potem nie raczył zjeść późnej kolacji, a na koniec raczył powiedzieć, że zamawia budzenie na wpół do ósmej. Było to tym bardziej męczące, że nigdy nie czuł się wobec drugiego człowieka lepszy czy gorszy, traktował innych z szacunkiem i rozważał właśnie, czy nie powinien wyjść naprzeciw demokracji i zwolnić pracujących dla niego ludzi, ale zaraz wyobraził sobie minę Nawiązki. Zapewne posiadanie służących to było tutaj wielkie wow. Nobilitacja, znaczy się. Wyznacznik i takie tam inne popańszczyźniane hocki-klocki.

Dobra, zastanowi się nad tym jutro. A może nie warto się zastanawiać, bo jeśli uda mu się stąd uciec, a na jego miejsce wróci jego międzywojenny odpowiednik, chłopak może mieć

przerypane i bez lokaja nie trafi do własnej szafy. Tak że pewnie lepiej ten temat zostawić i nie burzyć nikomu światopoglądu.

Bardzo chciał zasnąć. Zasnąć i obudzić się w swoim pokoiku. A potem wypić kawę i pojechać syrenką na uczelnię, gdzie czekała Zosia. Ale nadal znajdował się w wielkim, ciemnym pokoju z mahoniową boazerią i łóżem gotowym pomieścić nie tylko jego i Goliata, ale jeszcze kilka osób z kilkoma psami.

Co gorsza – w ogóle nie był senny.

– Za dużo emocji jak na jeden dzień – stwierdził, a Goliat odpowiedział mu niemrawym szczeknięciem. Zdaje się, że gosposia (tak, posiadał nie tylko lokaja, ale gosposię, kucharkę i pokojową!) zdążyła go czymś poczęstować, bo psina wciąż miała na wąsach kropelki tłuszczu. – Pogramy sobie w coś – zdecydował, spoglądając na teczkę z laptopem Danki. – Jeśli ten sprzęt działa.

Sprzęt działał.

Bateria była prawie pełna, ale nawet gdyby zdechła, w przegrodce obok znajdowała się ładowarka. A ładowarkę można było podłączyć do kontaktu, co Mirek zaraz sprawdził. Nie wywaliło korków, nie spłonęła połowa dzielnicy. Wynalazki techniki przenosiły się w czasie chyba z lepszym skutkiem niż ludzie.

– Za wiele się nie spodziewajmy – zastrzegł na głos – bo to laptop kobiety i Gothica tu nie znajdziemy. Ale choćby malutki pasjans...

Nie żeby uwielbiał grzebać w czyichś osobistych dokumentach, ale kiedy na pulpicie zobaczył folder zatytułowany „Diebel” – nie potrafił się powstrzymać. W końcu wyzwał Zosię na pojedynek. I chociaż bardzo lubił swoją szefową, oficjalnie byli teraz przeciwnikami. Teoretycznie. Zatem teoretycznie przejrzanie tego folderu nie oznaczało, że jest wścibskim chamem.

– O psiaakostka! – Gwizdnął z uznaniem, bo podfoldery były ładnie opisane i już samo to mówiło, że zajrzał właśnie do dobrze zorganizowanego archiwum. Czyli o złocie wiedziały obie panie.

Wyrównanie szans.

Tak to należało nazwać.

Pozbywszy się wyrzutów sumienia, Mirek kliknął w pierwsze okienko na liście. Oblizując z przejścia usta, otworzył kolejne. A później kolejne i kolejne... Wreszcie sięgnął po telefon i wykonał całe mnóstwo zdjęć.

Czy raczej: zebrał materiał dowodowy.

Danka prawie w ogóle tej nocy nie spała.

To, co znalazła w kufierku, przerosło jej najśmielsze oczekiwania.

Zgłębianie historii tak ją przejęło, że nie zwracała uwagi na nic innego. Choćby na hałasy na schodach. Ktoś biegał, krzyczał, pani Beczka piszczała, ale co tam małżeńskie awantury, skoro okazało się, że Diebel faktycznie należał do rodziny!

Otworzyła oczy po zaledwie czterech godzinach snu i tak się kręciła, tak stękała, że Zosia w końcu dała za wygraną.

– Okres masz, że się tak rzucasz? – burknęła, zmieniając bok.
– Weź sobie Nospę czy coś...

– Zosia! – Danka w jednej chwili wyprysnęła z łóżka i wyciągnęła z kufierka obszarpany po brzegach dokument. – To prawda! Diebel jest naszym przodkiem. On był tym prapra...

– Która godzina? – Siostra nie przyjęła nowiny z należyłą uwagą. Zupełnie jakby przed chwilą nie padły słowa o genealogii, historii Katowic i roli rodziny Habów.

– Raczej gadzina – oceniła więc z naganą Danka. – Jesteś przyziemna gadzina. Popatrz. To jest dokument z urzędu stanu cywilnego. Przeczytaj. Zainteresuj się!

– Po niemiecku mam się interesować? – Zosia usiadła na łóżku i z niechęcią odsunęła od siebie kartkę. – Która godzina, pytam, bo jesteśmy umówione z Mędrzyckim na dworcu.

– O dwunastej. A jest dopiero ósma.

– Okej. – Siostra wreszcie spojrzała przytomniej. – Czyli członek rodziny? Dobra, dawaj tę makulaturę.

– Niemieckim się nie przejmuj, profesor wszystko przetłumaczył. Zerknij na nazwiska.

– Alois Diebel... A niżej: Alojzy Haba – przeliterowała z ociąganiem Zosia.

– Widzisz?!

– Co to za jeden?

– Już ci czytam listy. – Danka sięgnęła po korespondencję. W jej podkrążonych oczach migotała teraz duma. – Pierwszy będzie ze stycznia roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego, czyli zaraz po aresztowaniu Diebla.

Bracie Drogi Mój

Przesyłam Ci uściski i kosz jadła, abyś czekając upokorzen w tym zimnym chlewie, chociaż strawy domowej poprobował i nas wspomniął, bo my Ciebie w sercu wciąż nosim...

– W jakim chlewie? O co chodzi? – zapytała odruchowo Zosia, bo pomieszczenie dla świń zestawione z sercem zrobiło na niej wrażenie.

Poza tym w styczniu? Bez kaloryferów?

– Diebel najpierw czekał na wyrok i po tym, co zrobił, raczej nie zaproszono go do luksusowej celi z plazmą i dostępem do Internetu. Zresztą więzienia jeszcze wtedy nie było, a gdzieś siedzieć musiał. Nieważne, posłuchaj do końca.

Rodzinę chcąc uchronić, przed ślubem zalecanej zmiany dokumentów dokonałem, alem nie ukontentowany, bo urzędnicy tutejsi złośliwi niemożebnie i złe całe pokolenia pamiętać będą. Nazwisko nasze tak nikizemnie tłumaczą, że po tutejszemu nadal nas piętnują. Haba. Czyli kradzież. Jak nic trzeba nam się stąd zbierać i wynosić. Ale nie za ocean. Tam nie. Eryk to osesek jeszcze przecie i co rusz chorzeje. Takiej wyprawy mógłby nie przetrwać, a zatem Drogi Louisie, Bracie Ukochany, żalu nijakiego do mnie nie miej. A i Irenie nie widzi się ta Ameryka. Mówi, że ona za daleko i nijak przekonać małżonki nie potrafię, bo o Tobie przecie nie wie. Ale uchodzić musim, nie ma tu dla rodziny Dieblów ani

nawet Habów spokojnego żywota...

Alois

– To autentyczny list?

– Ten? – Danka pomachała cieniutką jak bibuła kartką w kolorze kawy z mlekiem. Atrament tworzył na niej rozmyte szlaczki. Nic dziwnego, że ich rozszyfrowanie zajęło profesorowi aż rok. – Pewnie. Ale czytam tłumaczenie. Zauważ, że profesor stylizuje to na dawny język. A teraz unikat na skalę światową. List napisany przez kogo...?

– Nie?

– Tak! – zapiszczała z uciechy. – Przez samego Louisa Diebla! Tu jest jego imię i nazwisko, zobacz.

Zosia wreszcie okazała należyte zainteresowanie. Może do tej pory nie zdawała sobie sprawy z rangi odkrycia?

– Tu u góry? – upewniła się, podciągając kołdrę pod brodę. – Louis Diebel. Friedrichstrasse 30. Kattowitz. Co to znaczy? To ostatnie?

– Warszawska trzydzieści – skwapliwie wyjaśniła Danka. – Ale tam stoi i stała zwykła kamienica, a nie chlew, więc nie wiem. Teraz list, tylko się nie dziw, bo są dziury w tłumaczeniu, widocznie żąb czasu go pokąsał. Uwaga...

Alois, Bracie Mój Jedyńy

Chleb pieczony ręką Twojej małżonki zawsze chwalił będę, chociaż kto go kosztuje ona nie wie (...). Ironia losu taka, że kiedyś upraszał na wizycie w Katowicach Króla Prus Wilhelma I o wsparcie na budowę tutejszego więzienia i sądu, anim myślał, że przeznaczenie swoje tem wykreślam. Aż mnie śmiech pusty wziął, kiedyś słuchał wyroku, bo (...) Ale o nagrodę za lata orki na ugorze zadbałem. A Ty rozejrzyj się za jakim mistrzem murarskim, bo może całej rodzinie kamienicę sprawisz, a na mnie poczekaś i troskę z serca zdejmiesz.

Louis

– Ha! – zakrzyknęła po skończonej lekturze. – Teraz już

przynajmniej wiemy, dlaczego tak się nazywamy. Z nazwiskiem Diebel to dopiero miałybyśmy przekopane. Ale książkę mogę pisać nawet jako Haba – podsumowała.

– Pisać co? – zaniepokoiła się Zosia.

– A ty myślisz, że ja tego naszego Louisa tak po prostu zostawię? A w życiu! Siądę i napiszę publikację naukową. Ale najpierw muszę usiąść na... – Skrzyżowała nogi, bo nieprzyjemne parcie czuła już od kwadransa. – Czy wychodek to jest właściwe rozwiązanie, kiedy człowiek ma na sobie tylko idiotyczną pizamę?

– Pod krzesłem stoi nocnik.

– Obawiam się, że jest pełny. Możliwe, że jednak wczoraj odrobinę za dużo wypiałam. Ale zalewałam Nawiązkę. Zaraz się z tej okazji posikam.

Zosia właśnie wstała i bez skrępowania zaprezentowała światu swoją goliznę, a przy okazji zerknęła przez okno na podwórze. W samym rogu, tuż obok chlewika, dostrzegła niewielkich rozmiarów drewnianą budkę z wyciętym w drzwiach serduszkciem.

– Śmigaj – ponagliła Dankę. – Tylko zarzuć na siebie koc, żebyś nie złapała kataru.

Zaledwie Danką zniknęła, Zosia z powrotem dała nura do ciepłej pościeli. Owinąwszy się rozgrzaną kołdrą, układała właśnie w myślach plan dnia, kiedy na piętrze usłyszała jakieś wrzaski, a do drzwi ktoś cichutko zapukał. Przecież było otwarte, czemu Danką się wygłupia? I co to za awantura na schodach? Zła, że przerwano jej rozkoszne leniuchowanie, wyskoczyła bosymi stopami na zimną podłogę i dopadła drzwi.

– Czy jaśnie pani trzeba otworzyć osobiście?!

Na klatce schodowej czekał Mędrzycki.

Trochę zdziwiony faktem, że po kamienicy biegał wściekły jegomość w kalesonach, który miał na twarzy tylko połowę wąsa, a w nosie tampon O.B., a trochę spłoszony tym, że stanął nagle oko w oko i pierś w pierś z nagą kobietą.

Wychodek śmierdział tak okrutnie, że Dance stanęły w oczach ropne bakterie migrujące i wszelkie inne świństwa, które musiały się w tej budzie kłębić i osiadać na każdym, kto złożył na deskach przybytku swoje cztery litery. Już kilka metrów przed drzwiami jej służówki doznały szoku i w zasadzie oszczędziła sobie nawet zagładania do środka. Tuż przed strefą największego rażenia wykonała więc odwrót i uciekła.

Za kamienicą stał jeszcze jeden budynek, a za nim ciągnęła się boczna uliczka, która łączyła Dąb z Tysiącleciem. A raczej, będzie łączyła w przyszłości, bo to, co obecnie znajdowało się na tyłach Chorzowskiej, czy raczej Królewsko-Huckiej, Danką znała tylko z książek. Bederowiec i kolonia Sośnina.

Po wyjściu za ogrodzenie zaczerpnęła powietrza w płuca i nieoczekiwanie stwierdziła, że majowy poranek jest przyjemnie rześki, a na zewnątrz panuje o wiele wyższa temperatura niż na poddaszu. A może to ten koc? W każdym razie była pewna, że mały spacerek jej nie zaszkodzi. Załatwi jedynie potrzebę fizjologiczną i sprawdzi najbliższą okolicę.

Potrzeba fizjologiczna dawała o sobie znać palącym bólem pęcherza, dlatego Danką porzuciła marzenia o gęstych krzakach czy liściach łopianu. W charakterze zastępy wystarczył jej zaparkowany nieopodal samochód. Wokół było pusto, po głównej ulicy przetaczały się dystyngowane pojedyncze auta, zupełnie inaczej niż w zwykły poniedziałek, kiedy wszyscy pchali się do pracy na ósmą. Zamiast klaksonów słyszała szczekanie psów i... odgłos paszczowy konia. Tak, na pewno słyszała rżenie jakiegoś okolicznego perszerona.

Cuda i dziwy.

Cuda i dziwy dotyczyły również przybrania postawy kucającej, bo Danką odkryła nagle, że jej nowe piersi nie mają właściwej przeciwwagi z tyłu korpusu i kiedy ustawia odpowiednio nogi, biust ciągnie ją ku wysypanej żwiru drodze. Brak stanika dodatkowo komplikował sytuację, a przez chwilę poczuła się nawet jak zawodnik rugby, który musi schwytać dwie piłki naraz.

Pełna podziwu dla własnej pomysłowości, bo przedsięwzięcie jednak się udało, ponownie otuliła się kocem i już chciała iść

w kierunku lasu, który zamykał drogę, kiedy auto... poruszyło się. A po chwili na tylnym siedzeniu zobaczyła pomarańczową szopę włosów i aż głośno jęknęła.

Nawiązka!

Chyba nie oglądał, jak ona tu z tyłu...

Dostrzegł ją w lusterku i już nie było czasu, żeby wymyślać wymówki. Bo skąd ona nagle tutaj? Do tego w tym stroju.

– Panna Danuta. – Nawiązka jak porażony piorunem zaczął szarpać klamkę i wyskoczył na zewnątrz, a jego postawa mówiła, że jest gotowy do wielkich czynów.

– Tylko nie Danuta. Błagam!

– Nie bardzo rozumiem.

– Proszę nie mówić do mnie „Danuta”. Nienawidzę. Doprowadza mnie to do szału. Wkurza, irytuje, zniechęca, odbiera wdzięk, roz...

– Oczywiście – przestraszył się Nawiązka. – Danusia. Lepiej?

– Obojętnie. Tylko nie „Danuta”. Pliz. A w ogóle może mi pan walić po imieniu – zadecydowała i wyplątała rękę z koca.

– Wa... Walić? – Rudzielec objął spojrzeniem jej kaptcie, koc i cały poczerwieniał, a Danka pożałowała swojej impulsywności.

– A, zapomniałam. Etykieta... Niech stracę. Panna Danusia. Może być?

– Yyy... Się wie. O, a cóż to takiego?! – wykrzyknął przejęty.

Danka pobiegła spojrzeniem w tym samym kierunku i wstrzymała oddech. Pod samochodem rozlewała się spora kałuża, która powoli, ale systematycznie zwiększała swoją objętość. Nie koniec na tym: od tego nowo powstałego oceanu odchodziły pojedyncze strużki, które ciurkały wesoło i biegły na boki, łączyły się i rozdzielały, co wszystko do kupy tworzyło całkiem pokaźne dorzecze.

Fakt.

Z Danki zszedł co najmniej litr.

– To znaczy? – zapytała z głupia frant.

– Chyba pękła mi chłodnica. Widzi panna Danusia? Tylko czemu to... paruje?! – Nawiązka przejął się nie na żarty. – Przecież silnik całą noc... – uciał niespodziewanie i zatroskany

zaczął krążyć wokół samochodu jak śledczy podczas wizji lokalnej. – Niedobrze.

Danka ścierpła.

Zakłopotanie walczyło w niej z rozbawieniem, ale ta druga opcja szybko przeważała i teraz pozostawało nie roześmiać się Nawiązce w twarz.

– A może to olej? – drażył Grześ. – Ale chyba za rzadkie.

– Za rzadkie – przytaknęła zgodnie i przestąpiła z nogi na nogę. – Proszę się nie martwić, pewnie to nic takiego.

– Panno Danusiu, za przeproszeniem, ale mechanika to moje życiowe powołanie. A mówi to pani Grześ... – ponownie urwał w pół zdania. – Dziwne, bardzo dziwne. Z takimi wylewami nie ma żartów. No nic, trzeba to zbadać – zdecydował.

Danka nie zdążyła wykonać skoku w dal i zawisnąć mu na palcu, bo miłośnik mechaniki już bełtał nim w kałuży, a następnie podstawił go sobie pod nos. Na moment jakby skamieniał, z wahaniem wziął kolejną próbkę, znowu powąchał, a na koniec przyjrzał się swojej rozmówczyni z najprawdziwszym przerażeniem.

– A jednak to olej – wymamrotał w końcu, zawzięcie chrząkając. – Tak, to zupełnie niegroźne. Takie wypływy... Zdarzają się od czasu do czasu. Panna Danusia ma rację, to nic takiego. Naprawdę. Nic się nie stało.

Danka była równie zmieszana, a po jej uśmiechu nie został nawet ślad. Chciała zniknąć, rozpląnąć się i w ogóle przestać istnieć, co równałoby się niesikaniu do końca świata.

– Panie Grzesiu, mnie jest zimno. – Zatrzepotała nie tylko rękami, ale i nieskrępowanym bielizną biustem i zamierzała jak najszybciej oddalić się z miejsca przestępstwa.

Rudzielec dla odmiany zbladł, bo jak by nie było, po raz pierwszy znajdował się sam na sam w tak niedalekiej odległości od podziwianego obiektu, w dodatku obiekt nie dawał mu już do zrozumienia, że jego obecność jest zbędna. Wreszcie poczuł się potrzebny, a na zwirowej drodze zobaczył oświetlone niewiastę porzuconą na pastwę losu. Zziębniętą, zagubioną, może nawet wygonioną z domu przez złą siostrę. Bardzo złą i bardzo czarną siostrę, która zabroniła jej korzystania

z łazienki.

Nie zadając więc głupich i niedyskretnych pytań, co bardzo podniosło jego notowania, Grześ Nawiązka szarmancko zaoferował Dance swoje ramię i nie obdarzył już kałuży ani jednym spojrzeniem.

To pozwoliło jej spokojnie wsiąknąć w ziemię.

Temat się rozmył.

Zosia ubrała się pospiesznie i wyszła do Mędrzyckiego na klatkę schodową.

Jeszcze przedwczoraj zobaczona na gołe sadło przez przedstawiciela płci odmiennej (wyłączając lekarza), umarłaby na miejscu z zażenowania, ale dzisiaj była ze swojego ciała bardzo zadowolona. To raczej Mirek wyglądał na skrępowanego, ale zaraz mu przeszło, bo z mieszkania Beczków wychyliła się pani Adela.

– A przyjdźcie no tu, bo ten Beczkowóz szaleje, jakby mu kto ostatni gąsiorek wina spił. – Pomachała do nich nagląco. – Parę kłaków stracił, a brewerie takie odstawia, że zaraz chyba po księdza proboszcza przyjdzie mi lecieć. Bo jak go udobruchać, łobuza jednego?

– Zaraz przyjdziemy. Tylko Danka wróci, bo się gdzieś straciła – obiecała Zosia.

– Beczkowóz to ten z jakimiś frędzlami w nosie? – zapytał półgłosem Mirek, mimo że sąsiadka zniknęła już za drzwiami.

– Tak, to nasz gospodarz. I nie z frędzlami, ale z tamponem O.B.

– Z... tamponem?!

– Co się dziwisz? Powiedzmy, że doszło do wymieszania przeszłości z przyszłością. À propos podróży w czasie, czemu jesteś tak wcześniej? Umawialiśmy się przecież w południe.

– Tak, ale coś wam przywozłem. – Mędrzycki wyciągnął zza pleców teczkę z laptopem i zaraz uciekł spojrzeniem w bok. Pewnie przez goliznę, której przed chwilą był świadkiem. Zosia usiłowała wydedukować, czy widok przypadł Mirkowi do gustu,

ale spryciarz nie dał po sobie niczego poznać. Ślina mu z ust nie ciekła, a wzrok nie penetrował zakamarków jej ciała, tylko kąty klatki schodowej.

Czyli wszystko w normie.

– Pomyślałem, że twoja siostra się zamartwia. Poza tym przed dworcem trzeba zajrzeć do kilku sklepów z alkoholami. Po co macie dźwigać? Zawiozę was. Uprowadziłem telefonicznie, ale zasięg, wiesz...

Wiedziała. Ale skrzywiła się, bo inaczej jeszcze by zauważył, że ciepłem w spojrzeniu byłaby w stanie ogrzać całą kamienicę. Zaraz potem przypomniała sobie tyrady Danki o równowadze i już chciała mu ładnie podziękować, kiedy trzasnęły drzwi wejściowe i na piętrze stanęła jej siostra z wczorajszym absztyfikantem.

Nawiązka wyglądał dziś na bardzo z siebie zadowolonego i ku radości Zosi zrezygnował z okazywania jej niechęci. Przynajmniej na razie.

– Witam państwa. – Ukłonił się z zapalem, a czupryna zafalowała mu jak ogień w kominku. – Przyjechałem do Dębu na... zakupy. I... spotkałem pannę Danusie, która zaprosiła mnie na poranną herbatkę. Jeśli to nie sprawi kłopotu, rzecz jasna. Mędrus! Witaj, bracie. Ty... Ekhm... Również na zakupach? W Dębie?

Tak miło zapowiadające się spotkanie towarzyskie nie miało jednak spodziewanego finału. Klatka schodowa była chyba najruchliwszym miejscem w okolicy, bo schody znowu zatrzeszczały, a na górę wdrapała się zdyszana Kachna ciągnąca za sobą jakiegoś młodzieńca w przykrótkich spodniach i błękitnej koszulinie.

– My do wróżki. Radzić się – oznajmiła, a chłopak ściągnął przed Danką czapkę z takim rozmachem, jakby stanął właśnie przed sołtysem.

– Do mnie? – zaszczebiotała z fałszywą skromnością Danką, otulając się kocem jak najpiękniejszą etolą. – Nie, to chyba jakaś pomyłka.

– Ale my darmo nie prosim – huknęła na swojego towarzysza Kachna. Nieborak zaraz wyciągnął z czapki banknot, a Zosia

dostrzegła w oczach siostry znajomy błysk.

Stało się jasne, że ktoś tu nie zrezygnuje z zarobku.

Rudy również połapał się w sytuacji. Zapewnił, że nie chce przeszkadzać, posłał Dance zdziwione, ale powłóczyście spojrzenie, i pognął w dół, omal nie łamiąc sobie przy tym nóg. Mirek również jakby się zawahał, więc Zosia pociągnęła go do pokoju, gdzie zaprosiła również resztę towarzystwa. Sama była ciekawa, o co chodzi w tym zamieszaniu.

– To mój brat. – Kachna wskazała mężczyznę, który wyglądał na mocno przejętego wizytą. Zdaje się, że w mieszkaniu wróżki spodziewał się czarnego kota i szklanej kuli, bo na widok zwykłego pokoju mina mu się wydłużyła. Ale jego siostra nie wątpiła w pomyślność misji. – Na dworcu robi. Za pocztowego.

– Na dworcu? Nie na poczcie?

– Na dworcu. W Katowicach. Poczte z pociągu dostaje i wozi.

– Rozumiem. W czym mogę pomóc? – Siostrzyczka usiadła przy stoliku, złożyła palce w wieżę jak polityk i skinęła na krzesła. – Siadajcie, proszę.

Zosia z Mirkiem trzymali się na uboczu, ale pilnie słuchali.

– Pani, to jest uroczone miejsce. – Chłopaka w końcu odblokowało. – Ten peron. Głowę daję, że uroczone.

– Ale jaki konkretnie peron ma pan na myśli? – Danka żywo się zainteresowała.

Mirek z Zosią również.

– No, piąty. Tam, gdzie tunel pocztowy. I kaj indziej cudów żadnych innych nie ma. Wózek jedzie jak trza. Ale pod piątym licho jakie siedzi, jak nic. Ściany dudnią, złe warczy, aż się włos na głowie jeży. A już nocą to, pani, tam nikt nawet nosa nie wsadzi. Każdemu się portki trzęsą.

– Peron piąty – powtórzyła Danka w zamyśleniu. – A czemu państwo z tym kłopotem do mnie?

– Znaki pani widzi – włączyła się Kachna. – To i złe odczytać pani umi.

– Odczytać... Może i umiem.

Młodzieniec ponaglony przez siostrę jeszcze raz zaszelecił banknotem i Danka już miała przejąć papierek, ale Zosia bez pardonu wkroczyła do akcji.

– A ja mam dla pani wróżki propozycję. Może zapłatę przyjmie pani dopiero, kiedy to licho przepędzi?

Chłopak wyraził swoje uznanie szczerbatym uśmiechem, Danką wyglądała na lekko urażoną, ale ostatecznie uległa.

– Cóż, w sumie to nie takie głupie. Odczynię, oczywiście, że odczynię. Oczyszczę ze złej energii i może faktycznie dopiero wtedy... Ale gdyby trzeba było wyłożyć jakiś sen – zastrzegła – walcie do mnie jak w dym. Znajomym też przekazcie. A, i od każdej poleconej osoby macie pięć procent prowizji. Sztama stoi? – Ucisnęła Kachnie rękę niczym dyrektor banku klientowi indywidualnemu, ale dziewczyna tylko bezmyślnie się wykrzywiła i popchnęła brata do drzwi.

– Pięknie. – Zosia zaczęła bić brawo. – Żerujesz na zabobonie i ludzkim zacofaniu. Wyłudzasz....

– O, przepraszam! – oburzyła się Danką. – Ci mili ludzie chcieli mi zapłacić za pomoc. Przecież i tak będziemy na dworcu. Pójdę na peron i majątnę w tunelu pocztowym parę razy jakimś wahadłem czy inną brzoźową witką. W czym problem?

– Peron piąty – mruknął Mirek i pokiwał głową. – Nic dziwnego, że trzeszczy. Paskudne miejsce pracy się chłopu trafiło. Ale jeśli go przeniesie z tym wózkiem do dwudziestego pierwszego wieku, Poczta Polska będzie mieć usprawiedliwienie jak złoto. A co do wędrowania w czasie cudów techniki...

Laptop naprawdę Dankę uszczęśliwił. Szybko się ubrała i uruchomiła komputer. Zadowolona, że żaden z ważnych plików nie przepadł, jeszcze raz podziękowała Mirkowi, a potem ich przeprosiła i z podejrzanym zapalem zaczęła gmerać w szafie. Po chwili Zosia zabrała kuferek, Danką jeszcze bardziej wypchaną teczkę i wszyscy razem zeszli do mieszkania Beczków, w którym przyjemnie pachniało masłem i kruszonką.

Pani Adela znajdowała się w stanie załamania nerwowego.

Zanosila się cichutkim płaczem nad brytfanną makowca, a po

panu Błażeju nie było w mieszkaniu śladu.

– Poszli ze Zbyjem nad rzekę, ale i tak pewnie skończą U Czupryny – odpowiedziała na pytanie Danki. – Zbyj go ogarnie przed zmianą, bo nawet jego ukochane ciasto nie dało rady. – Gospodyni nie przestawała ronić łez, a odnotowawszy w swojej kuchni widownię, zaczęła lkać jeszcze żałośniej.

Uspokoila się dopiero po kilku minutach, z czym ściśly związek miało pojawienie się w progu młodego mężczyzny z pieskiem. Goliat dosłownie podbił jej serce, nie mogła się nadziwić, że taki mały, ładny i pocieszny. Właściciela czworonoga podjęła kawą i kromką z twarożkiem, a Goliatowi dostała się tłusta nóżka z wczorajszego rosółu. Na zwierzenia dotyczące wydarzeń ostatniej nocy gospodyni dała się namówić dopiero wtedy, kiedy wszystkie talerze były puste.

– I co ten złodziej ukradł? – spytała na zakończenie Zosia, bo nie wiedziała, czym pan Beczka przejął się bardziej: napadem czy utratą wąsów.

– Wychodzi na to, że nic. – Pani Adela rozłożyła swoje krótkie rączki. – Oprócz flagi nic.

– Flagi? – Teraz Mirek nie bardzo zrozumiał, więc uraczono go kolejnym wyjaśnieniem.

– I ten diabeł czerwony gębę sobie państwowym symbolem omotał. – Gospodyni znowu zaczęła przeżywać, ale sprowadziła ją na ziemię trzeźwa uwaga Mirka:

– Ja bym się w tym miejscu zatrzymał i zastanowił.

– Niech się pan Mirek zatrzymuje i zastanawia. Jeszcze kawki?

– Dziękuję bardzo, poproszę... Was to nie dziwi? – zwrócił się do dziewczyn.

Zosie flaga zastanawiała od samego początku, choć łączyła się w jej umyśle jedynie z urzędem. Ale w kawałku materiału nie widziała niczego sensacyjnego.

– Facet zasłania sobie twarz. Czemu? – Mirek nie dawał za wygraną.

– Bo nie chce jej mieć na wierzchu – zachichotała Danki.

– Właśnie. Moim zdaniem nie chciał zostać rozpoznany – palnął tonem komisarza policji, a Beczkowa zamrugła

spuchniętymi oczami.

– Pan Mirek mówi, że co? Że jak rozpoznany?

– Pan Mirek sugeruje, że mogliście znać sprawcę napadu – dobiła gospodynię Danka, aż kobiecina chwyciła się z przejęcia za serce.

– Bójcież się Boga, co też wygadujecie za farmazony... Ja złodzieja? Ja nie znam żadnego złodzieja. Ani jednego! Przysięgam.

– Może ten człowiek nie był żadnym złodziejem i przyszedł tu w zupełnie innym celu – podsunął przekornie Mirek, ale widząc reakcję pani Adeli, szybko się wycofał, mrugając na stronie do Zosi.

– Ważne, że nic nie zginęło. – Danka również zrozumiała, że na pewne rozważania przyjdzie czas w innym gronie. – A co z wąsami?

– Beczka całe życie głowę mi suszył tym, no... Kompromisem. Że ja niby taka nieprzejednana i zatwardziała. Ja zatwardziała?! – Gospodyni podparła się pod boki. – I jak się rano w lustrze zobaczył, to jakby się szaleju najadł. To ja mu na to: chciałeś kompromis, to go sobie masz. Połowa dla mnie, połowa dla ciebie. I dopiero wtedy się zaczęło... Biegał, wietrzył ciśnienie, no a potem drugą połowę zgolił i wyszło na moje. I w końcu wygląda jak człowiek. Ale makowczyk się straci, bo ja makowca tylko skubnę, a już mi się oczy same kleją.

– Co się pani co? – pospieszyła z pytaniem Danka i chociaż forma nie była zbyt czytelna, pani Adela od razu złapała, w czym rzecz.

– Spanie mnie bierze. To nie wiecie, że dawnymi czasy kobiety wywar z makówek dzieciom robiły, zanim w pole poszły? I dziatki ani kwiliły. I jeszcze chmiel jest na sen, pełno go u nas nad rzeką rośnie, ale mak bardziej był w zwyczaju.

– Rany, a teraz za metr maku w ogródku to by dopiero była jazda – westchnęła Danka i podsunęła talerzyk bliżej tacy z ciastem.

Mirek poszedł w jej ślady. Na makowiec spoglądał tak łakomie, że pani Beczka ukroiła mu największy kawałek. Goliat również wydawał się zainteresowany, na co gospodyni aż

cmoknęła z uciechy. Pieseczek ceniący kołacz z makiem przebił wąsy i złodzieja.

Na degustacji upłynęły kolejne upojne chwile, ale w końcu trzeba się było zbierać. Choć Danka z Zosią jakby straciły zapach. Patrząc na panią Beczkę, która co rusz wstawiała od stołu: a to po śmietankę do lodowni (drewniana skrzynia w kącie okazała się lodówką!), a to do spiżarni po konfitury, poczuły nieoczekiwanie przejmujący żal. Ich własna rodzicielka odeszła z tego świata stanowczo zbyt wcześnie. Na żadne babcie, ciotki i inne troskliwe pierwiastki żeńskie także nie mogły liczyć, bo cała ich rodzina mieszkała w Stanach albo na drugim końcu Polski.

A jeśli widziały panią Adelę po raz ostatni?

Na pożegnanie wyściskały więc gospodynię tak serdecznie, że ze wzruszenia znowu uroniła kilka łez i, rozmyślając nad obiecany na obiad żurkiem, opuściły kamienicę.

– Kim był facet z flagą, bo podobno nie złodziejem? – Danka zażądała wyjaśnień już na podwórku.

– Taki czytający znaki to ja znowu nie jestem. – Mirek uśmiechnął się szelmowsko i wymienił z Zosią porozumiewawcze spojrzenie. – Można by się poradzić wróżki, ale włamanie do waszych gospodarzy od razu mnie zastanowiło.

– Wróżkom lepiej nie podpadać. – Danka pogroziła mu palcem i zapakowała teczkę do auta. – Pani Adela to krawcowa, pan Błażej pracuje na kopalni. Do biednych nie należą. Ktoś mógł pomyśleć, że jest co kraść.

– Tak. Ale nikt niczego nie ukradł – zaznaczył Mirek. – Mało tego. Ten rzekomy złodziej zakrył twarz. Nie wiem, kto to był, ale założę się, że Beczkowie go znają. Albo poznają w najbliższym czasie.

– Rzekomy? – podchwyciła Zosia. – To po co zakradał się nocą do cudzego domu?

– Może nie przyszedł kraść, ale mordować? – podsunęła usłudze Danka i zajęła miejsce obok kierowcy. – Czy możemy się teraz dla odmiany zająć winem i innymi zakupami? Bo skoro mamy samochód, proponowałabym wizytę w kilku ciekawych miejscach. I proszę mi tu coś opowiedzieć

o Nawiązce, ten chłopiec zaczyna mnie intrygować.

Jak się później okazało, przez kilka ciekawych miejsc Danką rozumiała nie tylko monopolowe, ale również sklepy z porcelaną i antykami. Tymczasem zgodnie z zaleceniem pani Adeli rozpoczęły zakupowe szaleństwo od Dębowej, gdzie znajdował się Dom Towarowy niejakiego Gajdzika. Właściciel sklepu na dźwięk nazwiska Beczka cały pokraśniał i, wychwalając krawcową i przyjaciółkę swojej małżonki, zapytał najpierw o jej zdrowie i dopiero wtedy przeszedł do sedna.

– Czy szanowni państwo mogą opisać poszukiwaną butelkę?
– Schludnie ubrany i uczesany pan pachniał wodą po goleniu i odznaczał się nienachalną uprzejmością.

Po pytaniach, które zadawał, można się było domyślić, że zna się nie tylko na winach, ale posiada wiedzę o każdym produkcie, jaki przewinął się przez jego sklep, i Zosia zobaczyła w nim symbol epoki.

Był jak zdjęcia nieobrabiane w Photoshopie i pranie we Frani bez systemu Happy Bubble. A może tacy analogowi ludzie powrócą? Serdeczni, kulturalni; z klasą. Skoro świat ma charakter sinusoidalny, może z czasem zaczną przybywać coraz więcej osób, dla których ważny jest drugi człowiek, a nie drugi, trzeci i dziesiąty nabyty przedmiot?

Kiedy pan Gajdzik ustalił najważniejsze szczegóły, wydał polecenie ekspedientowi i we dwójkę zaprezentowali kupującemu kilka butelek niemieckiego wina, z czego tylko dwie były oryginalnych kształtów.

– Ta! – krzyknęła Danką, obracając w dłoniach jedno z win. – Poznaję! Ale to jest białe. – Potrząsnęła z rozczarowaniem butelką.

I mimo że pan Gajdzik niemal przewrócił sklep do góry nogami i rwał włosy z głowy, nie znalazł czerwonego odpowiednika.

– Nie będziemy grymasić, bierzemy. – Mirek odliczył należność. – W centrum jest monopolowych i kolonialnych od groma i trochę. To będzie nasz egzemplarz awaryjny.

Już samo posiadanie planu awaryjnego nastrojało optymistycznie, nie mówiąc o tym, że przecież dostali wino

w pierwszym sklepie, do jakiego weszli. Do tego pogoda stawała się z chwili na chwilę coraz ładniejsza: wyrzało słońce, a powietrze poruszał żwawy wietrzyk, który czochrał przydrożne drzewa i niósł w stronę centrum rozmaite wiosenne dźwięki. W tym te najmilsze dla ucha: wesołe gruchania gołębi i koncert koników polnych.

Danka z Zosią podziwiała widok za oknem i tak bardzo cieszyły się dniem, że wołały zamilknąć, niż popsuć chwilę niepotrzebną paplaniną.

Choćby taka Chorzowska. W przyszłości najważniejsza trasa w mieście, wyglądała teraz jak dwie wąskie wstążki obszyte po bokach czerwonymi koralikami. To robotnicze familoki. Do tego jeszcze płoty, płotki, czasem szopy, pola, tuż przy nich imponujące wille, ogrody, a od czasu do czasu sznurek kolejki wąskotorowej. Od wzorów i deseni aż ciemniało w oczach.

Zosia pociągnęła nosem i wydobyła z torebki telefon. Nawet jeśli zdjęcia będą nieostre albo tracą się gdzieś pomiędzy peronem piątym a dwudziestym pierwszym wiekiem, nieistotne.

Właśnie takie Katowice zapamięta.

Skąpane w słońcu, kielkujące.

Po wjechaniu na ulicę Zamkową, czyli aleję Korfantego, Zosia nie mogła już jednak dłużej milczeć. Zwłaszcza kiedy przy Rynku, naprzeciwko dzisiejszego muzeum, zobaczyła... rzekę płynącą przez sam środek miasta! A obok jakąś budowę, deptak i ludzi kotłujących się wokół straganów.

To już nie był cichy Dąb.

I to już nie była leniwa niedziela.

W dzień targowy roilo się tu od ludzi i zwierząt, bo oprócz samochodów widziało się także konne dorożki, ulicami przemykały również bezpańskie psy. Dookoła panował harmider i atmosfera pospiesznej krzątanimy, jaka zwykle towarzyszy zakupom. W powietrzu, nie wiedzieć czemu, wyczuwało się zapach śledzi.

– O żeż... Co to jest?! – Zosia pokazała na wylot Piotra Skargi, a Danka zaśmiała się w głos i poprosiła Mirka, żeby zaparkował.

Zakupy zamierzała połączyć z małym zwiedzaniem. Duże zwiedzanie zafundowała sobie wczoraj po tym, jak wylądowała w kościele, ale udzielenie informacji turystyczno-krajoznawczych własnej siostrze uważała za swój obowiązek.

– Przecież pokazywałam ci niedawno stare fotografie. Po lewej masz budowę przyszłego banku, targowisko, a w głębi widzisz budynek Łaźni Miejskiej. – Wskazała na budowlę o koronkowo wykończonym dachu. – Ta kopuła powyżej to Wielka Synagoga. Podziwiał, bo spłonęła na początku drugiej wojny światowej. Szkoda, kawał solidnego zabytku. Dalej, proszę szanownej wycieczki, widzimy Halę Targową i słynne miejsce spacerów całego miasta. Bulwary Rawy.

Te bulwary zdziwiły Zosię najbardziej i nie mogła sobie darować, żeby ich nie obejrzeć z bliska. Rawa płynęła pośród szpaleru brzoź odkrytym korytem, i to jak szerokim! Zanim przecięła Korfantego, gwałtownie skręcała, a w dali, nad taflą, można było podziwiać kolorowe kominy huty przypominające świeczki na torcie urodzinowym. Z tym że od Rawy bynajmniej nie niósł się aromat waniliowy. Swojski smrodek wydał się Zosi o wiele lepszym określeniem i musiała stwierdzić, że pewne rzeczy jednak pozostają bez zmian.

Jej siostra uparła się natomiast, żeby zwiedzić Halę, i wśród kramów, gdzie co krok słyszało się nawoływania sprzedawców, dokonała wstrząsającego odkrycia.

– Nie wierzę! Życie na ziemi bez reklamówek i woreczków foliowych – stwierdziła przy kolejnym ze stoisk, gdzie poczerwieniała na twarzy kobieta owijała ser w zwykły kawałek gazety.

A kiedy okazało się, że mleko można kupić jedynie wtedy, gdy przyniesie się odpowiednie naczynie, Danką oznajmiła, że zostaje tu na zawsze. Odpuściła dopiero po wizycie na stoisku mięsnym; widok świeżutkiego mózdzku zrobił na niej upiorne wrażenie.

Po Hali i deptaku ponownie przyszła kolej na Rynek. Ten sam, który wydawał się tak niewielki w porównaniu ze współczesnym placem. Tajemnica szybko się wyjaśniła.

– Poczta. – Danką wskazała na zabudowania po

przeciwnej stronie. – Widzicie, dokąd biegnie? Jest dłuższa, bo ten narożny budynek po lewej stoi w miejscu przystanku tramwajowego. To dawny Hotel de Prusse. Dalej też macie kamienice. I tu, gdzie stanie Skarbek – pokazała na prawo, a potem się obróciła – i cały ciąg przy Korfantego. – Skinęła w kierunku domów, które zasłaniały teraz rzekę. – Tyle. Jakież pytania?

Pytań nie było, tym bardziej że wycieczka, a zwłaszcza jej męska część, zerkąła do wnętrza cukierni Liczbińskiego. Gdyby nie makowczyk, który nadal zalegał męskiej części w żołądku, kto wie... Natomiast Danka wpakowała się do Domu Towarowego E. Waclawa i wytaczała stamtąd wielki skórzany nesoser. Na usilne pytania, po co jej ten potwór, uśmiechała się wyniośle i póki co nie puszczała pary z ust.

Niebawem jednak wyszło szydło z worka.

Zaliczała po drodze każdy sklep z antykami i wychodziła z tych przybytków, coraz bardziej uginając się to pod ciężarem biustu, to bagażu, aż w końcu ten ostatni przejął Mirek. Zosia wolała nie zaglądać do środka, zawał w środku dnia i na środku ulicy nie był nikomu potrzebny. Skupiła się więc na wyszukiwaniu sklepów i hurtowni ze spirytualiami. I chociaż odwiedzili i delikatesy Borińskiego, i skład towarów kolonialnych Mizery, a nawet dotarli na Mariacką, gdzie monopolami handlował Przyszkowski i Zaprzysiężeni Dostawcy Win Mszalnych, wszędzie słyszeli to samo.

Ich czerwonego wina na stanie brak.

Białe owszem. Białe mogli kupować nawet skrzynkami.

Niestety, zarówno jakość, jak i ilość miały być dziś tak samo nieistotne.

Napis na egzemplarzu awaryjnym głosił, że wino pochodzi z bieżącego roku.

I nic nie mogło tego zmienić.

Zosia z Danką wysłuchały więc teorii Mirka, który uważał, że rok produkcji ma zasadnicze znaczenie. Znajdowali się właśnie

na peronie piątym i z przykrością stwierdzili, że jest pełen podróżnych. A pokonywanie stref czasowych przy pełnej widowni jakoś nie bardzo im się uśmiechało. Usiedli na ławeczce i spróbowali rozważyć sytuację.

– Czyli co? Dwa tysiące czternastego nie ma i długo nie będzie. Mamy tu zostać na zawsze? – Zosia wpatrywała się w butelkę, nie kryjąc, że targają nią sprzeczne uczucia.

Z jednej strony widok w lustrze wart był pozostania w dwudziestoleciu na wieki, z drugiej: jeśli te wieki zaczną mijać, znowu będzie wyglądać jak potwór. Finał ten sam, ale na życie nie zarobi już pisaniem referatów i prowadzeniem dyskusji ze studentami. Czeka ją egzystencja przestępczyni i społecznego wyrzutka. Kto wie, może nawet więzienie i gruźlica, bo jeśli trafi do celi, na pewno zachoruje. Nie łudźmy się, centralne ogrzewanie wciąż jeszcze było tu luksusem, zwłaszcza w sektorze państwowym.

– Spokojnie, bez pochopnych wniosków. Niech tylko przyjedzie pociąg. Peron będzie pusty i zobaczymy. Uda się, fajnie. Nie uda się, będziemy myśleć.

– A, właśnie. – Danka przypomniała sobie o zleceniu. – Skoro mowa o tunelach, sprawdzimy najpierw ten pocztowy, dobrze? Uroczony. Chwilunia... – Wyjęła telefon i zaczęła przeglądać zakładkę z tapetami. – Proszę, brzoza jak malowana – stwierdziła po chwili, prezentując Zosi fotografię jakiejś wiąchy oraz siedzącego na niej cud motyla. – Da dam! Miała być brzozowa witka i jest. Ruszajcie tyłki, idziemy zdejmować urok.

– Żartujesz? – Zosia jeszcze się łudziła, ale Mirek zarechotał i zrobił do Goliata na stronie wymowną minę.

Czego jak czego, ale takiego numeru, żeby ktoś przepędzał złe moce za pomocą fototapety, jeszcze nie widział.

Wejście do tunelu pocztowego namierzyli przy budynku gazowni, nieco dalej, ale tłum za plecami wcale nie zachęcał do siedzenia w jednym miejscu, poza tym podczas spaceru obejrzeni zabytkową wieżę ciśnień. Sam tunel zaczynał się łagodnym spadem i biegł pod peronami równolegle do podziemnego przejścia. Był zwykłym korytarzem: zimnym

i ciemnowym. Obecności żadnego licha jednak nie odnotowali, warczenia i dudnienia również. Mogły zastanawiać jedynie pozostawione przez kogoś białe ślady na posadzce, ale w powietrzu nie unosił się zapach siarki, a w ciemności nie żarzyły się na czerwono niczyje piekielne ślepie.

Zosia nacisnęła klamkę żelaznych drzwi, które wmurowano w ścianę, ale oczywiście nie ustąpiły.

– Ja mam coś mówić? – Danka popatrzyła niepewnie na siostrę, po czym zachichotała i ponownie odblokowała telefon. – Odczyniać, odtentegowywać... Pomóżcie mi.

– Możesz śpiewać, mnie tam obojętne. – Zosia pogłaskała uspokajająco Goliata, który podbiegł do drzwi i zaczął się niespokojnie kręcić, a Mirek, chcąc Dankę zdopingować, zanucił:

– Oj Dana, oj Dana... Na piecu śmietana...

– A w wąsik chcesz? Czy ktoś może uspokoić tego zajadłego wilczura? – syknęła zniecierpliwiona Danka, bo Goliat zaczął przejmująco skomleć. – Jaki pan, taki york. Genetycznie obaj popaprani.

– O, to będzie lepsze. – Mirek zniósł zniewagę, bo przypomniał sobie coś jeszcze. – Skaldowie. Pewnie nie znacie, ale pasuje idealnie. Oj Dana, Dana, Dana, Danaaa, nie ma szatana, a świat realny jest poznawalny. Oj, Danaaa... Życie jest formą istnienia białka, ale w kominie coś czasem załka. Czasem coś świśnie, czasem coś gwiźnie, coś się pokaże w samej bieliźnie...

W samej bieliźnie, ku rozczarowaniu Mirka, tym razem nic się nie pokazało, ale Goliat niespodziewanie wykonał w tył zwrot i czmychnął w stronę wyjścia na perony, a we wnętrzu dworzyszczka coś nagle stęknęło. Stęknęło i zamilkło, stawiając im tym samym wszystkie włosy do pionu. Raz – dźwięk nie był przyjemny, dwa – dobiegał gdzieś z głębi, jakby spod ziemi, przez co brzmiał naprawdę upiornie. Akustyk w Teatrze Wielkim miałby problem, żeby odtworzyć takie dziwo.

– Yyy... – Danka łypnęła oczami najpierw na siostrę, a potem na Mirka. – Powiedzcie, że to był pospieszny do Warszawy. I że to wył ktoś zatrzaśnięty w kibelku.

Zosia podeszła do zjawiska praktycznie.

– W jakim kibelku? Przecież na sto procent chodzi o tory. Coś się w nich przekręca, tworzą się jakieś mikrogwizdy, rezonanse... I tu wylatują – zakończyła, ale bez przekonania, bo od ścian znowu rozszedł się głuchy przejmujący brzdęk.

Jedyny mężczyzna w towarzystwie zachował do tej pory zimną krew, ale kiedy zobaczył, że Danka znowu odpala komórkę i macha przed sobą na oślep brzoźową tapetą, zwątpił. Już chciał zasugerować, że pomiędzy przejściem podziemnym a tunelem musi być jakieś połączenie, gdzie na przykład ktoś robi porządki, kiedy usłyszał za plecami surowy głos:

– Patrzcie, no! A państwo co? Poczte zamierzają odbierać? To jest miejsce służbowe, cywilom przejście wzbronione. Spacery wyczyniać proszę po peronach.

Znajomy z miotłą, jakżeby inaczej. Stróż stanął u szczytu tunelu i grzmiał na nich z góry, aż falowały mu siwe wąsiska.

Danka w pierwszej chwili nieco się przestraszyła, ale potem dostrzegła w staruszkę źródło informacji. Poprawiła loki i zaczęła się witać, krygować, aż w końcu spróbowała pociągnąć mężczyznę za język.

Z marnym skutkiem.

– A co tam pocztowi pletą nie mój interes – przerwał jej obcesowo i znowu potrząsnął narzędziem pracy. – Tu państwa być nie będzie. Zakazane jest. A jak się kto chce wyklócać, to po kolejowych biegnę i zara napiszą karę. Co ja mam na tym piątym, to skaranie boskie...

Poganiani marudzeniem stróża i szczekaniem Goliata z powrotem trafili na ławeczkę. Opuścili ją dopiero, kiedy tabun podróżnych zapakował się do składu i odjechał w siną dal, a stróż wyglancował peron do najmniejszego paproszka i również się wyniósł, gniewnie przy tym pomrukując.

Wino przezornie otworzyli już w sklepie, teraz wystarczyło jedynie wyciągnąć korek. Od razu zapachniało jabłkiem i koszoną trawą. A nawet odpoczynkiem i błogim lenistwem.

– Białe jest lżejsze. Cium cium cium. – Danka mlasnęła ze smakiem, po czym ostrożnie upiła łyk. – Do pleśniowego serka

byłoby idealne. Ale tamto... Miało inną moc. Może to te wiekowe procenty?

Zosia z Mirkiem musieli się z nią zgodzić. Czerwona wersja odznaczała się większą zawartością garbników, co sumiennie ustalano przez kilka kolejek z rzędu. Wreszcie, kiedy w głowach poczuli przyjemny szumek, Mirek dał upragniony sygnał:

– Do uporka! Czy raczej: do skrzyni.

I chociaż wszyscy mieli wrażenie, jakby doświadczyli *déjà vu*, nic się nie zdarzyło.

Padaly życzenia, do gardeł lało się wino, ale żadna z tych czynności nie przyniosła spodziewanego rezultatu.

Chociaż butelka tak.

Butelka została dostrzeżona, bo na peronie znowu pojawił się stróż, i było widać, że miarka się przebrała. Kiedy ruszył na nich z miotłą niczym ułan z podniesioną szablą, skoczyli na tory, i tym sposobem po kwadransie znowu znaleźli się w aucie.

– Co teraz robimy? – Danką, która miała lekko w czubie, opadła na fotel i spojrzała na Mirka pytająco. – Chcesz w tym stanie prowadzić?

– Wiem, że nie znają tu jeszcze alkomatów – czknął – ale zmysł powonienia posiada każdy policjant. Więc chyba wezmę taksówkę i pojedę na Zajęczka. Nawiazka mi truł, że idziemy dzisiaj do pracy. A wy?

– Do pracy? – Zosi przypomniały się słowa Oskara i pani Adeli.

Przecież one również miały załatwioną posadę. I to w urzędzie.

Nie musiały kraść!

– My też idziemy do pracy – oznajmiła pewnym głosem i skinęła na Dankę. – Koniec z wyłudzeniem i kradzieżami. Będziesz miała okazję zarobić na swoje utrzymanie.

– Po co do pracy? Przecież mamy... – Siostra już chciała dokończyć, ale zerknęła na teczkę i przezornie ugryzła się w język.

– Idziemy do pracy – powtórzyła Zosia. – Było miło, sympatycznie i w ogóle dziękujemy – zwróciła się do Mirka. – Ale rozumiem, że złoto Diebla aktualne?

Mirek skwapliwie pokiwał głową.

– Bardzo aktualne. Barrrdzo... Zobaczymy, kto pierwszy je znajdzie. Tydzień. Równy tydzień. I koniecznie trzeba zamówić u pana Gajdzika czerwone wino. Wino, kobiety i śpiew. Juuu! Oj Dana, oj Dana... Na piecu śmietana...

– Nie śpiewaj, bo nie mam drobnych. – Danka dotrzywała obietnicy i pociągnęła Mirka za wąsik. – Wariactwo, nie sądzicie? Peron, odczynianie zła, chruściana miotła. Że będę z tym – pokazała w zdumieniu na swoje popiersie – skakać po torach, nigdy bym nie przypuszczała. Ale kręgosłup pęka mi tak, jakbym przesunęła Spodek. Czyste wariactwo. Dorosli ludzie...

– Tu się nie mówi wariactwo, proszę łaskawej pani. – Mirek uniósł do góry palec. – Tu się mówi „szajba”. Odbiła nam szajba. Szajba na peronie piątym.

Na Jagiellońskiej wciąż miały nie najgorszy humor, który jeszcze się poprawił, kiedy jakiś młodzieniec wręczył im na ulicy ulotkę.

Hotel „Hospic”
Katowice
Jagiellońska 17 Tel. 19-82
W czwartek
Wielkie świniobicie
o godz. 10 rano ciepłe kiszki
oraz smażone wydaje się
także poza dom.
O łaskawe przybycie uprasza
Ernest Suchocki
gospodarz

– Może po kiszce? – Danka pomachała kartką i przyjrzała się mijanemu budynkowi. Górował nad resztą kamienic, a jego ściany zdobił mdły malunek podobny do muru pruskiego. –

Przecież to jest MOPS.

– To będzie MOPS – poprawiła ją Zosia. – Co masz w tym bydłęciu? – Wskazała na neseser, bo torba spokojnie ważyła tyle co tłusty świniak. – Tonę cegieł?

– Kulturę i sztukę, dziecko. Jeśli ten bagażyk przeniesie się z nami do współczesności, spokojnie mogę zostać sponsorem strategicznym Muzeum Śląskiego.

– A czy możesz nam zasponsorować dorożkę? Wiem, że do urzędu zostało kilka metrów, ale ja konam. Twoja siostra kona, miej litość – marudziła.

Danka nie okazała jednak żadnych ludzkich uczuć. Zaczęła Zosię poganiać i z trudem, bo z trudem, ale w końcu dotarły na miejsce. Tam od progu rzuciły się na kanapkę stojącą przy portierni. Całe spocone i zziębnięte.

– Panienki do kogo? – Po kilku minutach wyrósł przed nimi dorodny młodzian w urzędowym uniformie i chociaż starał się być grzeczny, nie potrafił ukryć zgorznienia. Kręcił nosem, jakby znalazł się w niemieckiej gorzelni, a przecież wypily tylko białe wino. I to po kieliszku na głowę.

– Miałyśmy się tu stawić do pracy. – Zosia trzymała fason, chociaż wszystko się w niej kołysało.

– O... tej godzinie? – Spojrzał z niedowierzaniem na zegar, który wskazywał południe.

– My na drugą zmianę – wymamrotała Danka, ale zaraz dowiedziała się, że urząd to nie fabryka i godziny pracy obowiązują od ósmej do szesnastej.

Po zawilej wymianie zdań doszło jednak do jako takiego porozumienia. W każdym razie młodzieniec pojął, że panienki nie ruszą się stąd, dopóki nie zostaną skierowane do odpowiedniego działu.

– Pierwszy dzień na posadzie i takie coś – mrucał pod nosem, wertując w zdenerwowaniu papiery.

– My też pierwszy. – Zosia starała się zatrzeć nieprzyjemne wrażenie. – A był pan na wczorajszym otwarciu?

– Gdzieżbym nie był. Ale przecie jeszcze wtedy roboty tu nie miałem, bo stary portier urzędował.

– Wczoraj pan nie miał, a dzisiaj pan ma? – zaciekawiła się

Danka. – To niezły fuks. U nas miesiącami się szuka. A zasiłek... Szkoda gadać.

– U was?

– Przyjechałyśmy z Warszawy – wtrąciła szybko Zosia.

– Aaa... No, fuks jest, nie powiem, ale nie dla starszego pana. Przepadł. Jak kamień w wodę. O, komisarze dzisiaj chodzą i przepytują. – Skinął w kierunku dwóch mężczyzn, którzy dziarskim krokiem przemierzali właśnie korytarz. – Podobno wyszedł do pracy i tyle go widzieli... Jak nazwisko?

– Nie wiem. – Danka poczuła, że hol wiruje jej przed oczami.

– Jak to panienka nie wie?

– A co ja z tym waszym portierem kozy pasalam? Nie znam człowieka, przecież mówię.

– Panienki nazwisko. – Młodzieniec otarł czoło i zaczął gryźć ołówki.

– Dieb... Haba. Obie Haby, jesteście siostrami.

– Znalazłem! – krzyknął nagle uradowany. – Zofia i Danuta? Pod Ch się schowało. Wszystko się zgadza. Panienki niech jadą na piąte piętro. Do muzeum.

– Muzeum?!

Obie jednocześnie wyraziły zdumienie i młodzieniec znowu się zakłopotał. Postanowił odpowiedzieć hurtem.

– Panienki pracują w Muzeum Śląskim, co to je tu montują na piątym. Winda za rogiem. Tylko delikatnie skakać, coby nie połamać pięknych nóżek.

Dankę uszczęśliwiłaby już sama praca w muzeum, jakimkolwiek, natomiast praca w jej muzeum, które zostało właśnie powołane do życia, wprawiła ją w stan ekstazy.

– Będę tworzyć moje własne muzeum, rozumiesz? Tu jeszcze pewnie nie ma eksponatów, nie ma niczego. Puste sale, katalogi, przecieranie szlaków...

– Czemu ten facet mówił o połamaniu nóżek? – zastanawiała się na głos Zosia, ale już w połowie korytarza usłyszała cichutkie terkotanie i nagle ją olśniło.

– Winda paciorkowa! Z tym – pokazała na teczkę Danki, a potem szarpnęła ucho nesaseru – i z tym? Może lepiej zostawić to bydlę na portierni?

– A w życiu! – Danka zaparła się, choć doskonale wiedziała, że do windy tego typu należy wskakiwać w biegu, bo otwarte kabiny krążą między piętrami niczym ciągle poruszająca się karuzela. – Jakie ślicznoty – zawołała z uznaniem na widok starannie wykończonych w drewnie „skrzyń”. – Dobra, na piąte nie będziemy przecież drałować na piechotę. Gotowa? Trzy-cztery!

Jakim sposobem udało im się znaleźć w jednej windzie z dwiema ciężkimi jak szlag torbami, Zosia nie umiała pojąć, ale na ostatnim piętrze zyskały kolejny dowód, że wszystko jest możliwe.

Pech chciał, że w pokoju z napisem: „Muzeum Śląskie” urzędowała... Edyta Pelc.

Ich nowa szefowa.

W momencie otrzeźwiały.

Jad.

Zosia stwierdziła, że Edyta musi być wyposażona w gruczoły jadowe. Tuż przy ustach, które teraz kurczowo zaciskała, dawały się zauważyć dwa wkłknięcia. Niby dołeczki, ale kto ją tam wie. Spotkaniem była nie mniej zdziwiona niż one same, ale w jej dużych oczach malował się najprawdziwszy wstręt.

– Czy to jakiś niewybredny żart? – zapytała lodowato, kiedy znalazły się we trójkę w schludnie urządzonej pokoju z prześliczną kanapką o wolutowych, wywiniętych na zewnątrz oparciach.

Mebelek był koloru miodowego i tak spodobał się łasej na zabytki Dance, że nie zważając na obecność kobiety, którą zaledwie wczoraj ochrzaniła za palenie tytoniu w miejscu publicznym, dopadła go i z głębi trzewi wyraziła swój podziw:

– O ja cię pierdykam! To oryginał? Mój kręgosłup – jęknęła, rzucając się na kanapkę, aż zazgrzytały pod nią sprężyny.

– Cóż za wyszukane słownictwo. Ale nie jestem zaskoczona tym brakiem ogłady. Panna Haba – Edyta spojrzała z obrzydzeniem na Dankę – i... panna Haba. Oczywiście. Obie

cywilne panny. Co niektórym nie przeszkadza zajmować cudzych mężów. – Ostatnim słowem wycelowała w Zosię i odtąd nie spuszczała z niej wzroku, a Zosia musiała zweryfikować swoje poglądy.

Nie, nie, żmija i jad nie.

Żmija to za mały kaliber gadziny.

Bazyliszek.

Baba przypominała Bazyliszka, czyli stworzenie wyklute z jaja koguta, które przez dziewięć lat wysiadują ropuchy. Tyle mitologia. Rzeczywistość pokazywała, że całkiem ładna kobieta zmienia się w monstrum, jeśli na jej twarzy maluje się płynąca z wewnątrz brzydota. A wykrzywiona twarz pani Edyty wyglądała tak inaczej niż na raucie, kiedy to robiła słodkie minki do Mędrzyckiego, że można było mieć kłopoty z identyfikacją. Zosia doskonale rozumiała, co czuje kobieta zdradzana, i bez protestu przyjęłaby ten brak sympatii, ale nie w sytuacji, kiedy puszczana w trąbę żona okazuje się wcale nie lepsza od małżonka.

– Teraz stało się dla mnie aż nadto oczywiste, dlaczego Oskar obstawał przy waszych kandydaturach. – Pani Edyta wydeła z pogardą usta i Zosia już chciała powiedzieć jej do słuchu, bo jednak baba wisiała na Mędrzyckim jak na rozwleczonym hamaku, ale do pokoju zapukała sekretarka i cichutkim głosikiem zapowiedziała policję.

– Policja? Do mnie? Zajmuję się rozdziałem obowiązków – fuknęła rozeźlona Edyta i odprawiła pracownicę, która już musiała wiedzieć, z kim ma do czynienia, bo niemal rozplaszczyła się na parkiecie i doczołgała w uniżeniu do drzwi.

– Panny będą pracowały w Dziale Pozyskiwania Zbiorów. – Podejrzenie słodki uśmiezek błakający się na ustach ich nowej przełożonej zdradzał, że czekało je właśnie zamiatanie ulic szczoteczką do zębów czy coś równie fascynującego.

Pukanie, tym razem dużo delikatniejsze, zabrzmiało, jakby o drzwi obijał się motyl.

– Powiedziałam, jestem zajęta!

– Ale panowie nie mogą dłużej czekać...

Pani Edyta chrząknęła. Pewność siebie chyba ją opuszczała,

co dla Danki było doskonałą okazją, żeby na dobre rozwalić się na kanapce. Niestety, została z niej brutalnie ściągnięta. Za ucho od neseseru.

– Panna rozkłada się gdzie indziej. Fora ze dwora! Piwnicę macie dzisiaj do inwentaryzowania.

Ich nowa szefowa zaczynała chyba stosować mobbing, ale Danka akurat lubiła piwnice, strychy i inne ciekawe miejsca, w których zawsze coś wygrzebała: a to stary kapelusze, a to książki z ubiegłego stulecia. Co prawda w piwnicy nowo oddanego gmachu trudno o epokowe odkrycia, ale każde pomieszczenie, w którym nie musiała oglądać pani Edyty z bliska, zamieniało się nagle w Bursztynową Komnatę. Jednocześnie podekscytowanie pracą w muzeum zdecydowanie w niej zbladło.

– Piwniczka? Pysznie. Wyskakuj z kluczyków, kochana. Znaczą, psze pani...

Pani Edyty o mało nie trafiła na miejscu apopleksja, bo z podobnym brakiem szacunku do przeciwieństwa jej szacownej osoby jeszcze się nie spotkała. Gwałtownie wstała z miejsca i chociaż wydawało się to niemożliwe, zacisnęła usta jeszcze bardziej. Ich pierwsze zawodowe spotkanie zapewne okazałoby się jednocześnie ostatnim, gdyby nie mocno już zniecierpliwieni policjanci.

Jeden z nich wkroczył do pokoju i ukłoniwszy się, od progu stanowczo oświadczył:

– Proszę nam wybaczyć, droga pani, to gwałtowne wtargnięcie, ale służba nie drużba i w zapytaniach nie pomijamy nikogo. Czy znała pani poprzedniego portiera? Mamy powody przypuszczać, że doszło do nieszczęścia.

Sekretarką była młodziutka i sympatyczna blondyneczka, która na dźwięk otwieranych drzwi zaczęła się trząść. Spodziewała się chyba zobaczyć swoją przełożoną całą nabrzmiałą od pretensji, bo na widok Zosi i Danki nieśmiało wyrzała zza biurka. Biedulka. Od ręki udzieliły jej więc duchowego wsparcia, chociaż sugestia, że należałoby założyć związki zawodowe, zbyt do niej nie dotarła. Dziewczyna zgodziła się za to przechować bagaże i oprowadziła nowe

pracownice po piętrze, a nawet zjechała z nimi do piwnicy.

– Trzymamy tu rzeczy, które zostały po budowie – wyjaśniła i wręczyła podekscytowanej Dance pęk kluczy. Nie bardzo rozumiała, jakim cudem puste muzealne sale i zapełniona deskami piwnica mogą kogoś uszczęśliwić, ale zdążyła już nabrać sympatii do tych oryginalnych panienek. – Tylko uważajcie. Szefowa zaglądała dzisiaj na dół dwa razy – przestrzegła je na pożegnanie.

– Piwniczka. – Zosia westchnęła i popatrzyła sceptycznie w korytarz, który zdawał się rozgałęziać i ciągnąć w nieskończoność. Było cicho. Nieprzyjemnie cicho. Tylko ich głosy obijały się o ściany z betonu, powodując tym samym przykry dla ucha pogłos. Aż trudno było uwierzyć, że gdzieś w górze istnieli żywi ludzie. – Od piwniczki do celi niedaleko. Tym bardziej że jesteśmy dwa piętra pod ziemią. A już się cieszyłam, że mam przyzwoitą pracę. Co znaczy Dział Pozyskiwania Zbiorów?

– Grzebałaś kiedyś w śmietniku? – zapytała siostrzyczka z irytującą uciechą, jakby nie znajdowała się w podziemnych lochach, ale na plaży w Saint-Tropez. W każdym razie zdolnością adaptacji do trudnych warunków Danką Haba przerastała nawet bakterie beztlenowe.

Zosia wzruszyła ramionami.

– Owszem. Kiedyś, jak ta głupia, szukałam dowodów niewierności Oskara. I znalazłam. W koszu. Rachunek za hotel. Ale najpierw musiałam przerzucić warstwę makreli w pomidorach.

– I jak ci się podobało?

– A jak sądzisz?

– W takim razie mam złą wiadomość. Praca w Dziale Pozyskiwania Zbiorów to między innymi eksploracja śmietników. Skądś te antyki trzeba brać. Nie żartuję. Wiesz, ile zabytkowych przedmiotów ludzie tak po prostu wyrzucają?

– Ale żeby znaleźć szafę gdańską nie muszę chyba grzebać w makreli czy innej padlinie?

– Tak źle nie jest. Można też dawać ogłoszenia do prasy, pisać apele do mieszkańców, chodzić po domach, wysyłać pisma do

innych placówek, zebrać o dotacje...

– Dobra, wystarczy. I to naprawdę działa?

– A myślisz, że jak powstają muzea? Zjawia się dobry wujek z Emiratów Arabskich i daje ci pięć Degasów?

– Znowu te ślady. – Zosia słuchała teraz siostry piąte przez dziesiąte, bo kiedy zapaliły światło, dostrzegła na posadzce łańcuszek z czyichś odbitych butów.

I kolejny raz był to ten sam odcień wapiennej bieli.

– Potworzyca miała tym umazane czółenka. – Danka zawarczała na samo wspomnienie i od razu stało się oczywiste, o kim mówi. – Widziałam, kiedy mi szarpała neseserek.

– Ciekawe... – wymruczała Zosia i zaczęła ostrożnie podążać za śladami. – Zostawmy piwnicę, tam nic nie ma. Zbadajmy korytarz. Chyba zbadajmy – dodała niepewnie. – Czy ja się boję, czy tylko mi się wydaje?

– Trochę ci nieswojo. Ale mogę odpalić brzoźową tapetę.

– Kuszące, ale chyba podziękuję. Lepiej puść jakąś optymistyczną muzyczkę – zdecydowała Zosia, bo komórka siostry wyposażona w dodatkową kartę dawała dużo możliwości.

– Pójdę boso – rozległo się po chwili i rzeczywiście korytarz zaczął im się wydawać odrobinę bardziej przyjazny.

Ale tylko odrobinę.

– Wiesz, że tu gdzieś są wyjścia ewakuacyjne? – zagadła Danka. – Jednym prawie szłam na czworaka podczas Święta Niepodległości. Co roku udostępniają.

– Tu, czyli gdzie?

– Mapki sobie jednak w trakcie nie rysowałam... Ale tam już potem nie było posadzki, tylko zwykła ziemia. Jak zobaczymy ziemię, znaczy, że idziemy korytarzem, który prowadzi na zewnątrz. – Tu siostra zaczęła snuć opowieść, jak podczas budowy pomnika Korfanteo odkryto pod placem niewiadomego pochodzenia tunel. Podobno biegł aż do placu Miarki. I podobno łącznie są aż cztery takie przejścia.

Stosunkowo krótka historia obfitowała jednak w tyle sugestywnych określeń (zwały ziemi, obsuwający się strop), że Zosi pomimo optymistycznego podkładu muzycznego zrobiło

się dziwnie duszno. Tym bardziej że maszerowały już dobrych pięć minut. Tempo miały raczej powolne, więc nie pokonały zbyt dużego dystansu, ale kiedy weszły w kolejny korytarz opatrzony bardzo grubymi drzwiami, Zosia uruchomiła wyobraźnię i zobaczyła, że drzwi się zatrząskują.

Że tunel kończy się ścianą, że zaczyna im brakować powietrza, że...

– Ja nie chcę widzieć żadnej ziemi – zastrzegła i usłyszała w swoim głosie nutę paniki. Ślady na tym odcinku stały się mniej wyraźne, zresztą podobnie jak światło. Było słabe. Bardzo słabe. Za to zapach stęchlizny stawał się doskonale wyczuwalny. – Ziemia tak, ale na powierzchni. I tylko w doniczkach. Chyba zaczynam się dusić – stwierdziła na zakończenie, bo coraz bardziej zaczynało do niej docierać, że grubość ścian plus ilość wiszących nad nimi kondygnacji równa się krwawa miazga.

– Hu huuu! – Jej wrażliwa siostra zaczynała się bawić cudzym kosztem. Standard. – E tam, dusisz się. Nie łam wafla. Jedyna taka okazja na tysiąc i mamy zrezygnować? A w życiu!

Zosia przystanęła, a serce zaczęło jej nagle walić jak szalone.

– Zawracam – oświadczyła i, przytrzymując się o wystające ze ścian cegły, postąpiła krok do tyłu.

Wtedy to usłyszały.

TEN DŹWIĘK.

Głęboki i rwący pończochy.

Okazało się, że dobiegnięcie do schodów i znalezienie się na parterze potrafi zająć kobiecie bez menstruacji niewiele ponad minutę.

Zbyj uważał, że czarny i robotniczy Śląsk stoi przed wielką szansą.

Szanował wuja i bardzo go kochał, ale w skrytości ducha nie podzielał jego poglądów. Zacierzwienia ciotki Adeli również. Śląsk czy Polska, Korfanty czy Piłsudski, te kwestie zupełnie go nie interesowały. Uważał, że na każdym sporze korzysta ktoś

trzeci. A jego głowę zajmowały idee o wiele większe. Gdyby je wcielić w życie, gdyby zarazić ludzi myśleniem społecznym, gdyby faktycznie zrównać stany, a nie tylko ogłaszać prawa, wtedy świat wyglądałby inaczej. Zupełnie inaczej.

Dlatego postanowił trzymać z komunistami.

I oddać się sprawie.

Bo jeśli już coś robić, to całym sobą.

Bez kompromisów, bez uginania karku. Tylko wtedy wiatr przemian zedrze niedowiarkom łuski z oczu – kiedy zobaczą, że poświęcenie jednostki przynosi plony. Plony, które się pomnożą, jeśli to samo uczynią inni. I dopiero wtedy runą na ten ziemski padół niepowstrzymaną falą. Staną we wspólnym szeregu. Zjednoczeni i bezwzględni. Dopiero wtedy możnowładni odejdą i nie będzie już ciemienia. Nie będzie wyzysku. Nastanie długo oczekiwana sprawiedliwość.

Na przykład złoto.

O ileż bardziej wymowna byłaby jego ofiara, gdyby rzucił towarzyszom sztaby, wisiory i brosze Diebla...

Snując w duchu polityczne marzenia, Zbyj początkowo nie zwracał uwagi na otoczenie. Wykonywał swoją pracę. Kuł, rozwał, napinał mięśnie. Zaalarmował go dopiero dźwięk podobny do miauczenia. I najpierw pomyślał, że do podziemi zaplątał się jakiś kot. Ale dźwięk cichł, to znowu przybierał na sile, a w końcu poskładał się w płacziwą melodię.

– ...OSOOO...

Czy to możliwe, żeby słyszał gramofon?

Tutaj?!

Odruchowo przywarł do wnęki i zacisnął dłonie na trzonie gigantycznego kilofa. Czekał. Ale czy przeraziła go zniekształcona echem melodyjka, czy zimna kropla, która oderwała się od stropu i pacnęła go w szyję, nie wiadomo. Dość, że kilof wypadł Zbyjowi z rąk i najpierw zgruchotał mu palucha, a potem wylądował z brzękiem w taczce.

Zbyj zawył.

Bardzo głośno i bardzo przejmująco.

Szybko jednak zdusił krzyk i znowu się przyczaił. Kiedy zdrętwiałe nogi całkiem odmówiły mu posłuszeństwa, w kiszce

korytarza usłyszał kolejne kroki.

Nieco inne, ale tak samo drobne i lekkie.

Kobiece.

Danka wyznawała zasadę, że przestrzeganie zasad jest do bani. Zupełnie nie rozumiała ludzi, którzy uważali, że jeśli już się coś zaczęło, trzeba to koniecznie dokończyć. Choćby się waliło i paliło.

Pożar? Proszę bardzo, była gotowa stanąć w szeregu z gaśnicą. Ale jeśli na przykład trafiła w kinie na totalną szmirę, zbyt szanowała swój czas, żeby dla głupiej zasady skończyć w fotelu przez najbliższe półtorej godziny, tylko dlatego, że zapłaciła za seans. Wychodziła i tyle. Oczywiście nie popadajmy w skrajność, są sprawy o wiele ważniejsze niż bilet na Ciacho i rzeczywiście należy je doprowadzić do końca. Ale jeśli Danka czuła, tak jak teraz, że coś jej się w środku zakleszcza, że każda komórka jej organizmu zgłasza zdecydowany protest, wtedy nie bawiła się w sztuczne przedłużanie agonii.

Odpuszczała.

– Poogłądałam sobie początki mojego muzeum i tego... Nawet się wzruszyłam. – Otarła nieistniejącą łezkę. – Ale jeśli ta potworna Edyta zamierza nami pomiatać, a zamierza, ja mówię adieu. Wołami czy dorożką, obojętnie. Nie zaciągniesz mnie tam. – Pokazała na sufit i Zosia chyba zrozumiała, że uczciwa praca, a przynajmniej: ta konkretna praca, właśnie przepadła, bo bez słowa skargi wróciła z siostrą do sekretariatu, skąd zabrały rzeczy.

Posłały blondyneczce pożegnalnego buziaka i właśnie organizowały na korytarzu coś na kształt narady wojennej, kiedy Danka zadzwoniła triumfująco kluczami do piwnicy.

– A to sobie zostawiłam na pamiątkę. Didu diduuu...

Zosia oczywiście zaczęła swoje umoralniające występy, ale zza rogu w roli zbawiciela wyjrzał Oskarek. Ulizany jak nowo narodzony żrebak. Wręcz nie można się było oprzeć wrażeniu, że na jego czarnym garniturze zamiast białych prążków widać

łaty.

– Edyta u siebie? – Zerknął pytająco na drzwi, tuż po tym, kiedy się przywitał. Z Zosią soczyście, zostawiając jej na policzku próbki płynów ustrojowych, z Danką chłodno i oficjalnie. Skinieniem głowy.

– Owszem. Ale przesłuchuje ją policja – szybko wtrąciła, bo Zosia, jak zwykle uczciwa, już chciała się tłumaczyć, że rezygnują z pracy. – Jest podejrzana o zamordowanie portiera czy coś w ten deseń.

– Edyta?! Podejrzana o morderstwo? – Nie wierzył. – Co za wierutne brednie.

– Prawda? Przecież to taka sympatyczna osoba...

– Zapewne doszło do jakiejś piramidalnej pomyłki, sprawa zaraz się naświekli. – Nagle zaczął przebierać w pośpiechu pięcinami.

Uklonił się jeszcze raz, ale na odchodnym ujął Zosię za ramię i szepnął tak konfidencjonalnie, że gdyby sekretarka stała pod drzwiami, nie miałyby problemów z ustaleniem żadnego szczegółu:

– W czwartek u mnie. Dwudziesta pierwsza. Nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Że niby o co chodziło z tym morderstwem? Ona jest faktycznie o coś podejrzana? – Zosia nie wyglądała na przejętą schadzka, bo nie opatrzyła incydentu nawet najmniejszym komentarzem.

Zdaje się, że żrebaki w stajni chyba naprawdę przestały ją obchodzić. Za to na dworcu wypytywała Mędrzyckiego, czy ich zakład nadal obowiązuje. Czytaj: czy będą się regularnie spotykać. I o to chodziło! Danka cichutko zarechotała, bo cała ta „rywalizacja” przypominała raczej porządną kooperację. A kto powiedział, że kooperacja nie przerodzi się w perspektywie czasu jeszcze w coś innego? Równie porządno. Ale swoimi przemyśleniami nie zamierzała się z nikim dzielić.

– Chciałam go trochę nastraszyć. Że twój aktualny były, to rozumiem, ale że ty nie łapiesz żartów, to jest dla mnie tragedia rodzinna. – Udając zniesmaczenie, szarpnęła torbę i powlokła

Zosię do windy. – Ale to chyba z wrażenia. Jak by nie patrzeć, w czwartek masz pierwszą randkę w tej epoce.

– Phi! To się w ogóle nie liczy.

– A z Mędrzyckim, który przyleciał do ciebie dzisiaj skoro świt? Liczy się czy też nie bardzo?

– Z Mędrzyckim to była spontaniczna chęć pomocy bieliźniej... Bliźniej. No, na golasa mnie widział przecież – wygadała się niechcący Zosia i Danka z wypiekami na twarzy wysłuchała pikantnej opowieści.

– Czyli pierwsze lody... Pardon, wstęp, macie za sobą.

– Niby tak. Ale on chyba nie jest zainteresowany.

– Tak? A niby jaki jest?

– Skąd mam wiedzieć? Nie umiem odczytywać sygnałów. Ale kiedy się słyszy „mamuśka”, to do kompletu naprawdę brakuje tylko laktatora.

Danka objęła siostrę spojrzeniem pełnym politowania. Jej egzotyczna uroda została dziś dostrzeżona na każdym stoisku, w każdym sklepie i na każdej ulicy, owszem, ale na Zosię również łypano pożądlivym wzrokiem. W końcu niedaleko pada jabłko od jabłoni. I czy był ktoś, kto by się na takie jabłuszko nie skusił? Wolne żarty. Zupełnie nie rozumiała taplania się w kompleksach. Szkodziły na cerę.

– Mowa ciała, dziecino – zagrzmiała. – Ciało nigdy nie kłamie. Jak się ocierasz o Mireczka lewym kolaniem, to nadstawia drugie?

– Jeszcze się o niego nie ocierałam – obruszyła się na podobną ewentualność Zosia, a Danka westchnęła.

Jej naiwna siostra wierzyła, że każdy facet posiada na wyposażeniu zbroję i białego konika. A jedyną godną księżniczki inicjatywą jest zaplatanie warkoczy i dyndanie nimi za oknem. Danka natomiast uważała, że konik, owszem, mężczyzna powinien mieć wypasionego Karino, ale czasem trzeba dać rycerzowi do zrozumienia, pod którą wieżą może liczyć na parking.

Nie żeby się płaszczyć i przekonywać. Nie chce, patataj. Będą inni, w końcu stan rycerski jest liczny.

Ale spróbować warto, czemu nie.

– To na co czekasz? Z tym wyglądem masz w końcu szansę korzystać z życia i nie musisz być specem od oświetlenia. Jak światło pada z tyłu, to czy mnie wyszczupła, a jak z boku, czy widać cellulit? – naśladowała z troską głos Zosi i jej pozy przed lustrem. – Mówię ci, pełne słońce i zero zastanowień. Bez żadnych filtrów!

– Jak to: bez? A gdyby tak... Nie wiem... Prezerwatywy, zdaje się, są już przecież w użyciu. I chyba nie robią ich z baranich jelit. Ale gdyby tak ciąża? Myślisz, że brzuszek przeniosłoby ze mną?

– To miała być przenośnia, kobieto!

– Dlatego pytam, czyby przeniosło, skoro przenośnia. Zresztą, o czym my dyskutujemy? – Zosia nagle się zezłościła, ale po głębokiej zmarszczce na czole można było wnioskować, że ziarno zostało zasiane.

Tak, tak.

Porządna kopula... to znaczy kooperacja.

– Bo taki biust – zaczęła z innej beczki Danką. Tudzież z dwóch beczek. – Plecy mnie bołą straszliwie. Jakbym cały dzień zapylała przy wyrębie lasu. I nie wiem, jak kobiety radzą sobie z takim obciążeniem na co dzień. Zamiast ramiączek w sprzedaży powinny być jakieś stalowe liny, jak do budowy mostów, bo ciągle się boję, że ta bawełna zaraz puści. Ale ja nie o tym chciałam. Bo taki biust...

– Powtarzasz się.

– Nie pyskuj, kiedy mądrzejsi dzielą się doświadczeniem... Skoro już ten biust mam, będę się nim cieszyć na całego – oznajmiła, ale Zosia chyba nie zrozumiała. – I bynajmniej nie chodzi mi o mammografię – dodała prowokująco.

– Z kim?! Z kim się będziesz cieszyć?

Tego jeszcze Danką nie wiedziała.

Wiedziała natomiast jedno.

Takie piersi już się w jej biografii nie powtórzą.

W odróżnieniu od Zosi posiadała życie seksualne i ten fakt sam w sobie był niezłą wiadomością. Tylko że swoich występów w sypialni nie opisałyby raczej jako ekscytujących. Bo gdzie frajda z bycia seksowną i kuszącą, skoro człowiek podskakuje,

a z nim tylko grzywka?

Tak, Danka zamierzała wiele nadrobić.

I to z nawiązką.

Torby naprawdę zaczęły ważyć tonę.

Albo dwie.

A ponieważ Jagiellońską przejeżdżała właśnie taksówka, i to pusta, Zosia z Danką przywołały ją energicznym machaniem i kazały się wieźć na Zajączka. I w zasadzie środek transportu uratował im skórę. Bo gdyby poszły tam pieszo, jak nic natknęłyby się na... byłą teściową Zosi, która dokazywała w ten piękny dzień w ogrodzie.

Ulica generała Zajączka znajdowała się w południowej części miasta, niedaleko wznoszonej właśnie katedry. Patrząc na osiedle małych neobarokowych domków, które ktoś rozsypał wśród zieleni, można je było skojarzyć z Pagórką i bajkowym Bag End z powieści Tolkiena: uliczki biegły to w górę, to w dół. Kamienice wyglądały niemal tak samo, ale różniły je szczyty i wykończenia dachów. Przed każdą z nich rozkwitał też ogródek, a tam już pchały się pod wiosenne słońce główki przyłaszczek, tulipanów czy pstrokatych bratków. Do wyboru, do koloru.

I właśnie na grządce pod jednym z domków miotała się ubrana w fartuch baba. Jej nastroszenie i wściekłość, z jaką okładała ziemię motyką, sprawiały, że nikt nie zaliczyłby jej do dobrotliwej rasy hobbitów, choć wystające spod spódnicy wielkie stopy mogły coś takiego sugerować.

Babę przydzielono by raczej do trolli.

Złośliwych i niezbyt rozgarniętych stworzeń, które na skutek działania promieni słonecznych zamieniają się w kamień.

– O żeż! – Zosia na ten obrazek osunęła się na siedzeniu, a kierowca taksówki wyhamował. – Moja teściowa!

– Gazu! – rzuciła komendę Danką.

– Stać! – krzyknęła dla odmiany Zosia. – Proszę się zatrzymać, ale przed tamtym budynkiem. – Wskazała podjazd

przy sąsiedniej willi. – Dlaczego demony przyszłości tak mnie prześladowają? Oskar, Edyta, teraz ukochana mamusia...

– Jeśliby wierzyć w reinkarnację, wychodziłoby na to, że coś przeszkrobałaś. I musisz odpokutować. Ale w nagrodę dostałaś kasację zmarszczek i darmowe ujędrnianie tyłka, więc nie narzekaj.

– Pokutę miałam już za życia. – Zosia spojrzała ponuro na walczącą z grządką ogrodniczkę i Danka musiała przyznać siostrze rację.

W rodzinnym domu Oskara pojawiła się tylko raz. Był to proszony obiadek zapoznawczy, tuż przed ślubem Zosi. I zaledwie jedno spotkanie wystarczyło, żeby Danka postanowiła unikać pani Pelc do końca swych dni. Na dzień dobry została skrytykowana za wygląd, mama Oskara poczuła się również upoważniona, żeby nowo poznanej dziewczynie wybierać szkołę. A kiedy Danka nie mogła dokończyć drugiego dania, usłyszała tyradę na temat niewdzięczności i głodu w Polsce podczas drugiej wojny światowej. Baba była alfą i omegą, a nawet betą i gamma. Całym greckim alfabetem. I nigdy się nie myliła.

– Może ona cię tu nie zna? – próbowała pocieszać Zosię, ale szło opornie. – Tak jak Edyta. Tu się miączają koligacje i tak dalej. Nie jesteś już przecież żoną Oskarka. Jak chcesz, mogę sprawdzić – dodała zachęcająco.

– Jak sprawdzić?!

– Normalnie. Idę. Jeśli zna mnie, zna też ciebie. Proste. Bardzo się panu spieszy? – Najpierw ustaliła z kierowcą opłatę za postój, a potem wygramoliła się z auta i ruszyła w stronę ogrodu. Bynajmniej nie w radosnych podskokach, ale jeśli stawką było złoto, mogła negocjować choćby z diabłem.

Teściowa ze swoimi świdrującymi oczkami i ulizanym na czole brunatnym lokiem aż tak bardzo nie odbiegała urodą od diabła, ale Danka przynajmniej wiedziała, z kim ma do czynienia.

I tę wiedzę postanowiła wykorzystać.

– Dzień dobry – przywitała się uprzejmie i niemal dygnęła jak pensjonarka. Baba musiała czuć, że bije się przed nią

pokłony. Osobę pewną siebie zawsze traktowała jak przeciwnika. – Taka ładna pogoda, a pani pracuje w ogrodzie? Nie szkoda dnia?

– A co, po nocach mam chwasty rwać?

Faktycznie. Danka musiała przyznać, że głupio zaczęła. O ogrodnictwie wiedziała tyle, ile wyczytała z ulotki OBI, ale przecież to lepsze niż nic. Najważniejsze jednak, że teściowa patrzyła na nią jak na zupełnie obcą osobę.

– Pewnie taka praca jest męcząca?

– Nie. Ja tak dla relaksu motyką macham – burknęła kobieta, lustrując w ułamku sekundy każdy szczegół stroju dziewczyny, która zatrzymała się po drugiej stronie parkanu. – A panna w jakiej sprawie?

– W żadnej, ja tylko przechodziłam. I widzę, że wkłada pani dużo trudu w pielenie, a przecież na chwasty jest o wiele prostszy sposób – rzuciła niewinnie, jednocześnie gorączkowo zastanawiając się, czym w dzisiejszych czasach można zastąpić folię ogrodniczą.

– Że niby jak prostszy? – rzuciła nieufnie baba i otarła z czoła pot, ale widać było, że zaczyna się łamać.

– Wypielić trzeba, wiadomo. Ale można zadbać, żeby chwasty już się nie pojawiły.

– Tak? To niech gada jak, skoro taka mądra. Ziarna od plew zawsze dzielone były. I plewy zawsze będą. Każdy głupi to wie.

– E tam. Wystarczy położyć na ziemię coś, co będzie ciasno przylegało. Tylko trzeba wyciąć dziury na rośliny.

– Jakie coś?!

Danka wypuściła powietrze.

– Jakiś nieprzepuszczalny materiał. Na całą grządkę.

– Starymi szmatami mam ogród zesześcić?! – Baba odstawiła narzędzie i zbliżyła się do ogrodzenia. – Co za głupoty panna wygaduje?

– Ale tego materiału nie będzie widać, bo przysypie go pani kamyczkami. I będzie ładnie. A potem zero roboty z chwastami. Serio. I wszyscy sąsiedzi zrobią to samo, zobaczy pani.

Perspektywa bycia ogrodniczą wyrocznią osiedla musiała być chyba nęcąca – teściowa wysiliła szare komórki i zaczęła

rozważać usłyszane słowa.

Przecież jeśli położyłaby na ziemi coś, co nie przepuściłoby nawet wody, jakim cudem wyrosłyby tam rośliny? Choćby ten brezent, który zalega w piwnicy. Gdyby go pociąć na mniejsze fragmenty...

– No, pomyśleć niby można – zgodziła się niechętnie. – Ale że taka młoda i na ziemi się zna?

– Na ziemi? Nie, na ziemi się nie znam – zapewniła obłudnie Danką i postanowiła uderzyć w coś, co było pasją pani Pelc. – O wiele bardziej ciekawi mnie gotowanie.

– Nie może być!

– Ostatnio na przykład wymyśliłam przepis na pasztet z fasoli – rzuciła przynętę, ale znowu chybiła, bo rodzicielka Oskarka była przecież wściekle mięsożerna. Wręcz nie wyobrażała sobie obiadu z warzywem w roli głównej, a dzień bez mięsa był dla niej dniem straconym.

Potrafiła przyrządzić z niego tyle potraw, że Danką zawsze zastanawiała się, dlaczego kobieta nie przypomina rozmiarem słońca. Coś takiego jak dieta rozdzielna w ogóle nie miało do niej dostępu. Mięsko pochłaniała tylko z ziemniakami, a mimo tego była chuda jak szczapa.

– Fasola? – Teściowa lekceważąco wyduła poszatkowane zmarszczkami usta. – Ja robię pasztecik z wołowinki. Ale lepiej pomieszać z wieprzem – dodała z wyższością, a Danką zapiszczała w duchu z uciechy.

Wysłuchiwała jednak kulinarną tyradę z miną nowicjuszek, co okazało się słuszną taktyką, bo kobieta się rozgadała i z jej opowieści wynikało, że wcale nie jest matką Oskara, ale tutejszą gospodynią. Ten fakt wcale Danki nie zdziwił, zaczynała się przyzwyczajać, że przenosiny w czasie robią dziury w układach rodzinnych.

– Ja tak na panienkę naskoczyłam, bo tu się kręcą różne podejrzane indywidua. – Gospodyni zmieniła temat i rozejrzała się po ulicy, zatrzymując dłużej wzrok na taksówce.

– Poważnie? Ale to przecież spokojna okolica.

– Okolice może i spokojna, ale naród się zrobił nerwowy. Chodzą, w okna zagląдают. Ale moja pani zaraz się spostrzegła.

I mówi, żeby mieć baczenie.

Danka posłuchała jeszcze chwilę tych wynurzeń, wyraziła współczucie i grzecznie zakończyła rozmowę.

Już wiedziała, jak sobie z babą poradzi.

– Ona tu nie jest twoją teściową – uspokoiła Zosię zaraz po tym, jak wróciła do auta, oczywiście okrężną drogą.

Taksówka ruszyła w kierunku Dębu, a Danka przyciszonym głosem zdała siostrze relację z rozmowy. Wysłuchawszy opowieści, Zosia odetchnęła z ulgą. Choć nie przestawała się martwić.

– Może i nie jest moją teściową, ale charakter jej się chyba nie zmienił?

– Jeśli już, to na gorsze – oceniła Danka. – Ale wiem, co z nią zrobimy.

– A musimy coś z nią robić?

– A jak chcesz się dostać do tego domu?

– Nie zamierzam się dostawać. – Zosia spojrzała wyniośle. – Złoto, jeśli w ogóle jest jakieś złoto, należy do nas. Wyjaśnij mi w końcu, skąd się wzięło?

– Rano przyszedł Nawiązka z Mędrzyckim. Miałam ci wyjaśniać przy nich?

– A teraz?

Danka zerknęła wymownie na kierowcę.

– Opowiem w domu – ucięła. – Co to znaczy, że nie zamierzasz się dostawać? Przecież się założyłaś.

– I wygram ten śmieszny zakład – oświadczyła z przekonaniem Zosia. – Mamy dowód na zmianę nazwiska? Mamy.

– W papierach jest nawet drzewo genealogiczne.

– Jeszcze lepiej. Weźmiemy dokumenty i pokażemy Edycie. A potem zażądamy zwrotu naszej własności.

– Jakie ty jesteś patologicznie naiwne dziewczę, to aż trudno uwierzyć! – wykrzyknęła Danka, zapominając o obecności taksówkarza. – I sądzisz, że ta źmija grzecznie odda nam kupę złota? Może nawet przewiąże ją czerwoną wstążeczką?

Po bliższym poznaniu Edyty Zosia zaczęła się nad tym poważnie zastanawiać, choć za nic nie przyznałaby się do

targających nią wątpliwości.

– Zawsze możemy pójść na policję – wysunęła propozycję, ale powiedziała to tak cichutkim głosem, że nie musiała nawet patrzeć na Dankę, żeby wiedzieć, co usłyszy.

– Czarna Zośka, szefowa bandy rzezimieszków... I Cycatka – dołożyła kpiąco Danka. – Tytuł doktora dostałaś chyba na słowo honoru. Bo do logicznego myślenia masz średnie zacięcie, ci powiem. Na policję! A dola za kradzież w Gdańsku nie została czasem rozdzielona? – Pociągnęła znacząco za ucho teczki.

– Nie zamierzam się nigdzie włamywać – syknęła w odpowiedzi Zosia, choć teraz brzmiała jeszcze mniej przekonująco.

– Jakie włamywać? Przecież dostałaś zaproszenie na rozbieraną randkę.

– Trzymajcie mnie. Rozbieraną randkę?!

– A jak facet mówi, że nikt nie będzie przeszkadzał, to co? Ma na myśli oglądanie znaczków? Co najmniej lizanie, zapewniam cię. Znaczków, oczywiście. Przestań na mnie patrzeć, jakbym ci uświadomiła, że święty Mikołaj nie istnieje.

– Nie zamierzam...

– Wiem, że nie zamierzasz. Włamanie też się nie przejmuj. Ja się włamię za ciebie – oznajmiła tak swobodnym tonem, jakby zgłaszała swoją kandydaturę na przewodniczącą trójki klasowej.

Zosia nie była już w stanie niczego komentować. Z fonii przeszła na wizję i wstrząśnięta wpatrywała się w Dankę, która jak gdyby nigdy nic wykladała swój przestępczy plan.

– Ile razy byłaś na Zajęczka? – spytała retorycznie. – Wiele. Dla ciebie to będzie kolejna wizyta. Nic więcej. Ale znasz rozkład domu, rozrysujesz siostrze. Zajmiesz się Oskarem, a ja poszukam złota. Proste.

– Oskarem zajmowałam się w innym wcieleniu.

– Trochę zaufania do rodziny. Czy uważasz, że pchałabym cię do zniechęconego łóżka?

– Jakiego zniechęconego? Ja go mam gdzieś. Równie dobrze mogłabym się położyć obok stróża z peronu. Nic.

Żadnych seksualnych zdarzeń. Jak to? – Zosia nagle przystopowała. – Nie będziesz mnie pchać?

– Mak. – Danka wypowiedziała tylko jedno słowo, ale na tyle dobitnie, że Zosia poczuła nieprzyjemne smyranie w żołądku.

– Co to jest MAK? Miejska Administracja... Nie wiem. Poddaję się. Ale już mi się nie podoba.

– Mak jak makowiec. Pani Beczka mówiła o wywarze z maku. Że kobiety przygotowywały coś takiego swoim dzieciom, żeby spały.

– I co? Ty, wróżka za dychę, zrobisz wywar? – Zosia nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy w przerażeniu wysiadać z taksówki.

– Jakie zrobisz? ZROBIMY. I poczęstujemy Oskarką.

– Przecież możemy go otruć!

– Makiem? I chmielem? Pości sobie chłopiec, wielkie rzeczy. Zresztą zawsze lubił spać. W sobotę gnił do dwunastej, zamiast pomagać ci w porządkach.

– A teściowa? – Zosia bynajmniej nie czuła się pocieszona. Choć wspomnienie wylegującego się w łóżku małżonka nieco nią targnęło. – Ona jest gorsza niż cerber. Jak zamierzasz tam wejść, kiedy ONA będzie w domu?

Danka wydobyla z kieszeni zgniecioną kartkę i z zadowoleniem podetknęła ją pod nos Zosi, która na głos przeczytała:

– Hotel Hospic, Katowice, Jagiellońska 17. W czwartek wielkie świniobicie? Ale co ma z tym wspólnego mama Oskara?

– Zdaje się, że mama Oskara lubi mięsko – przypomniała uczynnie Danką.

– Lubi? Mało powiedziane. Uwielbia. I przekazała to w genach synowi. Nie zapomnę, ile się musiałam namęczyć z kotletami, pulpetami i innymi takimi. Aż dziw, że nie zostałam wegetarianką. Ale nadal nie rozumiem. Co ma piernik do wiatraka?

Danka oblizła się ze smakiem, zmrużyła oczy i puściła wodze fantazji:

– A gdyby tak wielkie świniobicie wymknęło się spod kontroli...?

Naga kobieta zawsze stanowi dla mężczyzny zjawisko.

Wszystko pięknie, dopóki ogląda się ją na okładce gazety albo kiedy żywy egzemplarz jest tylko ładnym ciałem, niczym więcej. Można to wtedy znieść bez plamy na honorze, bo przy odrobinie szczęścia zostanie jedynie plama na prześcieradle.

Co innego, kiedy kobieta zaczyna być ważna.

Kiedy chce się z nią rozmawiać i kiedy o każdej porze dnia i nocy potrafi się dokładnie opisać kolor jej oczu. Wtedy mężczyznę zżera trema tak wielka, że nawet gdyby chciał przynieść góry, zwykły kopczyk ziemi wydaje mu się nagle Mount Everestem. I choroba wysokościowa murowana. Serce wali, skronie rozsada ciśnienie, a wszystko inne opada niedokrwione i bezbronne. Poza emocjami rzecz jasna. Te szybują pod chmury. I są boleśnie intensywne.

Mniej więcej tak czuł się Mirek Mędrzycki, kiedy w świetle poranka zobaczył Wenus z Katowic.

Ciało w przyjemnych proporcjach.

Mleczne, pełne: co najmniej trzy przecinek dwa procent.

I kształtne.

Włosy niedbale potargane, buzia uroczo zaspana.

W jednej chwili przyszli mu na myśl wszyscy wielcy malarze, z Leonardem na czele, bo czarne włosy Zosi, zielone oczy, żółty nocnik, czerwona podłoga, błękit na ścianach... Barwy odstawały na poddaszu niezgorszą orgietkę i Mirek potrzebował dłuższej chwili, żeby ponownie nawiązać kontakt z rzeczywistością.

Nastąpiło to dopiero wtedy, kiedy Zosia stanęła przed nim ubrana i trzeba było wytłumaczyć przyczynę przedwczesnego pojawienia się na Chorzowskiej. Nawet nie pamiętał, co wtedy zeznał, jeszcze długo potem unikał jej wzroku. Częściowo z poczucia winy (grzebał w laptopie Danki), a przede wszystkim dlatego, żeby nie zobaczyła w jego oczach pożądania.

Co innego pozostawać poza kręgiem kobiecej intymności, a co innego zobaczyć nagą kobietę na tle niezasłanego łóża. To łóżo miał Mirek w pamięci do teraz. I chociaż czasem

wyobrażał sobie Zosię bez zbędnych fatalaszków, żaden obrazek nie prześladował go tak bardzo jak wspomnienie dzisiejszego poranka. Całe szczęście, że niedługo potem przyplątał się Nawiązka, a następnie przybyli klienci do wróżki Danuty. Scenka była komiczna i napięcie wreszcie z Mirka opadło, choć czuł je jeszcze na zakupach, bo Zosia w ubraniach z epoki prezentowała się bardzo kobieco. Rozwahał nawet, czy te odczucia nie wiązały się z jej nowym wyglądem, ale po krótkim namyśle stwierdził, że nadal widzi w niej tamtą Zosię.

Po prostu Zosię.

I obwód w talii nie miał większego znaczenia.

Natomiast o wiele większe znaczenie miało to, że jego seksowna koleżanka chciała pławić się w złocie, a on już się napławił w towarzystwie łapczywych materialistek. Nie powinien o tym zapominać. Zwłaszcza teraz, kiedy tkwili w czasowym zawieszeniu i żeby się odwieść, należało ruszyć głową.

Butelka wina okazała się więc zbawieniem. Oczywiście nie przeniosła ich z powrotem do dwudziestego pierwszego wieku, ale dzięki procentom mógł zapomnieć o troskach. Do domu wrócił taksówką, wykapał się i siedział właśnie nad filiżanką kawy, którą popijał przy oknie, kiedy na podjeździe zaparkowała taksówka.

W środku dostrzegł Dankę i Zosię i już chciał biec na zewnątrz, ale zauważył, że siostry były czymś poruszone. Stał więc za firanką i czekał. Zosia została w aucie, a Danka podeszła do domu, który wedle Nawiązki miał należeć do Edyty. Spędziła trochę czasu na rozmowie z chudą kobietą wyglądającą na ogrodniczkę, po czym poszła ulicą w dół, a po chwili z powrotem znalazła się w samochodzie. Tylko że do auta przemknęła chyłkiem, jakby nie chciała zostać zauważona.

Czyżby Zosia z Danką przygotowywały się do wyprawy po złote runo? Bo jak inaczej wytłumaczyć ich obecność pod domem Beniszewskiego?

Mirek dopił kawę i postanowił iść na krótki spacer. Ledwie stanął przed bramą, zza rogu nadciągnęła Edyta.

Naburmuszona i zła.

– Witaj, Mirku. – Na jego widok przywołała jednak na lico powalający uśmiech i Mirek przypomniał sobie swoje ostatnie odwiedziny w chorzowskim zoo. Czy nie tak szczerzyły się na wybiegach hieny? – Co za fatalny dzień, musiałam wcześniej wyjść z pracy, bo dostałam migreny.

Migrena?

Słyszał tę banalną wymówkę setki razy.

Tylko że Edyta nie zerkala wtedy zachęcająco i kokieteryjnie jak teraz.

I on niby miałby ją znowu uwieść?

– Łyknij se Apap – odmruknął z premedytacją i już chciał czmychnąć, kiedy dotarło do niego, że skoro jego znajome nie próżnują, on również powinien się postarać. – Chociaż na migrenę najlepszy jest podobno masaż karku – dodał, bynajmniej nie sugerując, że widziałby się w roli czulego rehabilitanta.

Po prostu rzucił dobrą radą.

Jednak wyobraźnia Edyty najwyraźniej ruszyła pełną parą, bo w oczach swojej byłej wyczytał lamparcią gotowość do skoku.

– Masaż? Może poczekajmy z tym do czwartku – wyszeptala.

– Dwudziesta pierwsza. U mnie. Wtedy, Mirku... Wtedy nikt nie będzie nam przeszkadzał.

W żurku pani Adeli smaki uzupełniały się po prostu wybornie. Dominowała nuta kwaśna, ale nie natrętnie, bo w tle pobrzmiwała również słodycz, do tego wyczuwało się również świeżo mielony pieprz i majeranek. W zupie pływały rumiane kawałki kielbasy i boczku, co chwila też wynurzały się na powierzchnię kapelusze suszonych grzybków i Zosia skapitulowała; wzięła dokładkę. W życiu nie jadła takich rarytasów.

Pani Beczka z zadowoleniem obserwowala, jak opróżniają talerze, i zdradziła, że o smaku żurku decyduje domowej roboty zakwas. Na czosnku i żytniej mące. Zaprowadziła siostry do spiżarki i pokazała swoją produkcję: pykający bąbelkami sół

pełen brunatnej cieczy, która od czasu do czasu cichutko syczała.

– Czemu ta kobieta tak wyśmienicie gotuje? Vegety i Maggi nie uświadczysz, a wszystko smakuje jak... – Zosia przymknęła oczy, trudno jej było znaleźć odpowiednie słowa.

Siedziały w ogrodzie za domem.

Wyniosły ze sobą kuferek i rozłożyły koc pod jabłonką, która powoli zawiązywała owoce i pachniała lepiej od jakichkolwiek perfum. Jej gałęzie cieszyły oczy zielenią, wśród pasemek trawy puszczały żółte oko stokrotki, a pszczoły i inne skrzydlate stwory buczały w powietrzu tłusciutkie od wyzerki. Wiosna szalała pełną gębą.

– Jak ambrozja – dokończyła rozmarzonym głosem Danką. – Chyba chodzi o to, że wcinamy produkty nieskażone. Zero chemii. Proszę bardzo, jak można się cieszyć jedzeniem. – Wskazała podbródkiem na skaczące po sąsiedniej działce dzieci.

Jeden z chłopców dźwigał olbrzymią pajdę chleba posypaną płatkami owsianymi, co okazało się doskonałym pretekstem do figli. Z szelmowskim uśmiechem dmuchnął przed siebie z całych sił, a bosonogie urwisy nie czekały – zaczęły tańczyć w białej chmurze. Po chwili płatki opadły, a dzieciarnia przeniosła się za mur i nastąpiła upragniona cisza.

– Tłumacz mi wreszcie złoto – zarządziła Zosia, układając się wygodnie na kocu.

– Najpierw będzie o kobiecie, która pozbiierała te papierzyska do kupy. – Danką uniosła się na ramieniu i otworzyła skrzyneczkę.

– Ciekawe skąd ci się wzięła kobieta.

– A wycinki z gazet? Facet nie gromadziłby artykułów o modzie i zarciu, proszę cię. Zresztą przeczytam kolejny list, zaraz się wszystkiego dowiesz. Z boku jest data. – Zademontrowała mleczny skrawek papieru, który furkotał smyrany ciepłym podmuchem wiatru. – Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty ósmy. Było więcej stron, bo nie ma podpisu, ale można się domyślić, kto jest autorką. Słuchaj. Czytam bez tłumaczenia, mamy pierwszą Polkę w rodzinie.

Droga Przyjaciółko!

Moje ostatnie milczenie tylko tem tłumaczę, że do niedawna całkiem w rozstrojeniu żyłam. Otóż, Eryk, mój pierworodny, to defraudant i hochsztapler. Zbrodzień pospolity, który dostatek w domu mając, po cudze rękę wyciągnął. Ale to upodobanie z krwi się bierze. I nie po kądzieli, a po mieczu wędruje. Wszystko objaśniam jak stoi.

(...) aż pocieszenia dopiero przy porządkach na strychu doznałam. Sam Pan Bóg ręką moją kierował, bo pudełko z dokumentami pośród rupieci rozmaitych znalazłam. A tam czarno na białem stwierdzone, że w rodzinę złodziejską się wdałam tym moim cudzoziemskim małżeństwem. Alojzy niby taki człek prawy, a o tem fakcie zapomniał był wspomnieć, że brat jego rodzony to nie kto inny jak Louis Diebel. Ten sam, Moja Droga, co dzienniki wszystkie pisały, że pożyczkę na szkołę zaprzepaścił, miasto zrabował i bez honoru nijakiego do Ameryki zbiegł. I teraz pojmuję, dlaczego osiadła tak daleko od domu rodzinnego, na poniewierkę poza krajem skazana. I że też historia nauką dla pokoleń być może, tedy postanowienie powzięłam za kronikarza Habów robić, dokumenta odtąd wszelkie prowadzić i nie rozpuszczać, a i córkę poruczyć, żeby dzieło moje w zapomnienie nie poszło. Bo kto wsparcia udzieli niewieście jak nie druga niewiasta?

– Dawaj drzewo, niewiasto – zarządziła Zosia i Danka przez moment nie bardzo wiedziała, co robić. Ciąć siekierką jabłonkę czy lecieć po drwa do szopy.

– Drzewo? W sensie?

– Genealogiczne przecież. – Jej siostra, do tej pory nieprzekonana do odkrywania tajemnic rodzinnych, nagle zmieniała zdanie. – Mogę zerknąć na list, który czytałaś poprzednio? Tam był jakiś osesek. Popatrz, że też samcze kłamstwa mają tak długą tradycję – westchnęła. – Zawsze łgali, świniaki. Tysiąc osiemset który?

– Dziewięćdziesiąty ósmy. Prawie trzydzieści lat po aferze

z udziałem naszego pra Diebla. Tyle lat kobieta żyła w nieświadomości.

– Liczyłaś już te pra? – zainteresowała się Zosia.

– Zaraz wspólnie policzymy. Drzewo. – Danka z dumą zaprezentowała złożoną na czworo kartkę od góry do dołu upstrzoną gryzmołami.

Notatki nie przypominały drzewa genealogicznego w powszechnym rozumieniu, były ciągiem nazwisk naniesionych różnymi charakterami pisma, co poważnie utrudniało ich odczytanie. Od nazwisk biegły strzałki, strzałeczki, przy niektórych imionach stały przedziwne symbole i w tym historycznym pasztecie mógł się rozeznaczyć tylko ktoś o świętej cierpliwości. Albo ktoś posiadający w telefonie aplikację Lupa.

Danka odblokowała komórkę i wycelowała kamerą w pierwszy słupek z brzegu.

– Alojzy Haba, w nawiasie Alois Diebel. Czyli to nasz praprapradziadek – stwierdziła. – A Louis Diebel, jego brat, jest w takim razie naszym prapraprastryjem, jeśli coś takiego istnieje.

– I przy okazji wyjaśnił się Eryk. – Zosia dziabnęła palcem w list, w którym Alojzy pisał do brata odsiadującego karę w chlewiku, a potem zajrzała Dance przez ramię. – A jego matka, a żona Alojzego, to Irena Haba z domu... Tkaczyk. Jej zawdzięczamy kuferek. Znalazłaś coś o złocie?

Danka sięgnęła po ostatnią pomoc dydaktyczną, ale najpierw upewniła się, że nikt ich nie obserwuje. Laptop w dwudziestoleciu międzywojennym wzbudziłby niezdrową sensację. A na pierwsze strony „Kuriera Śląskiego” raczej nie chciały trafić.

– Pewnie, że znalazłam. Zaraz się przekonasz, jaką masz mądrą siostrę – zapowiedziała, uruchamiając komputer. – Ale w świetle dziennym słabo widać. Tak ogólnie powiem, jaką mam teorię, a pliki przejrzysz sobie na spokojnie wieczorem.

Po otwarciu folderu z napisem Diebel, Danka zrobiła to samo z sąsiednią zakładką. Opatrzoną nazwiskiem Böenisch. W obu folderach roilo się od dokumentów.

– Nieźle cię wzięło – cmoknęła z uznaniem Zosia.

Siostra potrafiła chachmęcić, oszukiwać i była mistrzynią w odkręcaniu kota ogonem, ale jeśli chodziło o pracę, potrafiła się jej poświęcić bezgranicznie.

– Co chcesz? Miesiące żmudnego śledztwa. Ja to złoto musiałam chyba wyczuwać dziesiątym zmysłem. – Zatarła rękę.

– Zaraz wszystko wytłumaczę, ale żebyś zrozumiała, zacznę od początku. Albo od późniejszego początku, bo historię powstania Katowic ci daruję.

– Łaskawczyni.

– Bo niby tu mieszkasz, a guzik wiesz.

– Wiem tyle, ile trzeba.

– Tak, a doczytałaś w swoich polonistycznych książkach, że Śląsk przestał należeć do Polski w czternastym wieku i tak było aż do końca pierwszej wojny światowej? – Danka nie zamierzała wygłaszać wykładu, ale luki w edukacji historycznej zawsze ją irytowały. Zwłaszcza u osób z tak zwanym wyższym wykształceniem. – Najpierw szarogęsili się tu Czesi, a później Niemcy. Ale Ślązacy nigdy nie byli pokorni i w końcu dopięli swego. Co się wierzysz? Rozpraszasz mnie.

Zosia demonstracyjnie oparła się o jabłonek.

– Przypominam ci tylko, że nie jesteś w muzeum i nie musisz oprowadzać wycieczki. Poproszę o wersję skróconą.

– A niby jaką dostajesz? – Danka zgrzytnęła zębami. – Muszę rzucić parę słów wstępu, żebyś złapała ducha czasu. W skrócie. Proszę uprzejmie. W skrócie wygląda to tak, że kiedy Katowice dostały prawa miejskie, był tu prawdziwy Dzik Zachód.

– Czyli?

– Węgiel. Rodziło się olbrzymie, przemysłowe miasto. Huty i kopalnie, a poza tym huty i kopalnie. I kilka ulic na krzyż. Ogromne możliwości zarobku i wybicia się, a jednocześnie hektary luk w prawie. Dlatego ciągnęło tu szemrane towarzystwo z całych Prus. Między innymi Louis Diebel.

– On był szemrany?

– Zdecydowanie. Przeczytam ci fragment z „Dziennika Zachodniego”.

Najpierw to, co o Dieblu dotąd wiedzieliśmy. Urząd nad Rawą objął w 1866 r., rok po tym jak Katowice uzyskały prawa miejskie. Na stanowisko delegowano go z położonych sto kilometrów dalej na zachód Krapkowic. Choć rekomendacji udzieliły mu władze rejencji opolskiej, (...) wiadomo było, że dla Diebla nowe poruczenie nie ma nic z awansu, a jest raczej zsyłką i degradacją. Już w Krapkowicach polityk był ponoć bohaterem niesprezycowanej afery finansowej.

– Czyli zanim przyjechał do Katowic, już coś przeszkrobał? – zaśmiała się Zosia. – Zupełnie jak u nas. Delikwent namiesza, nakradnie, a zamiast do ciupy, sadzają go na innym stanowisku. Z setkami tysięcy odprawy.

– Właśnie. W tych Krapkowicach też był burmistrzem. I to przez dziesięć lat. A potem niby zrezygnował. Jasne, już to widzę – prychnęła Danką. – Namotał i dali mu ultimatum. Myślisz, że on tu przyjechał z pustymi rękami? Słuchaj dalej. Teraz moje odkrycia. Natrafiłam na pewien niemiecki dokument, z którego wynika, że Louis Diebel mógł się tak naprawdę nazywać Fedor Diebel. Na mój gust nowe imię dodał sobie po przyjeździe do Katowic, żeby nie ciągnęła się za nim zła sława. I prawdopodobnie pochodził z Grottkau, czyli Grotkowa. – Danką wypięła z dumą pierś. – A z wykształcenia był aktuariuszem.

– Aktuariusz? Że zajmował się aktami?

– Niezupełnie. – Danką poprawiła bluzkę i z zapalem zaczęła wyjaśniać: – To taki księgowy, spec od ubezpieczeń i ekonomista w jednym. Jedno jest pewne. Miał dostęp do pieniędzy. I to nie byle jakich. I potrafił liczyć.

– Popatrz, prawie tak jak ty – strzeliła Zosia, ale siostra była zbyt pochłonięta dochodzeniem, żeby się przejmować drobiazgami.

– Tylko zaznaczam, to są informacje z Internetu albo moje hipotezy. W wakacje zamierzałam jechać do Opola i siedzieć w archiwach. W każdym razie założę się, że nasz praprapra kradł najpierw w Krapkowicach, a potem przez cztery lata

urzędowania u nas.

– A dowody?

– Kochana! – Danka była przygotowana i na to. Po prostu otworzyła kolejny dokument. – W najnowszej monografii o Katowicach natknęłam się na takie zdanie: Objawy nieprawidłowości w finansach miasta dostrzeżono już na zebraniu deputowanych 12 grudnia 1867 roku, jednakże bardzo pozytywnie przyjęto obszernie wyjaśnienia Diebla.

– Miał stryjek tempo. Po roku bycia burmistrzem? – Zosia jeszcze nie dowierzała, ale powoli zaczynało do niej docierać, że zapal do lawirowania Danka musiała odziedziczyć po rodzinie Dieblów.

– Yhy. Bardzo pozytywnie przyjęto wyjaśnienia, bo Diebel musiał mieć gadane. Plus czar i wdzięk. – Chrząknęła znacząco. – Chociaż podobno był kurduplem.

– Kurduple zawsze mają parcie, żeby udowodnić światu swoją wielkość. Na szczęście Mędrzycki nie należy do ułomków...

– Ale posłuchaj, co wyszło po śmierci Böenisha. – Ostatnią uwagę siostry Danki skwitowała uśmiechem i już prezentowała fotografię kolejnej książki.

– Böenisch – powtórzyła Zosia w zamyśleniu. – Mam wrażenie, jakbym już słyszała to nazwisko.

– To kumpel Diebla. Czy raczej współnik. Kolejna ważna postać. Teraz fragment z Historii miasta Katowice Hoffmanna, który napisał to jeszcze w dziewiętnastym wieku, czyli w sumie niedługo po interesujących nas zdarzeniach.

Także miejski podskarbi Bönich, który przybył wraz z Dieblem do Katowic, dopuścił się wielu defraudacji pieniężnych. Kiedy w 1882 roku z powodu choroby konieczne było zastępstwo, zastępca odkrył wszelkie nadużycia. Bönich nie zdążył się stawić przed sądem, gdyż zmarł jeszcze tego samego roku.

– Czyli, jak rozumiem, stryjek nie działał w pojedynkę, ale miał kolegę, którego przywiózł z poprzedniego miejsca pracy?

– Dokładnie. Tyle w kwestii złota. – Danka niespodziewanie zakończyła wystąpienie i patrzyła teraz na siostrę wzrokiem pełnym napięcia.

Ale brawa się nie rozległy.

– Jakie „tyle”? I jakiego złota? Nie było żadnego złota – żywo zaprotestowała Zosia.

– Kradli w Krapkowicach, tak? Dziesięć lat. A potem zmiana koryta i pięć lat złodziejstwa made in Katowice. A kiedy Diebla złapali za oceanem, miał przy sobie tylko pieniądze skradzione z kasy miejskiej. To gdzie reszta, ja się pytam? Bo do PKO raczej nie zaniósł.

– A ja się pytam, skąd wytrzasnąłaś złoto? – Zosia nie zamierzała odpuścić.

– Co za ignorantka... Przecież każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie i mnóstwo kasy do przemienienia, inwestuje w złoto albo w nieruchomości. – Danka wydeła protekcyjnie usta, choć na giełdzie papierów wartościowych mogłaby zaszpanować co najwyżej pakietem papieru toaletowego. Ewentualnie makulatury. – A Diebel głupi nie był. Nie mógł tego wszystkiego po prostu wydać, bo mu patrzyli na ręce. Ziemia albo dom też by wcześniej czy później wyszły. Więc co zrobił?

– Kupił złoto?

– Na mur i komunistyczny beton. I schował. I tego właśnie szukamy.

Całe szczęście, że rozmowa o złocie przebiegała w konspiracji i toczyła się półgłosem, bo od strony chlewików nadciągnął Zbyj.

Jeszcze bardziej posepny niż wczoraj.

– Coś by trzeba postanowić – zakomunikował na wstępie, a brwi zjechały mu na oczy tak, że prawie je zakryły. – Znikam na kilka dni. Rzeźba Padewskiego jest jeszcze do sprzedania.

– Postanowić? – Danka udała zdziwienie.

– A postanowić. Kiedy robota u Pelca? Rozeznałaś się już w jego zwyczajach? – Ostatnie pytanie Zbyj skierował do Zosi, która zwyczajnie Oskara znała przecież doskonale. Tak doskonale, że niektóre zdążyły jej zbrzydnąć.

– Rozeznałam się – potwierdziła bez mrugnięcia okiem.

– Jaki dzień będzie najlepszy? Żeby tam wszyscy nie siedzieli na kupie.

Zosia zaczęła intensywnie myśleć.

W popłochu stwierdziła, że niedługo dorówna w kombinowaniu siostrze, ale coś jej mówiło, że Zbyja należy trzymać nie tylko z dala od złota, ale od ich spraw w ogóle. Skoro zamierzały rozpocząć poszukiwania w czwartek, Zbyja trzeba było ustawić w czasie tak, żeby zdążyły sprawdzić dom przed nim.

– Myślę, że najlepsza będzie sobota. Najbliższa. Bo wtedy Pelc i jego żona wyjeżdżają i wrócą dopiero w poniedziałek – skłamała i niemal natychmiast poczuła wypływający na twarz rumieniec.

Ale Zbyj nie był zbyt spostrzegawczy.

– Wybornie. Zatem robimy włam w sobotę. – Wsadził ręce do kieszeni, zakołysał się i pomaszerował z powrotem na podwórze, skąd po chwili dobiegł je dźwięk uruchamianego samochodu.

Danka łypnęła na siostrę i zaniósła się bardzo niskim i bardzo szyderczym śmiechem, który w komplecie z rżeniem silnika zabrzmiał niemal złowieszczo.

– Pałka się przegła. Zofia Haba właśnie skłamała. W imię Ojca i Syna. Aż strach pomyśleć, co będzie następne...

Danka uparła się sprawdzić, czy chmiel faktycznie porasta brzegi Rawy, a że nie chciała być podczas tej czynności oglądana przez pół okolicy, wybrała na spacer porę wieczorową.

Zosi ten wybór wydał się kompletnie nietrafiony.

– Tam nie ma osiedla. I nie ma lamp. Po ciemku nic nie zobaczymy – przekonywała, ale siostra już założyła znaleziony w szafie sweter i chyba tylko gradobicie odwiodłoby ją od realizacji przedsięwzięcia.

– Czemu po ciemku? Dopiero siódma. Mamy dwie godziny,

zanim się ściemni.

– Ale jaki chmiel? Jaki mak? – Zosia próbowała jeszcze protestować, ale zanim się obejrzała, już maszerowała drogą w kierunku przyszłego osiedla Tysiąclecia i musiała przyznać, że zaczynała ją palić ciekawość.

– Zaufaj mi. – Danka zajrzała siostrze głęboko w oczy, co przyniosło zupełnie odwrotny skutek.

Zosia zyskała pewność, że historia z wywarem zakończy się źle.

– A jeśli twój magiczny wywar nie zadziała? I Oskar będzie przytomny? Łóżko absolutnie odpada. Nigdy więcej. – Zatrzęsła się ze wstrętem.

– Zdaje się, że masz go uwieść.

– Ale chodziło o uwiedzenie w kontekście wyniesienia z domu złota. A nie: przespania się z obleśnym, zdradzieckim gadem.

– Proponuję, żebyś zaczęła zapuszczać włosy pod pachami. Na pewno się zniechęci. Podniesiesz rękę, a tu takie kłacza, że sikorki zaczną się zlatywać, żeby uwić gniazdo – błysnęła żartem Danka, ale Zosi nie było do śmiechu.

– Wszystkie kobiety są tu owłosione, brzytwą się przecież nie depilują – mruknęła, mijając dziewczynę niosącą kosz ziemniaków i przez chwilę intensywnie przyglądała się jej ledwie odsłoniętym łydkom. – Gillette zbije kiedyś kokosy.

– Jakie kiedyś? Ty nie patrz na chłopki – pouczyła Danka. – Maszynki do golenia są w powszechnym użyciu co najmniej od kilkunastu lat. A depilację woskiem wymyślili Egipcjanie. Tylko w średniowieczu fanatycy wcisnęli nas w worki pokutne i kiece po kostki. A teraz proszę. Kryzys, nie ma na materiały i moda staje się coraz krótsza. Wojna z owłosieniem się toczy, spokojna głowa. O! Wiem, co zrobić z Oskarkiem, żeby cię nie chciał nawet dotknąć – doznała kolejnego z cyklu chybionych olśnień i Zosia cała ścierpła.

– Tak? Słucham. Tylko stopnij napięcie, żebym nie padła na serce.

– Powiesz mu, że masz zrosty wewnątrzmaciczne – oznajmiła z zadowoleniem Danka. – I koniecznie używaj słowa „endometrioza”. Jak najczęściej. To na nich działa jak płachta

na byka. Serio, serio.

– Nabijasz się, a czwartek za dwa dni. Wystarczy, że pomyślę, że jestem z nim sam na sam w przedpokoju, i już mi niedobrze, a co dopiero kiedy mowa o sypialni.

– Nabijam się? A próbowałaś powiedzieć heteroseksualnemu facetowi, że masz jajowody? Albo że co miesiąc złuszcza ci się nabłonek? Nie? To co ty wiesz o życiu, kochana... Ale wywar zadziała, bez obaw – dodała uspokajająco.

– A skąd weźmiesz mak?

– Od pani Adeli. Już jej wspomniałam, że będę tworzyć serum prawdy.

– Proszę?

– Serum prawdy. – Danka wyglądała na kogoś, kto wyśmienicie się bawi. – A co, powinnam jej powiedzieć, że chcemy ululać jednego takiego napalonego kolesia? Nic się nie bój. Wróżka Danuta warzy tylko sprawdzone mikstury. Zapiecek.pl.

– Chyba zenua.pl.

– Czy ty musisz być taka dosłowna i akuratna? Nawet tutaj? Zachłyśnij się. W czwartek Wenus wejdzie w sekstelację z Bykiem, miliony gwiazd utworzą opozycję do... I tak dalej. O ja cież pierdykam! – wyrwało się Dance, bo właśnie dotarły nad staw Maroko.

W okolicach ulicy Piastów, przy której Zosia mieszkała przez cały czas trwania małżeństwa, zastały powierzchnię płaską jak placek po węgiersku – w charakterze sosu występowały płytkie kałuże i bajorka, a za wkład mięsny robiły kaczki. Całość porastały pojedyncze karłowate drzewka, które w pobliżu stawu przechodziły w falujące połączenie trzciny wodnej. Sam staw był dużo większy, na pobliskiej górcie stały mikroskopijne chatki i stodoły wsi Sośnina, a za rzeką pasły się najprawdziwsze mleczne krowy.

Zosia z Danką obeszły w dzikiej ekstazie całe Maroko, a kiedy emocje związane z penetracją zieleni wiejskiej wreszcie opadły, rzuciły się na chmiel, który rzeczywiście rósł na jednym z brzegów. Zosia miała wątpliwości, czy do wywaru nie powinno się wykorzystać świeżych roślin zbieranych

w słoneczny dzień, ale wróżka (łamane przez zielarka) Danuta uznała, że w herbatkach ziołowych wykorzystuje się susz. Do domu wracały więc z całymi naręczami ziela, które zalatywało małym piwkiem. Zdrówko!

– Susz. Ale gdzie to chcesz suszyć? – spytała zasadniczym tonem Zosia, kiedy stanęły już na podwórku i dumały, co zrobić z tak pracowicie rozpoczętym wieczorem.

– Raczej podsuszać. Do czwartku wielkich efektów nie będzie. Ale położymy na słońcu, żeby nie wdała się pleśń. Chyba że chcesz, żeby Oskarek spleśniał?

– Wolałabym, żeby szczuł. Cokolwiek to znaczy. Ale sam z siebie, nie chcę go mieć na sumieniu.

– Szczuł – powtórzyła ze smakiem Danka. – Sam z siebie? Niby tak, ale gdyby na przykład taka siekierka – wskazała na narzędzie oparte o drzwi chlewika – sama z siebie zorała mu czaszkę, chyba nie miałabyś nic przeciwko? Szczuł... Piękne. Dobra, włączę na chlewik. W podobnym pewnie trzymali Diebla. Lubię chlewiki.

– Że co?! – Zosia z przerażeniem objęła wzrokiem murowany budynek, który liczył sobie tylko dwa niskie piętra, ale dwa piętra to jednak nie parter.

– Gdzieś te zielska muszą się prażyć, a dach mamy na wyciągnięcie ręki. Poza tym powinnam poćwiczyć.

– Ćwicz na szafie, jeśli masz chęć. Ale szopę może sobie daruj – zasugerowała. – I w ogóle jakie „ćwiczyć”?

– Zwróciłaś uwagę, jakie okna są na Zajączka? – pospieszyła z wyjaśnieniami Danka. – Cały parter okratowany, można się bez problemu wspinać. A wspinaczka z tym – wypięła biust – to nie takie hop-siup. Rozłóżę chmiel i przy okazji nabiorę wprawę. Nie gap się, tylko organizuj siostrze drabinę.

Zosia westchnęła, a króliki w chlewiku, mądre stworzenia, wraz z nią. Potem jednak wyczuły, że kroi się większa impreza, bo zamiast siedzieć jak trusie, zaczęły skakać po klatce, fikać koziołki i kicać, aż roztrzeszczały się wszystkie deski.

Tymczasem nad Królewsko-Hucką zawisł księżyc.

Dorodny jak ząbek czosnku w żurku pani Adeli.

Powoli nadchodziła noc.

Mieli w swoich szeregach chemika!

Mirek nie bardzo ogarniał, po co taka persona w złodziejskiej szajce, ale narada, jaką zarządził po południu Nawiązka, wywarła na nim spore wrażenie. Oprócz chemika i kasiarza ich szeregi zasilalo jeszcze dwóch wywiadowców i jeden przekupiony policjant. Podobno wysoki rangą urzędnik, który nie pojawił się jednak na zebraniu. Jak to ujął Nawiązka: czuwał za kulisami.

Na spotkaniu omówiono plan domu Edyty i opracowano szczegółowy zakres obowiązków. Z włamaniem wciąż czekano na stosowną chwilę, a w jej ustaleniu mieli pomóc chłopcy, którzy od kilku dni obserwowali kamienicę.

O wyznaczonej na czwartek schadzce Mirek nie pisnął ani słowa.

Najzwyczajniej o niej zapomniał.

Za to po zebraniu zasugerował Nawiązce, że w sumie można by pojechać do Dębu. Kiedy w południe rozstawał się z dziewczynami, były na lekkim gazie, chciał więc zyskać pewność, że dotarły do domu całe i zdrowe. Nawet nie musiał specjalnie tłumaczyć rudzielcowi celu wyprawy. Nawiązka błysnął z uciechy oczami, zakrzyknął ochoczo: „Się wie!” i już był gotowy do drogi.

Najpierw jednak zajrzeli do sklepu pana Gajdzika, gdzie Mirek zamówił czerwone wino, a potem podjechali pod kamienicę Zosi. Tyle że w mieszkaniu nikogo nie zastali. Pukanie usłyszała za to pani Adela i nie przyjmując słów protestu, zgarnęła miłych młodzieńców i pieseczka na żurek.

Tu dane było zrozumieć Mędrzyckiemu, jak funkcjonował świat bez Internetu.

Bo funkcjonował.

I to całkiem nieźle.

Ale był tak barwny i intensywny, że człowiek przyzwyczajony do impulsów elektronicznych musiałby mieć czas, żeby się przestawić.

W ciągu godziny przez kuchnię gospodyni przewinęło się kilkoro ludzi, którzy zajrzeli tylko „na chwilę”. Każdy serdeczny i każdy witany docinkami Beczkowej, która rekompensowała złośliwości makowcem albo śledzikami w śmietanie. Mirek przysłuchiwał się jakiś czas tym sąsiedzkim pogawędkom, po czym stwierdził, że on – dziecko dwudziestego pierwszego wieku – zna układ okresowy pierwiastków, ma również do perfekcji opanowanego Microsoft Excela, ale za cholerę nie wie, kto mieszka na jego pięttrze. Kojarzył co najwyżej twarze, ale tylko osób posiadających psy. Jednocześnie surfując po Facebooku, mógł sobie obejrzeć nową łazienkę kolegi (zresztą ostatnio widzianego w dzieciństwie), który nacisnął magiczny przycisk „dodaj do znajomych” i na tym ich zażyłość się skończyła.

Poza tym trzeba przyznać, że w jego kawalerce nigdy nie było tak wesoło.

Napięcie sięgnęło zenitu, kiedy do kuchni wparował kolega pana Błażeja z akordeonem – oczywiście już od progu uraczył ich śląską przyśpiewką. Pani Adela nie chciała być gorsza i przy tej okazji pochwaliła się, że należy do chóru świętej Cecylii działającego przy tutejszej parafii. Jak łatwo się domyślić, w ciągu następnego kwadransa poznali jego wszystkie popisowe numery. W międzyczasie do akordeonu dołączyła mandolina, bo pan Błażej był zagorzałym fanem tego instrumentu, a pani Beczka rozkręciła się na dobre i nie zważając na hałas, wykrzyczała, że należy również do Towarzystwa Polek. Kiedy zaczęła wyłuszczać cele stowarzyszenia, Nawiązka wychylił się przez okno, uniósł w niedowierzaniu brwi, a potem dał Mirkowi tajemny znak.

Byli uratowani.

– Mędrus, a zerknij, bo może mnie ślepie mylą. – Grzesz zaciągnął go na półpiętro i pokazał na chlewik.

Mirek również zastanawiał się, czy dobrze widzi.

Na skraju dachu, podświetlona ząbkiem księżycy, balansowała kobieta.

A raczej gibała się to w przód, to w tył, bo obfity biust ewidentnie przeszkadzał jej w zachowaniu równowagi.

– Idziemy. – Grześ przyczał się jak jamnik pod krzakiem, a Goliat warknął cicho, lecz z pogardą. – Tylko bokiem. Tak, żeby nas nie widziały.

– Nie wiem. Ale chyba też się cieszę, że nas nie przeniosło – wyznała Zosia, kiedy została już zwolniona z podtrzymywania siostrze kupra.

Danka podciągnęła spódnicę, wykonała z niej wokół talii coś na kształt paska i dopiero teraz mogła swobodnie przebierać na drabinie nogami.

– Ooo – wyraziła zdziwienie. – A co się stało, że zmieniłaś zdanie?

– Nie chcę być znowu stara. – Zosia po raz kolejny przypomniała sobie wyraz twarzy Mędrzyckiego, kiedy zobaczył ją nagą, i to wspomnienie zamierzała pielęgnować w pamięci po kres swych dni.

– Zapewniam cię, że jak będziesz mieć sześćdziesiątkę, stwierdzisz, że czterdziestki to woniejące kwiaty. Zawsze chce się więcej i nie docenia tego, co teraz.

– Właśnie doceniam. I chcę, żeby ta chwila trwała.

– Młodsza siostra da ci radę – zdecydowała Danka i stanęła wreszcie pewnie na dachu. – Tak na wszelki wypadek, gdybyśmy jednak wrócili. Ze starością masz tylko dwa wyjścia. Walczyć do końca życia o lasce i być nieszczęśliwa, ale i tak pomarszczona, bo walka nic nie da, a na twoją tragedijkę, oprócz zaprzyjaźnionego psychiatry, nikt nie zwróci uwagi...

– Albo się pogodzić – dokończyła z ponurą rezygnacją Zosia.

– Owszem. Pogodzić się. Ale skoro do rozwoju cywilizacji i tak nic nie wniesiesz, a jeśli chodzi o operacje plastyczne, z twojej pensji stać cię tylko na wenflon, to co się łamiesz? Starość w końcu dopada każdą kobietę. Każdą, bez wyjątku. Tylko że ludzie dzielą się na dwie grupy. Na takich, którzy mają całe życie przed sobą, i na tych, co zawsze, bez względu na wiek, mają życie za sobą. Przed sobą – powtórzyła i usiłowała potrząsnąć krągłościami – i za sobą. Przed sobą i...

– A ty chcesz być znowu płaska?

Siostra wykonała kolejny karkołomny wyrzut, po czym siarczyście zaklęła.

– Tak! Chyba zaczynam chcieć. Czemu ten cholerny biust mnie nie słucha? Skacze tak, że już mam obite migdałki. I zaczynam rozważać przeszczep kręgosłupa.

– Rzuć te zielska i złaż. Bo jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

– A w życiu! Lepiej daj mi cegłę. Leżą przy szopie – zarządziła Danka i dla równowagi zatrzepotała rękami.

– Co ci dać?!

– Cegłę! Muszę mieć przecież jakąś przeciwwagę.

– Jaką przeciwwagę, przecież do tyłka jej sobie nie przykleisz.

– Do tyłka nie, ale do majtek...?

Danka nie czekała, od razu wprowadziła pomysł w czyn. Rechocąc, chwyciła podaną cegłówkę i nadziała nią bieliznę, która pewnie by tej operacji nie przetrzymała, gdyby nie spódnica i wykonany z materiału pas.

– Ha! I jak nie można, jak można?

– Szajbnięta jesteś. – Zosia również zaniósła się śmiechem.

Z tym że śmiech w wykonaniu Danki, a siostra zawsze śmiała się całym ciałem, spowodował kolejne drgawki popiersia, które w efekcie doprowadziły do katastrofy. Nadwyrężane od kilku dni ramiączka stanika nie wytrzymały.

Puściły.

I uwolniły dobrodziejstwo inwentarza, który bez skrepowania opadł na żeberka.

W tej samej chwili przy szopie coś skrzypnęło.

– Kto tam? – zapytała przestraszona Zosia, ale zaraz usłyszała głos Mirka i nie musiała się już niczego bać.

Ale Mędrzycki nie przybył sam.

– To tylko my.

– Jacy my?! – Danka miała złe przeczucia i chętnie zakryłaby biust, ale wtedy spadłaby na dziób albo wystąpiła w charakterze zwiewnego motyla, co przy tym obciążeniu było raczej mało prawdopodobne.

Jej obawy okazały się słuszne.

Z półmroku padło nieśmiało:

– Grześ Nawiązka.

I Danka zamarła.

Półmrok nie przeszkodził bowiem rudzielcowi w odnotowaniu wszystkich krępujących szczegółów sytuacji. Jak choćby podwozia królowej chlewika, bo spódnica przytrzymująca cegłę niczego nie zakrywała, i wypuszczonych na wolność piersi, z których jedna dziarsko podążała ku drabinie, a druga z godnością toczyła się w kierunku komina.

Nawiązka mlasnął nieprzyzwoicie i jaśniejąc od uwielbienia, oznajmił:

– Mówilem, że jedwabna. Po prostu jedwabna kobieta...

Warzenie wywaru z maku i chmielu zajęło Dance dwa dni.

Pani Beczka od czasu wyłożenia proroczego snu czuła przed wróżką uzasadniony respekt, dlatego pozwoliła jej bez skrępowania myszkować w kuchni. W środę wieczorem mikstura była więc gotowa, choć smak tego mdlawego świństwa pozostawiał wiele do życzenia. Danka jednak się tym w ogóle nie przejmowała. Odcedziła mak oraz gałązki chmielu i dodała do cieczy cukier. Następnie przekabaciła pana Błażeja, który nie pożałował śmierdziuchy (pędził ją do spółki z kolegami), i w ten oto sposób powstała niezgorsza naleweczka. Bardzo ostra, bo przed spożyciem powinna postać w cieple kilka tygodni, ale dająca nadzieję, że ktoś się jednak na nią skusi. Danka wydebiła od pani Adeli ozdobną butelkę, przelała miksturę, po czym, wreszcie uspokojona, zaczęła myśleć nad przygotowaniem do wielkiego skoku.

W pierwszej kolejności należało znaleźć środek transportu dla świni.

Martwej, ale niewykluczone, że krwawiącej.

– Świniobicie to wielka sprawa – powiedziała z przekonaniem Danką. – Tu sobie nie wyskoczysz po szyneczkę do Tesco, które furga całodobowo. Zapomnij. Zabijasz swinię, umawiasz masarza i on się uwija cały dzień. Spuszcza krew, robi kielbaski, kaszanki, tnie...

– Można wiedzieć, po co mnie raczysz tą historyjką?

– Jak to po co? Dla gospodyni tłusty wieprzek to jest manna z nieba. Zapas na parę miesięcy. Nie musi biegać po targach, sklepach, zdobywać od chłopca. Mama Oskara będzie zachwycona, zobaczysz. Zajmie się świniakiem, a my będziemy mieć święty spokój.

– Czyli podkładamy jej świnię?

– W dosłownym tego słowa znaczeniu.

Podkładanie świni Zosia z Danką zaczęły od wizyty w Sośninie, gdzie odnalazły brata Kachny, Jaśka, który nie okazał jednak wróżce Danucie należnego szacunku, bo zaczął od wyrzutów, że w tunelu pod peronem piątym lichy szaleje jak nigdy dotąd. Wali, dudni i straszy tak, że trudno pracować. Na użyczenie pocztowego wózka zgodził się dopiero po otrzymaniu sowitej zapłaty.

Wreszcie nastał czwartkowy poranek i po zakupieniu u Ernesta Suchockiego świni, szanse na przeszukanie domu Oskara wzrosły. Właściciel hotelu Hospic był tak zadowolony z transakcji, że bez problemu zgodził się na przechowanie zwierzęcia do południa. Tyle że nie przewidziały jednego. Kiedy zjawily się na Jagiellońskiej ponownie, okazało się, że świnia, owszem, czeka, ale jest jak najbardziej żywa.

W dodatku patrzy podejrzenie mądrym okiem.

Pan Suchocki nie rozumiał ich konsternacji.

– Ot jest i świeża świnia – oznajmił, rozkładając ręce. – A panienki nastawały, żeby była jak najświeższa. I taką służyć.

Problem rozwiązał Jasiek, który oznajmił, że dla niego oprawić świnię to tyle, co nic. Jeśli otrzyma zapłatę, może bić psiajuchy choćby do rana. Rozwiązawszy w ten sposób kwestię masarza, Danką z Zosią najpierw asystowały przy pakowaniu zwierzęcia do wózka, a potem wytłumaczyły Jaśkowi, gdzie odbędzie się rzeź. Kiedy zniknął za rogiem, pomknęły na Sienkiewicza, na postój taksówek.

Brat Kachny w roli ślepego narzędzia sprawdził się doskonale.

Niby średnio rozgarnięty, ale kiedy poczuł pieniądze, garnał się do wszystkiego. Od razu pojął, że świnia występuje

w charakterze niespodzianki, przy czym z jakichś tajemniczych powodów nie wolno mu było zdradzić, kto ją podrzuca. A najlepiej, gdyby utrzymywał, że terminuje u rzeźnika.

Tak też zrobił.

Jego nowe chlebobawczynie schowały się za budynkiem, on zaś załomotał do wskazanych drzwi i czekał. Otworzyła mu chuda kobieta z opadającym na czoło łokiem w kolorze mokrej dykty. Twarz również miała poźółkłą, ciemną i nieświeżą. Za to oczami mogłaby wykonywać na umowę-zlecenie odwierty ropy naftowej. Prześwidrowała Jaśka spojrzeniem i mało uprzejmie warknęła:

– Nijakiej jałmużny tu nie dają. Próżno prosić.

Kiedy wytłumaczył, że w ramach promocji dostarcza tuczniki do losowo wybranych mieszkańców i jednocześnie zapewnił, że może sprawić świnę na miejscu, kobieta aż podskoczyła z uciechy. Upewniwszy się, że promocja nie będzie jej kosztować ani grosza, z szybkością błyskawicy otworzyła bramę. I chociaż ona przekonała się do świni, świnia do niej niekoniecznie. Potrząsnęła różowymi uszami, chrumknęła kilka razy w oburzeniu i wykorzystując chwilę nieuwagi, dopadła grządek z kwiatami.

Danka z Zosią obserwowały scenę pogoni tylko przez kwadrans, potem im się znudziło. A że do dwudziestej pierwszej zostało trochę czasu, wróciły do Dębu i przygotowały się na wieczór. Zosia założyła sukienkę, w której lansowała się na raucie, Danka przywdziała jej chomątowaty wór. Wyglądał średnio atrakcyjnie, ale dawał swobodę ruchów i nie było potrzeby zadzierania go do góry. Cegłę zabrała na wszelki wypadek, butelkę z miksturą zapakowała do torebki siostry.

Były gotowe.

Całe szczęście, że pod dom Oskarka postanowiły dotrzeć osobno, bo gorliwy amant czekał już na Poniatowskiego. Wypachniony tak, że oparami spokojnie można się było wstawić.

– Zosiu, co za wspianiały wieczór. W końcu sami – bełkotał, prowadząc ją w kierunku kamieniczki. Pod bramą przykucnął, zajrzał na podwórko i widząc, że droga wolna, pospiesznie

otworzył drzwi.

Tak Zosia znalazła się w paszczy lwa.

Paszczka wyglądała bardzo podobnie do tego, co już знаła. Obszerny hol z rzeźbami po obu stronach wielkiego lustra, wysmakowana boazeria, kilka modnych bibelotów, krzesełek i schody na piętro, dokąd Oskar wabił ją właśnie z idiotycznym uśmiechem na ustach. Pokazywał przy tym na migi, żeby była cicho, a sam przemykał pod ścianami niczym mysz do spiżarni. Cichutko i bezwonnje. Pewnie bał się mamusi, czy tam gospodyni. Jak zwał, tak zwał, ale widok Oskarka spłaszczony i malutkiego zdecydowanie poprawił Zosi humor.

Kiedy znaleźli się w gabinecie pana domu, od razu wystartowała z miksturą, bo przecież nie wiedziała, po jakim czasie to paskudztwo zacznie działać.

– Mam dla nas coś specjalnego – zakwiliła, stawiając na stole butelkę. – Sama... zbierałam składniki.

Oskar nie był aż tak głupi, żeby nie rozumieć, że odmowa znaczyłaby zranienie kobiecej dumy. Poza tym oczami zwyrodniałej wyobraźni widział już Zosię jako przasną zielareczkę, która bladym świtem zbiera rosę z roślin, rośliny wskakują do jej kusego fartuszka, fartuszek...

Westchnął upojony wizją i przygotował kieliszki.

– Naleweczka? Domowej roboty? Bardzo dobry pomysł! Jak mniemam, zaostry nam apetyt.

Zosia, mile zaskoczona, już chciała spytać, czy przyrządził uroczystą kolację, ale szybko zorientowała się, że sama miała wystąpić w charakterze dania głównego: przez uchylone drzwi zajrzała ukradkiem do sypialni. Zapalone świece mówiły, że jej właściciel już przewidział finał wieczoru, a ich ilość spokojnie starczyłaby na udekorowanie sporego kościoła w Święto Matki Boskiej Gromnicznej.

Widząc to, Zosia niemal usłyszała w głowie uroczyste „Amen” i poczuła, że ze zdenerwowania zaczynają jej się trząść ręce. Nie skąpiła więc zabiegów, żeby Oskar wlał w siebie możliwie jak najwięcej alkoholu. Swoimi porcjami częstowała stojącego przy wersalce kwiatka i czekała, aż w końcu zacznie się coś dziać.

Bo jak długo można być trzeźwym?!

Robiło się coraz ciemniej i pałętającej się wokół domu Dance należało wreszcie otworzyć okno.

– Bardzo cię przepraszam, ale muszę przypudrować noskę – oświadczyła grzecznie, ale stanowczo, i ruszyła w stronę drzwi, na co Oskar łamiącym głosem poprosił, żeby nie wchodziła na piętro ani nie zaglądała na parter.

Co za pomysł. Znała rozkład willi i wcale nie zamierzała ryzykować spotkania z teściową, a Danka ćwiczyła wspinaczkę tylko na wysokość pierwszego piętra.

Jednak już w korytarzu Zosia usłyszała przeraźliwy kwik.

Nie nasuwał co prawda skojarzeń ze świniobiciem, ale zaniepokojona zajrzała do sąsiedniego pokoju i dopadła okna. W ogrodzie szalała świnia, choć bardziej precyzyjne byłoby stwierdzenie, że szalała teściowa z Jaśkiem, którzy na zmianę usiłowali zagonić zwierzę do szopy, a świnia, jak każde stworzenie wyposażone w instynkt samozachowawczy, chciała uniknąć kontaktu z wariatami. Normalna sprawa.

Scenkę zza latarni obserwowała również Danka, która może i nie przepadała za yorkami, ale widocznie różowe śwynie bardziej chwyciły ją za serce, bo najwyraźniej rozważała, czy nie zainterweniować. W końcu jednak zrozumiała, że nieszczęście trzody chlewnej może się przełożyć na powodzenie włamania (do domu mógł się teraz wpakować niepostrzeżenie choćby pułk piechoty), a wtedy Zosia usłyszała za plecami czyjeś ciche kroki i okrzyk:

– Mam cię!

Perfumy tego błazna z naprzeciwka Mirek wyczuł swoim wrażliwym nosem zaledwie po kwadransie – tyle trwały spacerzy Oskara pod jego oknami. Wkrótce wyszło na jaw, dla kogo to wypomadowanie i elegancja, bo na Poniatowskiego pojawiła się Zosia. Niestety w wieczorowej sukience znowu wyglądała zjawiskowo.

Noc, kobieta i mężczyzna.

Z połączenia A i B wyszło Mirkowi bardzo wyuzdane C, więc chociaż wybiła dwudziesta pierwsza, zamknął Goliata w sypialni i postanowił, że trzeba działać. Nie bardzo wiedział, co to oznacza w praktyce, bo nie mógł przecież wpaść do sąsiedniego domu przez komin, ale kiedy z energią trzasnęła furtką, drzwi willi uchyliły się i stanęła w nich Edyta. Nie zważając, że na podwórku trwa jakaś gonitwa (czyżby słyszał pokwikiwania świni?), jego była wykonała znaczący gest.

Dopiero teraz skojarzył, że przy wzmiance o masażu wyskoczyła z jakimś odstręczającym sam na sam. Ale jakie sam na sam, skoro przed chwilą jej małżonek przyprowadził sobie...

Panienkę?

Tak, Zosia była tutaj panienką, ale tamten ulizaniec był w pokrętnym sensie jej mężem, a wiadomo, że pewne okoliczności wpływają na skrócenie dystansu. Poza tym Oskarek aż kipiał od nadmiaru białka w organizmie. Patrzył na Zosię tak obleśnym spojrzeniem, że Mirka zalewała falą wściekłości. Jeśli może znaleźć się w TYM domu, symulując zainteresowanie Edytą, proszę bardzo.

Edyta stała w holu, omotana jakąś pseudoponętą koszuliną z fruującymi wokół szyi sznurkami, dzięki czemu szybko wyrobił sobie opinię na temat bielizny dwudziestolecia. Pantalony i gorsety – fajnie, ale nie potrafił pozbyć się wrażenia, że zwiedza wystawę scenografii i ktoś tu grubo przesadził z ceną biletu.

Jego niby powabna była położyła palec na ustach i ruszyła bezszelestnie schodami.

– Oto i moje królestwo – zakomunikowała, wciskając Mirka do pomieszczenia, które przypominało buduar w Muzeum Historii Katowic.

Kanapa, stolik do kawy, a dalej toaletka, szafa z lustrem i wielkie łoże. I to łoże: upstrzone poduszkami, poduszczkami i piernatami, a każdy z pościelowych duperansów w różanej słodyczy i koronkach, tak go przeraziło, że mało taktownie wspomniał o mężu.

– Oskar? Nie kłopotz się tym, mój drogi. Noce spędzamy osobno. Nie zaskoczy nas, byleby nie było za głośno.

Pewnie, wykrzyczy całemu światu, że dał się zwabić do ciemnego pokoju babie w pantalonach.

– Przygotuj tu... wszystko, skorzystam z toalety – postanowił grać na zwłokę i wyslizgnął się na korytarz.

Obszedł pokoje na piętrze, co pozwoliło mu zrozumieć, dlaczego dwie potajemne schadzki w tym samym czasie i w tym samym domu są możliwe. Małżonkowie zajmowali osobne piętra, a ściany, porządne przedwojenne budownictwo, głośzyły niejedną dźwięk. Swoją drogą, ciekawy układ. Ulizaniec i Edyta niby mieszkali razem, ale faktycznie wyglądało na to, że nie mieli ze sobą zbyt wiele wspólnego. Chyba że działała tu międzywojenna obyczajowość dopuszczająca związki dla posagu.

Nie zajmując sobie dłużej głowy nie swoimi sprawami, Mirek zszedł ostrożnie piętro niżej, a wtedy kwik, który dolatywał z podwórka, stał się o wiele bardziej wyraźny. I wtedy w oknie zobaczył sylwetkę Zosi.

Jej poza eksponowała miłe oku kobiece wygięcia i dla samej przyjemności patrzenia powstały tak dłużej, ale znał Edytę. Za chwilę przyleci tu z kazaniem noworocznym. Nie zostało im zbyt dużo czasu.

– Mam cię! – powiedział półgłosem, ujmując Zosię za ramiona, ale i tak się przestraszyła.

Drgnęła nerwowo i wstrzymała oddech.

– Mireczku! Mędrzycki, głupku jeden...

– Czy przeliczałaś kiedyś, jaką wartość w kilokaloriach mają twoje słodkie usta? – zamruczał, bo bliskość Zosi wpływała na niego deprymująco.

W dodatku z ogrodu pełnego bzów dobiegał upajający zapach, kwiczenie ustało, a napięcie związane z groźbą pojawienia się Edyty dodało sytuacji pikanterii. Zdecydował się.

Wreszcie ją pocałował.

Wreszcie, bo od zawsze miał ochotę sprawdzić, czy te pełne usta są miękkie w dotyku. Bariery czasowe zostały pokonane, bariery zawodowe również. Zosia pozbawiona katedry i notatek, Zosia lekko zadyszana to był naprawdę cieszący oko

i ciało widok.

– Wykorzystujesz sytuację – wyzipała mu do ucha, ale nie słychać było w tym żadnej pretensji.

– Wykorzystuję kobietę.

– A... Edyta?

– Cała i niewykorzystana.

– To ona tutaj jest?!

Mirek wyjaśnił intrygę małżonków i nawiązując do intryg w ogóle, zapytał o złoto. Bez krążenia wokół tematu, bez ciągnięcia za język – przynajmniej w przenośni. Podejrzenie, że znowu trafił na finansową modliszkę, nie dawało mu spokoju. Musiał wiedzieć.

– Złoto? – powtórzyła lekceważąco Zosia i samo to wystarczyło, żeby ją uściskać. – Przyjęłam twój zakład nie dla złota, po prostu chciałam ci coś udowodnić. Złoto mnie nie interesuje. Za to moją siostrę wręcz przeciwnie. Parcie ma takie, że ostry dyżur na urologii to mało.

Następnie Mirek w telegraficznym skrócie usłyszał historię Louisa Diebla, który okazał się krewnym Habów, a przede wszystkim dowiedział się, jak doszło do tego straszego nieporozumienia z materialistyczną wizją świata. Feralnego dnia Zosia zakazała mówić o Dieblu nie z chęci zawładnięcia złotem, ale z powodu siostry, którą chciała trzymać z daleka od wszelkich informacji o niechlubnym przodku.

I pomyśleć, że tyle czasu zmarnowali.

– Słuchaj, mnie też nie zależy na żadnym złocie – zapewnił uszczęśliwiony. – Żebyś nie myślała, że ze mnie jest jakiś Moszek. Czy inny Żyd.

– Też znasz Moszka?!

Nie do wiary, zamienili zaledwie kilka zdań, a od razu wyszła na jaw kolejna afera. Moszek, skurkowaniec, grał na dwa fronty, a oni dali się podejść.

– Mireczku, działajmy razem – wyszeptała na koniec Zosia i chociaż Mirek wiedział, że słowo „razem” oznacza pewnie tylko zwykłą spółkę, powtarzał je sobie, odmierzając w myślach odległość spółki od spółkowania.

– Poczekaj tutaj – usłyszał obiecujący szept. – Jeśli zaraz nie

wrócę, spotkamy się za kwadrans.

Zosia przemknęła do drzwi, ale męczarnie oczekiwania zostały mu oszczędzone – wróciła po kilku chwilach, niosąc w dłoniach rzeźbioną buteleczkę.

– Dasz to Edycie. Wypije tego trochę i zaśnie.

– Środek nasenny?

– Yyy... Nalewka. Ale działa tak samo. Oskar wypił osiem kieliszków i śpi jak zabity.

Ledwie przejął od Zosi butelkę, pod oknem usłyszał szczeknięcie, a na schodach znajomy syk i ten ostatni dźwięk o wiele bardziej przemówił mu do wyobraźni.

Nadciągała Edyta.

Kiedy wisi się uczepioną parapetu, w dodatku dwa metry nad ziemią, podsłuchiwanie przestaje być czynnością przyjemną, choć ekscytujące bywa w takich okolicznościach podwójnie. Danka zdążyłaby już dwa razy wejść i zejść po kratkach, ale nie chciała przerywać siostrze erotycznego uniesienia. Znalazła solidne podparcie dla stóp, przykleiła się do muru i bardzo liczyła na to, że zapadająca noc stanie się jej sprzymierzeńcem.

Nie uwzględniła jednak faktu, że psi nos działa bez względu na warunki oświetleniowe, więc kiedy czuła rozmowa Zosi i Mirka wreszcie dobiegła końca i można się było wtarabanić do środka, usłyszała pod sobą entuzjastyczne szczeknięcie.

Wystarczyło jedno małe „hau”, by z frustracją stwierdziła, że wolała wcześniejsze kwiki i pochrumkiwania. A właśnie – czyżby rzeź już się dokonała? Niemożliwe. Jasiek wyszedł od teściowej bardzo niezadowolony, zresztą rzeźniczo-masarskie sztuczki jednak trochę trwają. Rozmyślając o niedawnej pogoni na podwórku, Danką ze zdumieniem odnotowała, że czuje ulgę.

Tylko dlaczego przejmowała się świnią?

– Spadaj, pchlarzu – spróbowała przemówić pieskowi do rozsądku, ale szczerze wątpiła, czy misja się powiedzie. – Przestań czekać, bo zleci się tu cała ulica. Rozumiesz? Cicho!

Pies Mirka rozumiał o wiele więcej, niż się Dance wydawało.

To małe serduszko przepelniała szczerą sympatią i przywiązanie do każdego, kogo darzył uczuciem jego pan. A wisząca na budynku dziewczyna pachniała podobnie jak tamta miła pani, która udawała, że nie lubi psów, ale Goliat swoje wiedział. W tym przypadku spotkał się jednak z agresją i najprawdziwszą niechęcią, co było dla niego zupełnie niezrozumiałe. Przysiadł zatem na sterczącym ogonku, zadarł pyszczek i zaczął wyć. Wył tak przejmująco, że nawet osoba preferująca koty czy w ogóle nieprzepadająca za zwierzętami mogła wyczytać z tego lamentu jedno.

Wyjący do księżycy psiak jest bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwy.

Teściowa również musiała dojść do podobnych wniosków, bo drzwi wejściowe zachrobotaly, a potem po ulicy rozszedł się jej niezadowolony głos:

– Krzyż pański dzisiaj z tymi gadzinami. Co znowu?!

Grześ Nawiązka musiał przedyskutować z Mędrusiem bardzo ważną kwestię.

Jadąc autem, jeszcze pamiętał, czego dotyczyła, ale kiedy dotarł na miejsce, myślał już tylko o tym, że wieczór jest nieodpowiednią porą na odwiedzin w Dębie. Zdecydowanie nieodpowiednią. Nie wypada nachodzić nikogo tak późno, a już wizytowanie o takiej godzinie panien mogło ściągnąć na ich głowę jedynie same kłopoty.

Mirka, jak na złość, nie zastał.

Odźwierny poinformował go jednak, że pan wyszedł z domu zaledwie przed kwadrans. Bez płaszcza. I bez żadnych dyspozycji co do kolacji. Służący był tym faktem zniesmaczony i zerkał znacząco na kamieniczkę po drugiej stronie ulicy. Grześ nie bardzo wiedział, co te spojrzenia miały oznaczać, ale kiedy między ich nogami przemknął się Goliat i pobiegł jak po sznurku do sąsiedniego domu, Nawiązka czuł się wręcz w obowiązku zbadać sprawę. Gdyby nie późna godzina, odwiedziłby pod byle pretekstem Beniszewskiego, który

zajmował prawie cały parter, ale poznali już starego na tyle, żeby wiedzieć, że chodził spać bardzo wcześnie.

W roli informatora pozostał więc Nawiazce tylko pies, co okazało się wcale niegłupim rozwiązaniem. Po przecięciu uliczki Goliat przecisnął się przez otwór w ogrodzeniu i machając ogonem, pobiegł do bocznej ściany budynku. Sumiennie ją obsikał i chcąc oznajmić swoje przybycie, z zapalem kilka razy zaszczekał. Potem dla odmiany zaczął przejmująco wyć.

Zaalarmowany Grześ przestraszył się nie na żarty.

Goliat był stworzeniem wesołym i bardzo przywiązanym do swojego pana. Jeśli wydawał z siebie tak żałosne dźwięki, mogło to oznaczać tylko jedno.

Mędrusiowi groziło niebezpieczeństwo.

Nawiazka zwarł się więc w sobie i chyżo skoczył w górę ulicy, skąd miał widok na całą posesję. I właśnie stamtąd dostrzegł rozplaszczone na elewacji biuściaste zjawisko, które usiłowało wejść przez okno, ale najwyraźniej jeden z pantofelków utknął między kratkami.

Ratować!

Pielęgnować, całować i inne takie... Grześ, bynajmniej nie ułomek, poczuł naraz moc tak wielką, że spokojnie wzniosłby się na wysokość pierwszego piętra samą tylko siłą woli. Ale zanim do tego doszło, musiał stawić czoło gosposi Beniszewskiego, która potrafiła sprowadzić na ziemię nie tylko korpulentnego Nawiazkę, ale i Boeinga 787.

– Krzyż pański dzisiaj z tymi gadzinami. Co znowu?! – usłyszał od frontu i bojąc się, że gospodyni pobiegnie na tyły domostwa, czym prędzej ruszył do furtki.

– Dobry wieczór – zagadał zdenerwowany, choć starał się niczego po sobie nie pokazać. – Przepraszam, że kłopotczę. Mój piesek wszedł do pani ogrodu.

– Jak: wszedł? – Gosposia posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

– Wślizgnął się przez dziurę.

– Przez jaką dziurę? Tu jest porządny dom, co pan?

– Szanowna pani zapewne ma rację, chociaż... – Nawiazka czuł, że zaczyna pleść głupoty, ale to wszystko z nerwów, bo

gospodyni jak na złość zamknęła drzwi i wyszła na podwórko. – O czym ja to...? – mamrotał skonfundowany. – Ogrodzenie. Tak jest, ogrodzenie. Prześlizgnął się przez dziu... A może po prostu przeskoczył mur? To niebezpieczne zwierzę. I wyjątkowo sprytne. Wabi się Goliat. Jego ojciec był najprawdziwszym... tego... wilkiem. Się wie! To po nim ma ten gardłowy głos. A jak potrafi charczeć, musiałyby go pani usłyszeć!

Gospodyni jakby się złąła.

– Wilk? – Niby nie dowierzała, ale zaprosiła Nawiązkę do ogródka. – Skoro wilk, to co pan stoisz jak przyklejony? Leć, łap go pan.

Nawiązce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ominął gospodynię szerokim łukiem i na tyle, na ile pozwalał mu pękaty brzusek, pokłusował przed siebie, choć zdążył jeszcze wydać groźnie brzmiącą komendę:

– Proszę się nie ruszać, a najlepiej, jak się pani gdzieś skryje. To nie są żarty!

Na szczęście sytuacja z boku budynku nie uległa zmianie na gorsze, choć nie można powiedzieć, żeby napawała optymizmem.

Goliat nadawał do księżycy, a panna Danusia walczyła z wciśniętym między kraty butem. Na widok Nawiązki niemal się rozpromieniła, co miało decydujący wpływ na przebieg wydarzeń. Zmotywowany w ten sposób Grześ zdołał bowiem wspiąć się na konstrukcję i po krótkiej chwili kobieta jego marzeń była wolna. Tak go to ucieszyło, że żadne trzeźwe myśli nie miały do niego dostępu. Owszem, niektórzy wolą wchodzić do domu tradycyjnym sposobem, ale co z tego? Wszystko, co wiązało się z panną Danusią, mieniło się złotem albo błyskało karatami i stawianie niedyskretnych pytań było po prostu nie na miejscu.

Teraz pozostawało zająć się wilkiem.

– Co, bracie? – Przykucnął. – Gdzie jest Mędrus?

Goliat zrozumiał.

Zamilkł na chwilę, a potem przyjaźnie szczechnął i pomachał ogonem. Kiedy jednak w oknie pojawiła się głowa panny Danusi, rozpoczął swój koncert od nowa. Wył i wył, aż

zropaczony Nawiązka gotów był mu już brutalnie zakryć pysk (słowa perswazji nie pomagały), kiedy z góry usłyszeli:

– Goliat, czatuj!

Panna Danusia musiała wypowiedzieć jakieś czarodziejskie zaklęcie, bo psiak w jednej chwili zamienił się ze skowyczącego wilka w potulnego baranka.

I wtedy nadciągnęła gospodyni.

Zaniepokojona przedłużającą się wizytą intruzów, nie wytrzymała. Podreptała w ślad za rudzielcem i wyjrzała ostrożnie zza winkła. Na szczęście rozmiar straszliwego zwierzęcia tak nią wstrząsnął, że nie spojrzała na piętro.

– Wilk – mruknęła kpiąco na widok kulki sierści, która z zadowoleniem rozpląszyła się właśnie na chodniku. – No, łyknałby mnie potwór w całości. Mężczyźni i ta ich imaginacja...

Oskar spał jak dziecko.

Chwile, kiedy wzbudzał czułość, należały do rzadkości i Danka musiała przypomnieć siostrze, że śpiący królewicz zapewne tak samo niewinnie prezentował się w ramionach swoich przyjaciółek. Zresztą, patrząc na całusy przyokienne w wykonaniu Mirka, Danką mogła zaświadczyć, że Oskar nigdy nie włożył tyle uczucia w żaden pocałunek. A zaangażowanie asystenta było takiej próby, że gdyby nie okoliczności, różnie mogłyby się te amory skończyć. Zosia unosiła się dwa metry nad ziemią i rozanielenie na jej twarzy zdradzało, że na pewno nie myślała teraz o poszukiwaniu złota.

– Ładnie mnie podsumowałaś w swoim wystąpieniu – wyszeptwała Danką i chcąc się upewnić, że jej niedawny szwagier żyje, kopnęła go z uczuciem w piszczel. Oskar zmienił pozycję i chrapnął potężnie, acz z pretensją. Uspokojona wróciła do rozmowy z siostrą. – Parcie mam takie, że ostry dyżur na urologii to mało? Dziękuję. Wszystko słyszałam.

– A to, że Mirkowi nie chodzi o złoto, też? Bo trochę się martwiłam.

– Mówię, że wszystko. Nawet dawałam ci znaki, ale zamknęłaś oczy.

– Przepraszam. Całowałam się. Namiętnie!

– A ja namiętnie dyndałam pod parapetem. Gdyby nie Nawiązka...

– Skąd Nawiązka?

– Nie wiem skąd, ale czeka na dole. Krąży – stwierdziła Danka, łypiąc zza firanki na ulicę. Uśmiechała się przy tym delikatnie, ale z dziwną troską, jakby przyglądała się dopiero co powitemu dziecięciu, które prosto z porodówki trafiło do inkubatora. Z megazółtaczką.

– Masz satelitę. – Zosia, cała zaróżowiona, zarechotała z uciechą i zaczęła obstawiać, czy i jej trafi się jakiś sputnik. Nie ukrywała, że w roli Łajki najchętniej widziałaby Goliata.

– I dobrze. Zasadniczo bez satelity się nie liczy.

– Że co się nie liczy? – nie zrozumiała Zosia.

– Jeśli facet okazuje uczucie w temperaturze pokojowej, to po kilku latach, kiedy siłą rzeczy miłość lekko więdnie, co zostaje?

– Yyy...

– Właśnie. Doszczętne uwielbienie musi być – zapewniła Danka tonem Lwa Starowicza występującego w Rozmowach w toku. – Jak chcesz opchnąć samochód za cztery tysiące z hakiem, wystawiasz go za pięć, oczywista sprawa. A najlepiej za sześć. Inaczej w ogóle szkoda czasu na rozważanie tematu.

– Rozumiem, że rozważasz, czy Nawiązka...

– Rozważam, czy rozważać. Przecież i tak wszystko wyjdzie w praniu. Ale w jego towarzystwie czuję się niezgorzej. Choć mnie wkurza. Ciekawe, co on tutaj robi? – zastanawiała się, otwierając drzwi do sypialni Oskara. Blask świec dosłownie ją oślepił. – A ten co? Ćwiczenia w terenie przed Zaduszkami? Przeszukajmy pokoje, a potem zejdziemy niżej – zdecydowała.

– Wyżej. Wejdzimy. Chcę na górę – oznajmiła Zosia i kiedy przejrzały już w sypialni każdy kątek, zgodnie z jej życzeniem zakradły się na piętro. Teraz pozostawało namierzyć pokój pani domu.

Tyle że do wyboru miały kilka pomieszczeń.

– Będziemy losować? – Danka stanęła niepewnie pośrodku

korytarza.

Zosia rozmyślała przez chwilę, a potem zbliżała się do drzwi i... po kolei wachała każdą klamkę!

Widząc to, Danka skamieniała z niedowierzania, ale metoda, mimo że wyglądała podejrzanie, okazała się jak najbardziej skuteczna.

– To tu – oznajmiła Zosia. – Czuję perfumy Edyty. Poczekaj, jesteśmy dokładnie nad gabinetem Oskara. Jego pokój ma połączenie z sypialnią, a sypialnia ma osobne wejście. Ciekawe, czy układ się powtarza...

Siostry zaczęły zgodnie nasłuchiwać.

– W gabinecie cisza – zaraportowała Danka. – Wchodzimy?

– A jeśli ona nie śpi?

– Minęło prawie pół godziny. Nawet jeśli nie śpi, i tak średnio kojarzy.

– Mówisz?

Nie bardzo wierząc w to, co robi, Zosia odważyła się i delikatnie nacisnęła klamkę.

– Powinam cię nagrać i wrzucić na YouTube – wyszeptała jej do ucha rozchichotana Danka.

– Ciii...

Pokój tonął w miękkim świetle lampki, co pozwalało stwierdzić, że znajdujące się tu meble podobne są do tych z gabinetu Oskara, choć obrazy i przeróżne drobiazgi od razu mówiły, że ich właścicielką jest kobieta. Po lewej znajdowały się dodatkowe drzwi, skąd dobiegała cicha rozmowa.

– Musisz mi to czekanie wynagrodzić, Mirku – wydukała kapryśnym głosem Edyta i Zosia niemal zobaczyła jej słodką minę à la sarenka zagubiona na bagnach.

– Ehe.

– Bardzo to wyborne. Skąd ta naleweczka?

– Skoczyłem do siebie i przyniosłem. Pomyślałem, że się ucieszysz.

– Jesteś taaaki szarrrrrmaaancki.

– Prawda? Walnij sobie jeszcze jednego, złotko.

– Złotko, hehe. A oni szukają. – Edyta zaśmiała się z satysfakcją. – Chodzą tu różni wokół domu, myślą, że nie

widzę. Ale ja widzę! Nikt mnie nie oszuuuka. Nikt! I nikt nie dostanie mojego złota.

– Na pewno. Jeśli pomyślałaś o zabezpieczeniach. Pomyślałaś? – zapytał niby z troską Mirek.

– Böenisch o wszystko zadbał. Nikt nie odnajdzie złota!

– Tak. To duży dom.

Edyta znowu parsknęła śmiechem i Danka skojarzyła ten nieprzyjemny dźwięk ze spuszczeniem wody w klozecie. Ale teraz powinna myśleć o Edycie z jak największą sympatią. Edyta piła jej naleweczkę, jej wyśmiane serum prawdy i prośbę, kto śmieje się ostatni?

– Nie, Mirku. Dom to bardzo niewłaściwe miejsce.

– Ależ bardzo właściwe. Wystarczy dobrze zamaskowany sejf.

– Mirek w najlepsze podpytywał Edytę o kolejne szczegóły.

– Błędzisz, mój miły. Dom nie. Tu nigdy nie było złota. Tu niedobrze. Niedobrze mi...

– Zwiewamy. – Po charakterystycznym odgłosie dla Danki stało się jasne, że niczego więcej nie usłyszą, więc dała sygnał do odwrotu. Po chwili wróciły na korytarz.

– Czyli mamy jasność – stwierdziła. – Dom odpada. Ale gdzie ta megiera mogła upchnąć złoto?

– Może powiedziała coś, zanim weszliśmy? Zna nazwisko współnika Diebla. Znowu Böenisch. Nie wiem, ale skoro tu nie ma złota i nie musimy przeszukiwać...

– Chcesz zostać? – dokończyła usłudźnie Danką, a Zosia znowu dostała rumieńców.

– Hm, zależy ci na złocie – tłumaczyła nieporadnie. – Mnie zależy na tobie, więc w sumie mogę się poświęcić.

– Jasne, poświęcaj się do woli. Tylko mam nadzieję, że twój asystent odwiezie cię po tym poświęcaniu do domu?

– Na pewno. – Zosia nie wątpiła. – A ty? Jak dostaniesz się do Dębu? Jest późno.

– Mój środek lokomocji czeka – zapewniła Danką, poprawiła zamazyście biust i postanowiła, że tym razem nie skorzysta z okna, ale spróbuje wyjść drzwiami.

Inaczej, podobnie jak Zosia, unosiłaby się dwa metry nad ziemią.

Świnka siedziała tam, gdzie Danką widziała ją po raz ostatni.
W rabarbarze.

Nie pozwalała się zagonić teściowej ani w okolice szopy na narzędzia, ani pod kompostownik, gdzie kumulowały się aromaty zgnilizny i zepsucia, o lepkiem błotku przy śmietniku nie mówiąc. Wokół panowały już rzetelne ciemności i Danką nie mogła tego jeszcze raz sprawdzić, ale była przekonana, że w życiu nie widziała równie różowej świni. Tak samo jak nie spotkała się z równie mądrym spojrzeniem u zwierzęcia, które, ogólnie rzecz biorąc, nie cieszyło się zbyt reputacją intelektualną.

Tak rozmyślając, podparła się pod boki i postąpiła kilka kroków przed siebie, o mało nie lądując przy tej okazji w stokrotkach, ale świnka przyjęła próbę zbliżenia pozytywnie: machnęła głową, zawachlowała niepewnie uszami, ale nie uciekła.

– Czemu ty nie śmierdzisz? – zastanawiała się na głos Danką, a Nawiązka stał przy ogrodzeniu i pilnował, czy nikt nie idzie. Odprowadził do domu Goliata i to samo zamierzał uczynić z kobietą rozmawiającą z trzodą chlewną.

Ale rozmowa niepokojąco się przedłużała.

– Owszem, woni fiołków alpejskich i czeremchy nie roztaczasz, ale nosa nie urywa. I co, dobre roślinki? – ucieszyła się, bo zwierzę w końcu podniosło zadek i zaczęło rozkopywać grządkę. – Jesteś prawdziwą czystością. Wiem! Dosia, pasuje do ciebie Dosia. Może być?

– Panno Danusiu, tak nie można – ponaglił Grześ. – Czas się stąd zbierać.

– A ona? – odchrzyknęła na tyle głośno, że spłoszony rudzielec położył palec na ustach i mało taktownie syknął.

– Będzie z niej wyborne pieczyste. Panno Danusiu, błagam...

– Co?! Pieczyste? Po moim trupie. Dosia idzie z nami. Wymyśl coś. Właśnie. I od teraz zaczynamy się spoufalać. Mówisz do mnie po imieniu i kropka, już mam dosyć panien.

A już stara panna brzmi po prostu jak obelga, nie sądzisz? Chociaż singielka, sponsoring i SMS-y w sumie niczego nie zmieniają – paplała, odreagowując stres. W końcu jeszcze przed chwilą wisiała pod parapetem i zakradała się do cudzego domu. A że jej rozmówca za wiele z tego monologu nie rozumiał... – Call girl jest damą lekkich obyczajów czy ją ktoś nazwie swojsko dziwka czy...

Nie dokończyła. Grześ po ostatnim, mało eleganckim, słowie złapał się bogobojnie za czuprynę i jęknął. Ale Danka powiązała to ze światłem, które rozbłysło w oknie od strony ogródka; jej zdaniem byli jednak bezpieczni.

– Nie da się jej przenieść?

– Kogo?!

– Dosi.

– Panno...

– Mów mi na ty.

– No co ty! – wyrwało się Nawiązce, który miał uroczo przestarzałą definicję szacunku do płci przeciwnej.

– Bardzo dobrze. O to chodzi. Ty! Wracając do sedna... Gdybyśmy zrobili jakąś dźwignię, nie wiem, może z paska od spodni, pończoch czy czego tam jeszcze... Nie? – zapytała raczej dla draki, bo po dźwiękach dobiegających zza ogrodzenia od razu pojęła, że jej wizje nie doczekają się tym razem realizacji. Poza tym przecież świnia swoje ważyła. Wiadomo.

Jednak wprawianie Nawiązki w osłupienie sprawiało Dance dziką przyjemność.

– Stoisz sobie w ciemności, nie widzę twojej twarzy, ale wiem, że mnie potępiasz – zapewniła. – Już nawet nie mówię o Dosi, tylko w ogóle. Dziwnie się zachowuję, dziwnie mówię... Ale ty nie znasz kontekstu, Grzesiu. Bo widzisz... – tłumaczyła cierpliwie. – Co byś powiedział, gdyby się okazało, że podróże w czasie są jednak możliwe? Po prostu obalasz wino na peronie piątym i...

– Zrobię podkop! – przerwał jej z determinacją Grześ, widocznie naprawdę uznał, że jest pomyłona. – Uczynię wszystko, jeśli tylko obiecasz, że stąd pójdziemy.

Prawda, Nawiązkę zapewne tak samo szokowała kobieta

z butelką jak kobieta za kółkiem. A wino na peronie musiało mu się wydawać nietaktem nawet w wykonaniu mężczyzny.

Wzruszające.

– Podkop? – Danka połknęła haczyk i przez chwilę rozważała techniczny aspekt przedsięwzięcia. W końcu stwierdziła, że przepychanie świni pod ogrodzeniem wydaje się bardziej realne niż przerzucanie tony sadelka górą. – Podkop! A wiesz, że to całkiem niezłe brzmi? Tylko skąd weźmiesz sprzęt?

Nawiązka wiedział, że świnia mu się nie piecze.

I albo wykaże się inicjatywą, albo jego nadzieje pozostaną w sferze marzeń. Marzyć lubił, ale osoba Danusi była wreszcie rozkosznie namacalna, a fantazje o macaniu są dużo mniej satysfakcjonujące niż ich spełnianie. Fakt, że najpierw czeka go czule tête-à-tête ze zwierzęciem gospodarskim, wcale go nie martwił.

Zakasał rękawy.

– Znajdę coś w szopie – stwierdził i wgramolił się na ogrodzenie.

Po półgodzinie ledwie zipsał z wysiłku, jednak podkop był już takich rozmiarów, że spokojnie zmieściłaby się w nim nie tylko świnia, ale i spory hipopotam. Wbrew obawom nakłonienie świni do przeczłoganiania się tunelem również poszło gładko. Może rozumiała, że nic dobrego jej tutaj nie czeka? A może po prostu przepadała za rabarbarem? W każdym razie, kiedy Danka urwała kilka liści i zachęcająco nimi pomachała, zwierzę zanurkowało pod ogrodzeniem i po kilku niezadowolonych chrumknięciach stanęło na ulicy.

I tu się okazało, że auto jako środek lokomocji odpada.

Transport publiczny również.

– Noc jest piękna i ciepła. – Nawiązka zaszurał w gotowości butami. – Osobiście miałbym ochotę się przejść. A... Dosia?

Za Dosię rudzielec otrzymał buziaka i odtąd prowadził świnie na sznurku z taką dumą, jakby defilował z dogiem niemieckim na wystawie psów rasowych. Wyglądał przy tym na kogoś, kto postanowił, że już nigdy nie weźmie do ust wieprzowiny.

– Idzie z nami, oczywiście. – Danka posłała Nawiązce czule spojrzenie. – Pani Beczka ma chlewik, będzie jej tam dobrze.

– Chlewik? Ale uprzedzam, do Dębu jest parę kilometrów. Panna... Dasz radę?

– Co mam nie dać, jak dam? Noc jest piękna i ciepła...

Zosia z Mirkiem wymknęli się z domu Oskara, a kiedy stanęli pod sąsiednią willą, oboje poczuli się skrępowani. Zosia nigdy nie zaczynała bliższej znajomości od nagłych zbliżeń, Mirek nie był w stanie myśleć o niczym innym, ale wściekle się bał. Lista obaw była dość obszerna, kończył ją zwykły lęk przed tym, żeby niczego nie zepsuć.

Zamiast własnej sypialni zaproponował więc spacer.

– Coś ci bąbluje – oznajmiła Zosia, nadstawiając ucha.

Siedzieli właśnie na ławce pod jakimś drzewkiem, które słało w atmosferę zadziwiająco słodki zapach. A może zapach należał do Zosi? Mirek zaciągnął się z rozkoszą i, nie wiedząc kiedy, siedział już przy swojej koleżance. Dosłownie w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie wpackować nosa w jej włosy, choć pewność zyskał już dawno.

Pachniała delikatnie, ale pysznie.

Jakby cała skapała się w szamponie owocowym.

Było to o tyle ważne, że jego nos w temacie feromonów i doboru naturalnego jeszcze go nie zawiódł. No, chyba że chodziło o Edytę.

– Co mi... Co?!

– Bąbluje ci. – Zosia, oblana światłem księżyca, bynajmniej nie patrzyła ciełym wzrokiem i jeśli przed chwilą nieco się obawiał, że będzie oczekiwała romantycznych dyskusji o pyłku na skrzydłach motyla, to teraz odetchnął z ulgą.

– Ale gdzie?!

– Może w śledzionie. – Popukała go po brzuchu i nie wytrzymał. Parsknął śmiechem. – Albo w jelicie. Grubym albo cienkim – ciągnęła niezrażona. – Skąd mam wiedzieć gdzie? Ale ci bąbluje. O, znowu!

– Nie wiesz gdzie? Miło słyszeć. Cieszę się, że wciąż jestem dla ciebie zagadką.

– A... czy można być zagadką, kiedy jedno wie, że drugie... bardzo? I że jej... mu... zależy i tego nie ukrywa?

– Po co ukrywać?

– A chcesz mnie mieć we własnej lodówce? – dokończyła żałośnie i w końcu zrozumiał.

Coś ją gryzło.

Ale o ile on swój rozwód w zasadzie wysikał (po tygodniu spożywania w barze rozlicznych płynów długo nie mógł wyjść z łazienki), po Zosi jeszcze się plątało, jeszcze tym żyła. Nagle pożałował, że nie dorwał Oskarka w ciemnej ulicy. I pomyśleć, że miał ulizańca na wyciągnięcie pięści.

– Jakieś mięsko w lodówce by się przydało – zazartował, ale widząc, że Zosi wcale nie jest do śmiechu, przygarnął ją do siebie i wyraził swoją akceptację.

Niewerbalnie.

Na chwilę pomogło, ale zachowywała się inaczej niż w pokoju pod oknem.

Opierała się.

Niby delikatnie, ale opór w miarę rozwoju miłosnych wypadków rósł, zamiast maleć, co w efekcie skutecznie ostudziło jego zapalały. Zasugerował więc rundkę wzdłuż Poniatowskiego. Na pożegnanie ustalili, że jutro w południe znowu spróbują przenosić w czasie, i po prostu odwiózł ją do domu. I dopiero wtedy zaczął trzeźwo myśleć.

Od razu przyszedł mu do głowy Böenisch.

Zamierzał powiedzieć siostrze, że Edyta schowała złoto gdzieś poza domem, ale jego myśli krążyły wokół zupełnie innych spraw, zresztą Zosia sama mówiła, że złoto jej nie interesuje. Jej nie. Ale Dankę interesowało bardzo, a że Mirek czuł do postrzelonej muzealniczki sympatię, postanowił wyjaśnić tego Böenisch. Dysponował przecież folderem opatrzonym jego nazwiskiem. Gdyby przeprowadził małe śledztwo i przedstawił Dance rezultat, zyskałby sojusznika.

Bo z Zosią coś się działo.

Danka również nie spędziła całej nocy na amorach, bo wróciła na Królewsko-Hucką zaledwie godzinę po Zosi. Całe szczęście. Zosia była tak napęczniała od żalu i złości, że nie potrafiła zasnąć. Przekręcała się z boku na bok i na zmianę to usprawiedliwiała Mirka, to go obwiniała.

– Nie powiedział mi! – rzuciła, kiedy tylko Danka weszła do pokoju.

– Świnia – oznajmiła w tej samej chwili jej siostra.

– Pewnie, że świnia. A tak się zarzekał.

– Nie tu świnia. Tam! – Danka pokazała na podwórko.

– Przyprowadziłaś go? W środku nocy? Po co?!

– Jakiego go? Przyprowadziłam świnię. Tę od teściowej. Upchnęliśmy ją z Grzesiem w chlewiku. Nie mogłam przecież pozwolić, żeby ją zaszlachtowali. Zaszlachtować, co za słowo... Szliśmy pieszo. Chyba z dziesięć kilometrów ze świnią na smyczy, masz pojęcie? – Danka wciąż była podekscytowana. Rzuciła się na łóżko i masowała zboląły kręgosłup, ale nie przestawała nadawać. – Przeciętny facet dostaje drgawek, jeśli na chwilę weźmie od kobiety torebkę, a co dopiero świnię. Nawiazka ma klasę. Naprawdę. I jakie sprawdzanie biustu w praktyce? Coś ty! Mogę go sobie co najwyżej pougniatać. Sama. Na pożegnanie pocałował mnie w rękę. – Potrząsnęła kończyną, a później zaczęła ją zawzięcie obcałowywać. – Rozumiesz to? On mnie SZANUJE.

– Gratuluję. Przestań się ślinić z łaski swojej.

– Pocałował mnie w rękę – powtarzała z rozczuleniem Danka.

– Dlaczego już się tego nie robi?

– Bo to niehigieniczne? Wolę usta. Mędrzycki nieźle całuje.

– Mów, co przeskrobał. – Danka wreszcie oprzytomniała, choć nie do końca. Nadal rozplýwała się w uśmiechu. – Dlaczego świnia?

– Zataił, że Edyta ukryła złoto poza domem. Nie powiedział mi.

– Od razu zataił. A innych możliwości nie ma? Zapomniał, zajął się rozmową...

– Dlaczego ja wciąż muszę kogoś tłumaczyć?! – Zosia znowu się uniosła. – Z Oskarem tak samo. Latami tworzyłam historie,

żeby go usprawiedliwić. I po co?

– Właśnie o to chodzi. Nie twórz historii... Zapytaj go. Mędrzyckiego w sensie.

– Chyba żartujesz? Dałam mu do zrozumienia, że mnie zawiódł. Wystarczy.

– Do zrozumienia! – Danka parsknęła śmiechem. – Facet to jest prosty mechanizm. Jedna wajcha do wszystkiego. Na pewno są sytuacje, kiedy trzeba zmuszać do myślenia, i do zmuszania jestem pierwsza, ale jeśli wystarczy zwykłe pytanie, po się przemęczać? Trochę zarządzania energią jednak.

– Dobra – skapitulowała Zosia. – Zapytam, jak siostra każe. Jutro będę mieć okazję, bo jesteśmy umówieni na peronie. Znowu będziemy grzebać w czasie.

– A wino?

– Już odebrał. Czerwone. Rok ten sam, tak że szanse średnie.

Danka przytuliła policzek do dłoni i westchnęła, na nowo rozmarzona:

– Nie zasnę.

– Ja też nie. Jestem zła, muszę się czymś zająć. A właśnie, chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej o Böenischu – stwierdziła Zosia. – Ciągle się zastanawiam, skąd Edyta o nim wie, i jakim cudem złoto trafiło w jej ręce. Odpalamy laptopa?

– Nie potrzebuję komputera, wszystko mam tu. – Danka pokiwała małym palcem.

Ze względu na pracę potrafiła w jednej chwili przenieść się myślami do dowolnej epoki, ale Zosi nie przychodziło to z taką łatwością, więc postanowiła jej pomóc.

– Ale już włączam, trochę ci poczytam. Czyli podsumujmy – zaczęła. – Nasz Diebel przyjechał do Katowic ze współnikiem. Böenischem. W roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym stryjek został burmistrzem, cztery lata później okradł kasę miejską i zwiął do Stanów, a jego kumpel został na miejscu.

– Ze złotem.

– Ze złotem. Z którego na razie nie mógł korzystać. To już ustaliłyśmy. Böenisch, Böenisch – mruzczała Danką, czekając, aż na pulpicie pojawią się znajome ikony. – Wiesz, że nie ustaliłam jeszcze jego imienia? W opracowaniach podaje się co

najwyżej pierwszą literę. L.

– Przyjechał ze współnikiem i co? – ponagłała Zosia.

– Bez nerwów. L. Böenisch, mistrz murarski – powtórzyła w skupieniu Danka. – Ale nie należy tego mylić z naszym budowląncem. Dawniej mistrz murarski to był ktoś. Człowiek wykształcony, może nawet artysta? Coś jak połączenie architekta i budowniczego katedr.

– Rozmawiamy o Dieblu, a nie o Bizancjum i jego wpływie na kształt parapetów. – Zosia ceniła wiedzę siostry, ale Danka powoli zaczynała łapać wiatr w żagle, co mogło skutkować całonocnym wykładem. – Może jednak przejdź do sedna.

– Ignorantka... Zmierzam do tego, że Diebel był burmistrzem, ale i Böenisch miał się niezgorzej. Nasz mistrzuniu był też radnym, a później podskarbin. Słowem, panowie nieźle się ustawili. Razem kradli i pewnie też razem ukryli złoto.

– Tylko gdzie?

– Poczekaj, zainstalowałam Panoramę Firm, zaraz ci podam adresik – zachnęła się Danka. – Nie wiem gdzie. Ale na pewno to było miejsce, do którego obaj mieli swobodny dostęp. Żeby jeden mógł drugiego pilnować.

– Swobodny dostęp. Coś jak biblioteka? – podsunęła Zosia.

– Mniej więcej. Myślałam nawet nad domem Diebla, ale nigdzie nie ma o takiej budowlu nawet wzmianki. Dziwne, bo wszystkie tamtejsze VIP-y miały wypasione chaty, głównie na Warszawskiej.

– To może w ratuszu? Bo chyba Diebel musiał gdzieś pracować?

– Na początku urzędnicy wynajmowali pokoje w prywatnej kamienicy i pewnie Diebel też tam mieszkał, bo gdzieś przecież musiał. Ale tych biur magistratu trochę było, ciągle się przenosili, spotykali w różnych dziwnych miejscach, jak choćby w hotelowych restauracjach, więc wątpię.

Zosia westchnęła i okryła się szczelnie kołdrą.

– Tak sobie myślę, że skoro Böenisch był mistrzem murarskim...

– Tak! – Danka podskoczyła nagle na łóżku. – Siostra, ty

masz czasem przebłyski geniuszu. Że też wcześniej na to nie wpadłam. Zamurowali! Czytałam ostatnio o projektowanych przez Böenisch kamienicach. Poczekaj, zaraz znajdę...

– A ile ich było?

– Niby wiadomo o trzech, ale jak na tamte czasy trzy to całkiem sporo. Böenisch zrobił też projekt regulacji Rawy, ale mam nadzieję, że nie wpięprzyli złota do rzeki. – Danka z przejścia poczerwiała. – Jest! Kamienica na rogu Słowackiego i 3 Maja i dwie na Warszawskiej. Pod numerami dziesięć i trzydzieści.

– Stoją do dzisiaj?

– A czemu mają nie stać? Pewnie, że stoją. W naszych czasach również. Dziesiątkę na pewno kojarzysz. To ta naprzeciwko PKO. Zosia! – Danka nabrała powietrza i chwyciła oburącz monitor. – Chyba coś mam. Posłuchaj tego: Warszawska 10. Kamienica mieszkalno-handlowa wzniesiona w 1868 r. jako dom trójkondygnacyjny, neorenesansowy (prawdopodobnie według projektu Böenisch), przebudowana pomiędzy latami 1870 i 1906!

– Przebudowywana?

– Właśnie! W tym roku Diebel uciekł z kasą za ocean – przypomniała Danka i z przejściem zaczęła od nowa przeglądać dokumenty. – To nie może być przypadek. A ta przy Warszawskiej trzydzieści też powstała w tym samym czasie! Dokładnie ten sam rok. Tysiąc osiemset siedemdziesiąty.

– Rozwiązałyśmy zagadkę? – Zosia również poczuła podekscytowanie, choć łatwość, z jaką im to przyszło, nieco ją zdziwiła. – Tak szybko?

– A co? Przecież jesteśmy błyskotliwe.

– Poczekaj, bo czegoś nie rozumiem...

– Czego nie rozumiesz? – Danka cmoknęła niecierpliwie. – Diebel i Böenisch mieli spółkę. Ale może się pokłócili albo podzielili łupem. Nie wiadomo. Zresztą nieważne. Ważne, że Diebel kradnie miejskie pieniądze i zwiewa, a Böenisch zostaje w Katowicach. I nagle dzieją się dwie rzeczy. Przebudowa jednej kamienicy i wybudowanie drugiej. Nie składa ci się to w całość?

– Że niby wspólnie замуrowali złoto najpierw na Warszawskiej dziesięć, a potem się pokłócili i mistrz murarski je przeniósł?

– Z Friedrichstrasse 10 na Friedrichstrasse 30. Da dam!

– Friedrichstrasse? – Zosia zamrugnęła oczami i spojrzała na siostrę, która również intensywnie myślała, po czym rzuciła się do kuferka, skąd pospiesznie wydobyła jedną z czytanych parę dni temu kartek.

– Błyskotliwe! – mruknęła z ironią. – Przecież Diebel napisał ten adres w liście do brata. Jest! U góry po lewej. Trąby jerychońskie...

– Czyli jednak?

– Proszę, czarno na białym. – Danka usiadła i jeszcze raz przebiegła wzrokiem po dokumencie. – „Louis Diebel. Friedrichstrasse 30. Kattowitz”. I w liście:

Ale o nagrodę za lata orki na ugorze sam zadbałem. A Ty rozejrzyj się za jakim mistrzem murarskim, bo może całej rodzinie kamienicę sprawisz, a na mnie poczekaasz i troskę z serca zdejmiesz.

– To brzmi jak wskazówka – zauważyła Zosia.

– Bo to jest wskazówka! Siedząc w areszcie, dowiedział się, że Böenisch stawia kolejny budynek, i dał bratu do zrozumienia, gdzie prawdopodobnie jest nowa skrytka. Nagroda za lata orki na ugorze. W sumie racja, chyba naszego prapraprastryjka rozumiem. Powiem ci, że haruję w tym muzeum i się nie oszczędzam, ale jak patrzę na niektóre obrazy... – Danka nie dokończyła, ale Zosia doskonale wiedziała, co siostra ma na myśli.

– Jednostka patologiczna – mruknęła zgorszona i czym prędzej wróciła do korespondencji. – Teraz przynajmniej wiem po kim. Ale oszczędź mi dalszego ciągu, dobrze? Zajmijmy się listem. Stąd wynika, że Böenisch jednak wykolegował Diebla. I w tajemnicy dorwał się do złota.

– Czyli połowa należy do nas – stwierdziła pospiesznie Danko. – Ale kto kogo wykolegował, tego bym nie rozstrzygała.

Najpierw chyba jednak nie fair zachował się Diebel. A Böenisch pewnie się wkurzył i postanowił wziąć odwet za Amerykę. Dzisiaj się tego nie dowiemy. Ale dowiemy się, gdzie jest złoto.

– Wstała i sprawiała wrażenie, jakby chciała zdjąć pizamę i pędzić do centrum.

– W jaki sposób?

– Pójdziemy do kamienicy i zrobimy mały rekonesans.

– Przecież od tamtych zdarzeń minęło grubo ponad sto lat. – Zosia uznała, że pomysł jest chybiony.

– Jakie sto, ty chyba liczysz od dwa tysiące czternastego. Hello! Minęło tylko sześćdziesiąt. – Danka wzruszyła ramionami. – O której umówiłaś się na peronie?

– O dwunastej, tak jak poprzednio.

– W takim razie zdążymy przed dworcem, tylko musimy wcześniej wstać. Podpytamy jakichś staruszków.

– O co?

– Nie wiem o co. Dorwę kogoś, kto pamięta stare czasy, wtedy mnie olśni. Böenisch nie mógł niczego zamurować w cudzym mieszkaniu. W grę wchodzi strych, piwnica czy spiżarka, coś w ten deseń.

– Ale czy to możliwe, żeby złoto przetrwało tyle lat nienaruszone? – powątpiewała Zosia, choć na własne uszy słyszała, jak Edyta odgrażała się, że nikt nie dostanie jej własności.

Czyli że coś jednak było na rzeczy.

– Możliwe. – Danka nie przyjmowała do wiadomości żadnego pesymistycznego scenariusza. – Od odzyskania niepodległości Niemcy nie mają już na Śląsku tak łatwo. Polacy utrudniają im zdobycie pracy, mieszkania, wszystkiego. Dlatego mnóstwo ich wyjechało. Zostali tylko najwytrwalsi i ci, którzy naprawdę kochają tę ziemię. Albo tacy, którzy mają tu cały majątek i dogadali się z władzami. Cholera wie, jak było z Böenischami. Ale Niemiec kłujący w oczy dobrobytem... Średnio rozsądne. Na ich miejscu bym przeczekała.

– A nasz praprapra? – zapytała Zosia. – Co z nim po tej całej aferze?

– W „Dzienniku Zachodnim” piszą, że Diebel odsiedział

wyrok i jednak wrócił do Stanów. Co by się chyba zgadzało, bo przecież tata mówił, że mamy tam sporo krewnych. Tylko dziwnym trafem nikt nam ich nie przedstawił.

– Tajemnica rodzinna.

– Yhy, nieźle nas ta rodzinka urządziła. Człowiek musi pokonać tyle kilometrów i lat, żeby się czegoś dowiedzieć – westchnęła boleściwie Danka. – Na peron biorę tylko laptopa. Nie zabieram już żadnych toreb i ciężarów, bo pewnie z tego i tak nic nie wyjdzie, a kręgosłup mi się degeneruje od biustu.

– To ja zostawiam kuferek – postanowiła Zosia i zerknęła tęsknie na poduszkę. – Nie wiem, jak ty...

Zasnęły błyskawicznie, a skoro świt obudziła ich pukaniem do drzwi pani Adela. Umazana mąką i zadowolona tak, że śmiała się na niej nawet obfity podbródek.

– Co za stworzenie przemiłe w chlewiku siedzi i skąd, to pojęcia nie mam. Ale już zdążyła z nią w komitywę wejść. Czyściutka, a jaka grzeczna, układna, no cudło! Jak nie świnia, a przecie to maciora najprawdziwsza. I prosić się niedługo będzie, bo małe w brzuchu siedzą. I ja Dankę biegnę pytać, czy prośna świnia to jest dobry znak?

Na śniadanko pani Adela podała sałatkę z czarnej rzepy, śmietanki i koperku. Upiekła również chleb. Ciężki, chrupiący, który nie potrzebował żadnych specjalitesów, najlepiej smakował z masłem. A zapachem wręcz obezwładniał, nic więc dziwnego, że Danka z Zosią z trudem dowlekły się do przystanku, tak były najedzone. Pani Beczka znowu wzruszyła się ich czułym pożegnaniem i ledwie jej wyperswadowały, że nie potrzebują na drogę prowiantu.

Tramwaj dowiózł je do Rynku. Dalej postanowiły iść pieszo, co obfitowało w kolejne odkrycia, bo już pod teatrem Danka zaczęła się ekscytować drewnianą kostką brukową, którą, jak tłumaczyła, wyłożono wąski pas Warszawskiej, ponieważ mieszkańcy kamienic skarżyli się na hałas. Drewno miało tłumić odgłosy dorożek i stukot obcasów.

Hałas!

W piątkowy poranek kręciło się tu sporo ludzi, ale w ciągu kilku minut przejechało przez centrum tyle aut, że spokojnie policzyłyby je na placach czterech rąk i jeśli to był hałas, Danka życzyłaby sobie takiego „rwetesu” w Katowicach zawsze. Z nostalgią pomyślała, że zanim je tu przeniosło, przebudowywany Rynek zaczynał nabierać nowego kształtu i był to kształt pomyślany o spędzaniu czasu w mieście bez stresu i hałasu właśnie. Miało być ciszej, zielono i przyjemnie.

Czy to wszystko zobaczą?

Danka pociągnęła nosem i postanowiła się cieszyć chwilą, bo patrzyła na coś, co mogło być inspiracją tego projektu. Przed większością domów eksplodowały miniogródki, a w powietrznych korytarzach buczały pszczoły, które wpadały na Piłsudskiego jak na obiad do ulubionej restauracji. Krzewy kwitły, kwiaty pęczniały w słońcu i tworzyły coś na kształt miejskiego dywanu, który wił się wzdłuż obsadzonej drzewami drogi. Warszawska wyglądała dzięki temu niemal jak promenada w uzdrowisku: drgająca plamami zieleni, wypełniona zapachem bżów i kasztanowców.

Obrazek porażał.

Szły więc niespiesznie, zatrzymały się dłużej tylko przy willi Grundmanna, której nigdy nie widziały – zburzono ją w latach siedemdziesiątych. Potem obejrzały jeszcze klasztor i szpital elżbietanek i wreszcie dotarły do kamienicy z numerem trzydzieści. Przystrojonej falbankami z płaskorzeźb. Tak lśniąco czystej i zadbanej, że siedzący na schodach chłopina w wysłużonej kamizelce wyglądał jakby go tu przeniesiono z innej bajki. Była dokładnie dziesiąta.

– Dzień dobry – przywitała się Danka.

– A dobry. Witam pięknie. – Staruszek zerwał się z miejsca jak spłoszony kot i ściągnął w ukłonie kapelusz. Spojrzenie miał zadziwiająco bystre. – Słońce grzeje, to i trza korzystać. A panienki do kogo?

– Szukamy... – Danka zacięła się i Zosia postanowiła interweniować.

– Szukamy pana Böenischa – dokończyła za siostrę.

– Chyba Beniszewskiego? Chociaż to i to ten sam wielki pan. Po wojnie lisy farbowane się przemianowały, żeby nie było znać, że Niemce – dodał.

– Tak, chodzi nam o Beniszewskiego. – Danka uśmiechnęła się prześlicznie, bo wyczuła nosem przełom, a Zosia miała wrażenie, że doznaje déjà vu.

Barok i renesans.

Czy raczej Beniszewski i Ska.

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że słyszała to nazwisko od robotnika skuwającego zdobienia. Ha! A zatem Beniszewski, czy raczej jego potomek, żył w Katowicach i prowadził spółkę budowlaną. Jednak niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Po prawdzie to pan Beniszewski mieszka na Zajączka. – Staruszek przyłgął wzrokiem do Danki i odpowiedział na uśmiech. – Tu tylko pokoik jeden od zawsze jego rodzina opłaca, bo graty trzymają. Na Zajączka dom niby duży, ale w jednej chałupie z córką Edytą i jej mężem siedzą.

– Z Edytą?! – zakrzyknęły jednocześnie Zosia z Danką.

– A z panią Edytą. Będzie godzina, jak za komorne płaciła i remontu doglądała. Ubielili izbę, posadzka wymieniona, bo kucie było. Przeszło dziesięć tacek wywieźli. Ale po co pieniądze w błoto rzucać, skoro klitka maluchna i tylko stare pudła stoją? – Staruszek nie krył potępienia, na dowód czego załamał pomarszczone ręce.

– Może ich stać?

– Wiadomo, że stać. Ale i to prawda, że Beniszewski sam kilofem kuł, chociaż firmę ma. Dziwne ludzie. Ale i tak marnotrawstwo to grzech ciężki. – Mężczyzna nie dał się przekonać i załomotał w drzwi, za którymi przed chwilą rozległo się żałosne szcęknięcie. – Pójdiesz ty?! Do budy! Panienci się nie boją. Suka dozorczyńni – wyjaśnił. – Piszczy, bo tu przed chwilą zaszedł jeden pan z pieskiem. A trza przyznać, że psiak pocieszny jak rzadko.

– Pocieszny? – Danka się ożywiła. – Taki przypalany na brąz wypierdek?

– Przypalany? A to nie wiem. Kudelki przy głowie tylko miał. A niżej jakby go kto strzygł, ale kto by tam psy golił... O, jakoś

tak od golenia się wabił.

– Może Goliat? – odpowiedziała.

– Ano Goliat. A panienki skąd wiedzą?

– My tego pana znamy. Ale od innej strony – wycedziła Danka. – Pewnie tak jak my pytał o Beniszewskiego?

– No, pan Beniszewski jak nic dzisiaj wzięcie ma, bo i pytał. Zgadza się.

– Kto pyta, czasem błądzi – oświadczyła zimno i podziękowała za rozmowę. – Czy ty dzisiaj w nocy użyłaś słowa „świnia”? – strzeliła w siostrę pytaniem i powlokła ją na drugą stronę ulicy, co nie stanowiło problemu, bo w umyśle Zosi trwał właśnie skomplikowany proces.

Proces był utyłany w białym proszku, który najpierw widziała na lakierkach faceta we fraku. Potem ten sam proszek zdobił pantofle Edyty. I to również miało związek z piwnicą. I podziemiami. Tymi samymi, które rzekomo biegły na cztery strony świata, a przecież nikt nie powiedział, że stary dworzec nie może się załapać na jedną ze stron.

– Co? A tak, jak najbardziej, użyłam, ty też. Słuchaj... – Zosia przebierała z rozpędu nogami, jednak na Mariackiej w końcu wyhamowała.

– To użyję jeszcze raz. Świnia! Grzebał w moim laptopie. Bo skąd mógł wiedzieć o kamienicy i Böenischu?

– Świnia. Musiał grzebać – przytaknęła Zosia, ale zachowanie Mędrzyckiego jeszcze do niej nie dotarło, wciąż była pod wrażeniem swojego odkrycia. – Wiem, gdzie jest schowane złoto – wypaliła, ciekawa efektu, jaki wywoła.

Danka przez chwilę stała z otwartą buzią, po czym na nowo załapała siostrę słowotokiem.

– Przecież byliśmy tam przed chwilą. Sama słyszałaś. Beniszewski wynajmuje pokój. Założę się, że jeśli coś zamurowali, ukryli to w podłodze.

– Dziesięć tacek – powtórzyła za staruszką Zosia. – Z małego pokoju wywieźli dziesięć tacek. Robiłam niedawno remont i wiem, ile gruzu może wyjść z paru metrów podłogi. Na pewno nie dziesięć, uwierz mi. Dużo mniej. Poza tym nową podłogę zwykle wylewa się na starą, po co kuć? Złoto

tu było, owszem, ale...

– Wywieźli?

Zosia skwapliwie przytaknęła.

– Edyta mówiła, że pod jej domem kręcili się jacyś ludzie. Przeczuwała, że ktoś dowiedział się o złocie. A jeśli się dowiedział i ich obserwował, w końcu trafiłby na Warszawską.

– Na Piłsudskiego, Warszawska nazywa się teraz Piłsudskiego – poprawiła odruchowo Danką. – Czyli że Beniszewski i Edyta poczuli się zagrożeni i zmienili kryjówkę? Brzmi niegłupio. Ale jak my teraz dojdziemy, gdzie...?

– Dojdziemy! – Zosia uśmiechnęła się przebiegle i opowiedziała siostrze o swoich podejrzeniach.

Dziwne, ale musiała przyznać, że im więcej rozmawiały o złocie, tym pomysł, żeby grzecznie poprosić o jego zwrot, wydawał się coraz mniej trafiony. Jeśli nie naiwny. Edyta niczego nie zwróci, bez obaw, mimo że obie strony mają do złota takie samo prawo.

Ale gdyby tak odzyskać połowę należącą do Diebla?

Zosia nie zapominała, że pieniądze gromadziło dwóch złodziei i upływ czasu tego nie zmienił, ale jednocześnie postanowiła w duchu, że gdyby udało się odnaleźć skarb, przeznaczyłaby jego część na... Na jakiś szczytny cel. Najlepiej publiczny i związany z miastem. Może dokończenie budowy stadionu?

Tylko najpierw musiałoby się im udać wrócić.

– Tak, w tunelu pocztowym też były białe ślady, pamiętasz? – podchwyciła Danką. Jej brązowe oczy zaczęły naraz błyszczeć jak złote tarcze, a policzki nabrały pąsowej barwy. – Czyli gdzie ta nowa kryjówka? Piwnica w urzędzie?

– Nie wiem, czy konkretnie piwnica, ale coś mi mówi, że jesteśmy na dobrym tropie. Na pewno gdzieś tam. Edyta ma klucze, może schodzić na dół bez żadnych podejrzeń.

– Założę się, że dworzec jest połączony z urzędem podziemnym korytarzem – strzeliła Danką. – To jest nawet logiczne. Jeśli tunele wykonano dla ewakuacji ważnych urzędników, musi być połączenie z węzłem komunikacyjnym, żeby w razie zagrożenia na przykład taki prezydent miał jak

zwiąć.

– Chyba nieźle kombinujesz – zgodziła się Zosia. – A ten upiorny dźwięk, który słyszeliśmy, kiedy machałaś fototapetą... Może używali jakiegoś młota pneumatycznego czy czegoś takiego? Czym się kruszy beton?

– Cholera wie. Czy ja dobrze rozumiem, że pędzimy teraz do urzędu i zjeżdżamy do piwniczki? – upewniła się z uciechą Danką. – Klucze mam ze sobą, jakby co. Tylko musimy uważać. Rycie betonu to nie jest zajęcie dla damulki. Edyta ma wyrobników. Albo swojego ojca, albo twojego byłego mężusia. Fajnie, wyprawa po złote runo. W końcu coś!

Edyta Pelc, jak na bywalczynię światowych salonów mody przystało, posiadała cały arsenał torebek noszonych w zależności od stroju. Najbardziej jednak lubiła elegancką skórzaną torebeczkę, którą przywiozła z Warszawy. Tę ze srebrną klamerką i perłowym guziczkiem. Maleństwo było śliczne. Doskonale uszyte, wybite w środku atlasem tłoczonym w modny wzorek, a pomachanie tym cudem przed nosem innych pań było jak komunikat o zawartości portfela. Wpędzało w kompleksy i dokładnie o to chodziło.

Kiedy sytuacja zmusiła Edytę, aby przychodziła do pracy z toporną, brązową aktówką, czuła do świata wielki żal. Pocieszała się myślą, że za to, co przenosiła w środku, mogłaby kupić nie tylko sto torebek, ale całą kaletniczą fabryczkę. Teczka nie należała do najpiękniejszych, jednak odznaczała się bardzo pożądaną cechą.

Była pojemna.

A pojemność odgrywała teraz zasadniczą rolę.

Z przetransportowaniem złota musieli się uwinąć z tatkiem w tydzień, bo na tyle dniówek umówili się z niejakim Zbyjem. Facet wyglądał jak rumuński zbir, a poznali go, kiedy przyszedł ubiegać się o posadę pomocnika. Wielki i milczący, w obejściu był wręcz szorstki, ale właśnie ta powściągliwość do Edyty przemówiła. Dobrze opłacany nie będzie kłapał jadaczką, a na

budowlance się znał. Poza tym nie mieszkał na stałe w Katowicach, był tu tylko przejazdem i nad wyraz gładko przelknął wiadomość, że praca w podziemiach ma związek z zakładaniem w urzędzie ważnej instalacji. Ważnej i dotyczącej bezpieczeństwa miasta, dlatego nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Zadanie zlecił w tajemnicy firmie Beniszewski i Ska nie byle kto, ale sam pan prezydent.

Zbyj nie zadawał zbędnych pytań. Stawiał się o umówionej godzinie pod drzwiami tunelu pocztowego i czekał, aż zostanie wpuszczony. Potem wykonywał swoją pracę: kuł w ścianie pas głęboki na rękę, a szeroki na trzy palce.

Z wiadomych powodów tatko nie zatrudnił do tego nikogo ze swoich pracowników, pomagał Zbyjowi sam. Doglądał budowy podziemi, dlatego przepuszczano go przez portiernię, ale nie ma się co oszukiwać: swoje lata już miał i zbyt długie przebywanie w zimnym korytarzu szkodziło mu na zdrowie. Coraz częściej zanosił się kaszlem.

Co do Oskara: Edyta wolała trzymać małżonka jak najdalej od złota. Im mniej o nim wiedział, tym majątek Beniszewskich był bezpieczniejszy. Poza tym złoto owiewała jakaś ponura tajemnica, jakieś niedomówienia i wątpliwości; podobno trafiło w ich ręce na skutek oszustwa dziadziusia. Dlatego korzystali z niego tylko w ostateczności. Tym bardziej że po wojnie wciąż patrzono na Niemców podejrzliwie i póki co musieli zaciskać pasa. Jednak kiedy rodzina wpadała w tarapaty, tatko jechał zwykle z kolia lub pierścionkiem za granicę i na parę lat starczało.

Oskar przepuściłby wszystko w parę miesięcy, tego Edyta była pewna. Niestety o pewnych cechach małżonka, który zapowiadał się przecież na zdolnego architekta, dowiedziała się dopiero po ślubie i nie kryła swojego rozczarowania.

Zresztą mężczyźni zazwyczaj ją właśnie rozczarowywali.

Nawet ci, którym płaciła.

Zbyj kuł pięknie i się nie oszczędzał, ale kiedy poprosiła o pomoc w usunięciu portiera, który zaczął węszyć w podziemiach, ponurak przejął się rolą i zamiast uwięzić staruszka w szopie za miastem, tak jak się umawiali, wziął go

i udusił, a potem w panice wrzucił do rzeki. Do rzeki! Co za partactwo. Wystarczyło zakopać zwłoki w najbliższym lesie i po kłopotcie. Potem tłumaczył, że doszło do wypadku, bo mimo podeszłego wieku portier nie należał do słabeuszy i dzielnie się bronił, ale zawsze to nieprzyjemny incydent. Zbyj mówił prawdę: krzaczaste brwi zjechały mu na kilka dni niemal na koniuszek nosa, przestał się też odzywać. Jednak trzeba przyznać, że kiedy portier wypłynął w Rawie i znaleziono przy nim flagę z krwawymi śladami wielkich łap Zbyja, ten stanął na wysokości zadania i jakimś cudem ją odzyskał. Tylko ta jego gęba: zacięta i wiecznie skrzywiona...

Na szczęście praca dobiegała końca.

Ojciec miał dziś zamurować ostatnią część przeniesionego złota. A jutro się rozliczą i będzie po wszystkim. Rozmyślając nad swoim położeniem, Edyta minęła w milczeniu portiernię i upewniwszy się, że nikt na nią nie patrzy, zeszła do piwnicy.

I od razu ją coś tknęło.

W korytarzu prowadzącym do starego dworca, już z daleka usłyszała pokasływanie tatka, ale zniekształcone, gardłowe, jakby się dusił. Przyspieszyła i pewnie dlatego straciła równowagę, kiedy jednocześnie poczuła, że ktoś ją szarpie za ramię. Ze strachu zdążyła jeszcze krzyknąć i w mdłym świetle zobaczyła błyszczące ślepie Zbyja. Wykręcił jej ręce i rzucił na ziemię, a potem zakneblował usta ohydnie śmierdzącym kłębem szmat.

– Zdziwiona? – usłyszała drwiące pytanie i wreszcie mogła się odwrócić.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej garść pełną kosztowności, które upiornie zagrzechotały. Oczy pod kosmatymi brwiami Zbyja stały się tak czarne, że Edyta zobaczyła w nich dwa ślepe korytarze.

– Bogatym nigdy dosyć – rzucił, wykrzywiając z pogardą usta, a półmrok jeszcze bardziej zniekształcił jego rozgorączkowane oblicze. – Ale nie tym razem. To złoto zmieni Polskę. Przypadnie towarzyszom. Ludziom honoru, którzy będą wiedzieli, jak je spożytkować.

Metamorfoza Zbyja, który do tej pory sprawiał wrażenie

pracowitego idioty, a w jednej chwili zmienił się w obłąkańca wygadującego jakieś polityczne farmazony, przeraziła Edytę niemal tak samo jak myśl, że ojcu mogło się coś stać. Leżała we wnętrzu tunelu, gdzie Zbyj trzymał narzędzia, a zza zakrętu dobiegało ją coraz słabsze pokasływanie. Coraz słabsze i przerażająco bezbronne.

Żołądek skurczył jej się tak bardzo, że w brzuchu poczuła twarde kamień.

Zosia z Danką wykorzystały moment, kiedy portiera zajmował jakiś urzędnik, i z prędkością światła popędziły do drzwi prowadzących do piwnicy.

– Otwarte – zakomunikowała Danka i położyła palec na ustach.

– W takich chwilach powinno się chyba przystopować. – Zosię opadły nagle wątpliwości. – Nawet jeśli uwijają się tam przy złocie, to co? Powiemy: „Dzień dobry, my z rodziny Diebla”?

– A z jakiej jesteś rodziny? – Danka zatrzymała się w pół kroku.

– Ale trzeba mieć jakiś plan, broń...

– Broń! Już widzę, jak strzelasz z kałasznikowa. Trzeba mieć o, tu. – Danka puknęła się z rozmachem w czoło. – Uwijają się przy złocie? Bardzo z ich strony uprzejmie. Popatrzmy sobie z ukrycia i wrócimy po swoją część w odpowiednim czasie.

– Chyba że tak – sapnęła nieco uspokojona Zosia, choć kiedy poczuła na twarzy zimne powietrze, znowu drgnęło w niej coś lodowatego i oślizgłego.

Piwnica należąca do muzeum okazała się zamknięta, za to z bocznego korytarza dobiegały jakieś niepokojące odgłosy. Na razie zbyt zniekształcone, żeby można je było nazwać. Ale na pewno nie przypadły Zosi do gustu.

Danka odetchnęła kilka razy dla dodania sobie odwagi, po czym stwierdziła stanowczo:

– Nie ma zmiłuj. Idziemy.

Zosia jęknęła w duchu, ale ruszyła za siostrą. Mniej więcej w połowie drogi usłyszała znajome kołatanie serca. Takie samo jak przy poprzedniej wizycie w podziemiach. I znowu obudziło się w niej paraliżujące pragnienie słońca i świeżego powietrza. Tylko że tym razem Danka ani myślała odpuścić.

Nadstawiły uszu.

Echo niosło miarowe dźwięki podobne do uderzeń kilofa. Słysząc było też jakieś szurania, jęki, a nawet coś podobnego do kaszlu. Danka zrobiła tajemniczą minę i pokazała Zosi komórkę. Jeśli istniało coś takiego jak telepatia, w tej chwili mogły się o tym przekonać, bo Zosia od razu zrozumiała. Znajdowały się zbyt blisko źródła dźwięku, żeby pozwolić sobie na pogaduszki, wyjęła więc z torebki telefon i szybko napisała: „Duszę się. Mam chorobę podziemną. Wracamy!”, po czym podsunęła ten komunikat Dancie pod nos.

Ta popukała się po głowie i w odpowiedzi napisała: „Wytrzymaj. Już niedaleko. Tylko zerkniemy i zwiewamy”.

Rzeczywiście znajdowały się tuż tuż, bo zaczęły nawet rozróżniać poszczególne słowa toczącej się przed nimi rozmowy.

– Ludziom honoru, którzy... wiedzieli... jak... ...żytkować.

Zosia wcale nie zamierzała wysłać SMS-a, bo taka opcja siłą rzeczy odpadała. Mogły się zabawiać z Danką tapetami i aplikacjami niewymagającymi działania Internetu, ale telefon nie przestawał być telefonem i nadal wydawał dźwięki. Na przykład takie „Pip!”, które komunikowało, że przypadkowe naciśnięcie „Wyślij” jest raczej bez sensu, bo wiadomość nie została dostarczona.

Jednak pip tunelowy w porównaniu z optymistycznym pipem naziemnym brzmiał zupełnie inaczej. O wiele głośniejszy, a do tego groteskowo straszny. Odbity od ścian przyklejał się do sufitu i gnał, gnał przed siebie, informując wszystkich wokół, że do piwnicy wtargnęli niepożądani goście.

Danka z Zosią na chwilę znieruchomiły, ale to niczego nie zmieniło. W korytarzu nagle pociemniało i zobaczyły oświetloną od tyłu sylwetkę mężczyzny.

Jakby znajomą.

– Czarna Zośka? – padło w oddali pełne zdumienia pytanie i Danka szturchnęła siostrę w żebra.

W szturchnięciu dało się wyczytać ulgę, choć Zosia nie była przekonana, czy mają się z czego cieszyć. Postać podeszła bliżej, ale zamiast oczu zobaczyły tylko cienie pod krzaczastymi brwiami.

Za to trzymany w rękach kilof świecił w ciemności niczym kosa.

– Co za spotkanie – warknął Zbyj i gruchnął kilofem o ziemię. A tam...

– Boże, kto to? – Danka podbiegła do ruszającego się na ziemi worka i odskoczyła przerażona. – Edyta?!

Spod worka wyjrzały nogi. W zastanawiająco znajomych pantofelkach.

– Co tu się dzieje, do cholery? – Danka zaczynała nabierać rozpędu, ale Zosia oceniła sytuację szybciej.

Zbyj tylko pozornie był ich współnikiem.

Bo najwyraźniej postanowił odnaleźć złoto na własną rękę.

I raczej nie zamierzał się nim dzielić.

Danka dopiero teraz spojrzała na stojącą opodal taczkę i przez moment w jej oczach zabłyszczał inkrustowany rubinami napis: „Sezamie otwórz się”. W taczce leżały rzucone łańcuchy, pierścienie, bransolety i przeróżne złote przedmioty, jak choćby monstrualnych rozmiarów kielich wysadzany drogimi kamieniami.

Danka jak zaklęta postąpiła kilka kroków i z nabożeństwem chwyciła naczynie. Tu Zbyj zrezygnował z uprzejmości i wyciągnawszy zza pleców pistolet, syknął:

– Łapy do góry!

Obszerniejszego komunikatu Danka nie potrzebowała.

– Gazu! Tam! – Pokazała w głąb tunelu i puściła się pędem przed siebie, nie zważając, że za zakrętem leży kolejny worek. Zanoszący się od kaszlu. – Zostaw! – krzyknęła do Zosi. – Zygzakiem! Bo nas trafi!

Zosia biegła, zygzaka nie zrozumiała w ogóle, ale Danka odbijała się od ściany do ściany, więc odruchowo zaczęła ją naśladować. W głowie jej wirowało, serce już nie biło, ale waliło

jak kilofem, a zaciśnięte gardło ledwie przepuszczało powietrze.

Niestety to był dopiero początek.

Zbyj wyprysnął zza zakrętu i Zosia usłyszała huk, a potem coś świszczącego, co przeleciało tuż jej przy ramieniu, a następnie z gwizdem rozkruszyło beton na mnóstwo małych odłamków. Miała szczęście, żaden jej nie dosięgnął.

„Myśleć!” – To krótkie zdanie pojawiło się w głowie Zosi jak wykrzyknik, gdy huk rozległ się znowu, a w oczach oglądającej się Danki zobaczyła śmiertelne przerażenie.

Jeśli chciały stąd wyjść żywe, musiały myśleć.

Przy kolejnym wystrzale Danka w panice zakryła głowę rękami, co ostatecznie wyleczyło jej siostrę z choroby podziemnej i zmobilizowało do działania. Zbliżały się do miejsca, w którym tunel układał się w łuk. Zosia już z daleka dostrzegła, że stały tam taczki. Wypełnione po brzegi czymś, co dla odmiany przypominało złom lub gruz. Ale na pewno nie złoto.

– Rzucaj tym w korytarz! – Dopadła złożonych w stosik cegieł. – Rzucaj, póki go nie ma, szybko!

Danka skoczyła pomagać, a Zosia trzęsącymi się rękoma wyszarpnęła z torebki komórkę i... zaczęła szukać odpowiedniego dzwonka.

A miała z czego wybierać.

Nie zważając na melodyjki naśladowujące owieczki i szalone krowy, odpaliła krwawą jatkę rodem z pierwszej wojny światowej. Po chwili w kiszce korytarza rozstrzelały się karabiny, rozwyły bombowce i w ogóle padały rozmaite oszalałające dźwięki, które na kimś, kto nie znał się na cudach techniki, musiały zrobić piorunujące wrażenie.

Już nie czekały na reakcję Zbyja, ale co sił pędziły dalej.

Stały bezradne dopiero na końcu korytarza, który kończył się wielkimi żelaznymi drzwiami. Opornymi na wszelkie próby przejścia na drugą stronę. Pomimo co rusz wydzwaniającej bombardowaniami komórki w korytarzu znowu usłyszały nadbiegającego prześladowcę, który pewnie nie wiedział, co się dzieje, ale wiedział, że dźwięk nie łączy się z żadnymi ranami na ciele czy umyśle.

– Klucze do piwnicy! – wykrzyknęła Danka.

Stres i ją zmobilizował do myślenia, bo już uwijała się z pękiem żelastwa przy zamku.

I tu obie siostry czekała niespodzianka. Największy klucz wszedł łatwo i przekreślił się z delikatnym jękiem. A wtedy słońce wdarło się do tunelu cieniutką, ostrą strużką.

– A panny tu skąd?!

W tunelu pocztowym stał zdumiony staruszek z sumiastym wąsem, a jego postawiona na sztorc miotła mówiła, że żarty się skończyły.

Wino na pewno było czerwone.

A butelka wygięta.

Nazwa również się zgadzała.

W dodatku mile zaskoczony Mirek odnotował na peronie piątym obecność nowiutkiego uporka. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym widział go, zanim wylądowali w dwudziestoleciu. Tyle że rok na butelce nadal pozostawał beczelnie ten sam.

Tysiąc dziewięćset dwudziesty dziewiąty.

W charakterze uczestniczek zdarzeń brakowało również Danki i Zosi, mimo że dwunasta minęła dobre pół godziny temu. W innych okolicznościach cywilizacyjnych zapewne otrzymałby od Zosi SMS-a, bo spóźnianie się bez uprzedzenia nie leżało w jej zwyczaju, ale obecnie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądał świat, kiedy człowiek nie był uwiązany na smyczy telefonicznej.

I chociaż Mirek trochę się denerwował, musiał przyznać, że wyglądał pięknie.

Odkorkował otworzoną w domu butelkę i sącząc dyskretnie wyborny trunek, rozejrzał się z przyjemnością dookoła. A z ławeczki peronu miał widok jak z najlepszej teatralnej łoży.

Słońce prażyło i odkształcało tory, tyły gazowni porastały maki, które przycupnęły tu całą gromadą i na swych wiotkich nóżkach dodawały budynkom czerwieni, a hulające po peronie

sroki zabawiały się w ganianego, robiąc nie mniej hałasu niż odjeżdżający właśnie pociąg. W powietrzu unosiła się radosna zapowiedź wolnego, jaka towarzyszy wczesnemu piątkowemu popołudniu. Nawet znajomy stróż wyglądał mniej groźnie niż zwykle. I chyba rozpoznał Mirka, bo uchylił na jego widok służbowej czapki.

Tylko TEN dźwięk...

Pod peronem coś jakby strzeliło.

A potem znowu i znowu.

I wcale mu się nie wydawało, bo sroki zaprzestały harców i w momencie wzbily się w górę, a schowany w cieniu ławki Goliat warknął ostrzegawczo. Stróż również się zaniepokoił. Pokręcił głową, zaszurał buciskami i poczłapał do tunelu pocztowego. Tym razem nie narzekał na elity, ale na licho, które nie daje żyć.

Mirek należał do ludzi umiarkowanie ciekawskich, ale peron piąty był miejscem wyjątkowym. I rządził się własnymi prawami. Mieszały się tu aromaty nafty i konwalii, które przycupnęły przy szopie za płotem. Brzegi nagrzanego chodnika lechtała soczysta linia trawy, a gwizdy i trzaskania niby nie miały racjonalnej przyczyny, a brzmiały w tym suchym powietrzu niczym praca jakichś mechanicznych płuc. A może dźwięki dobiegały z megafonu, który dzisiaj kaszlał i czekał, zamiast wytyczać cel podróży?

Mirek skinął na Goliata, a następnie powłókł się za stróżem. Trochę zmęczony upałem, a trochę zmartwiony nieobecnością dziewczyn.

Miał Zosi tyle do opowiedzenia.

Przecież odwiedził dziś kamienicę Böenischa! Połączył fakty i wydedukował, że złoto musiało być ukryte właśnie tam.

– A panny tu skąd?! – usłyszał wykrzykującego w zdumieniu stróża, a później z tunelu wybiegły...

Zosia z Danką.

Zziajane i umazane jak nieboskie stworzenia.

Już chciał powtórzyć pytanie stróża, kiedy Zosia chwyciła go w biegę za rękę i pociągnęła za sobą.

– Uciekaj!

Gdzie miał uciekać i dlaczego, nie wiedział, ale bez protestu wykonał polecenie kobiety, która wyglądała na śmiertelnie przestraszoną. Dodał gazu, a nawet wykazał się inwencją, bo wydał komendę:

– Do uporka!

Teraz przynajmniej wszyscy znali kierunek.

Stróż i jakiś facet pędzący za nimi również.

Tyle że w tej samej chwili na peron wtoczył się pociąg, a z przedziałów wysypali się znużeni upałem podróżni. Danka, Zosia i Mirek, oddzieleni w ten sposób od pościgu, wykorzystali okazję. Wmieszali się w tłum naszpikowany torbami, tobołkami i walizkami, i chociaż przypominało to przeprawę rzeką, w dodatku pod prąd, udało się,

Dotarli do uporka.

Błyszczącego w słońcu świeżo położoną farbą.

– A jeśli nas przeniesie? – spytała cichutko Zosia i objęła się rękami. – I stracę talię?

– Nic nie stracisz. Będiesz mieć mniejszą. A kolega asystent weźmie cię nawet z dziurą w jedyńce – zapewniła pospiesznie Danka i bez krępacji pogładziła się po biuście. – Ja chcę mieć mniejsze. Co nieco. Małe jest niebrzydkie.

– A ja chcę, żebyś do mnie mówiła... Mędrzycki – dokończył nieoczekiwanie Mirek i pozwolił sobie na złośliwy rechocik.

– No to chlup. – Danka wspięła się na uporek i oceniła sytuację, która wyglądała tak, że stróż i Zbyj zbliżali się do nich niespiesznie, ale konsekwentnie. Zobaczyła też w rzednącym tłumie pomarańczową czuprynę i pomyślała o Nawiazce, ale musiało jej się wydawać. Grześ nie był jedynym rudzielcem w mieście. – Gdzie wino? I gdzie mój kielich?!

Ale kielicha nie było.

Musiał zostać gdzieś w podziemiach, co wcale Danki nie ucieszyło. Przez moment rozważała nawet powrotny minigalop do tunelu pocztowego, który przecież można było teraz zamknąć od środka, ale powstrzymała ją myśl, że siostra jej nie daruje. Będzie narzekać i marudzić. Niech więc odbębnią te idiotyczne przenosiny, może potem uda się coś wykombinować.

A czas był już najwyższy, bo Zbyj po wyjściu na peron przezornie schował pistolet i znowu stał się chudziwą z dwiema włochatymi gąsienicami na czole.

Danka, gotowa do ucieczki, ochoczo upiła łyk wina.

Zosia również dziabnęła sobie łyceczek i czekała, aż Mirek da jakiś sygnał, bo kątem oka widziała nadciągającego stróża.

Ale z butelką zaczęło się dziać coś dziwnego.

Czerwień zawrzała w powyginanym szkle, wino znowu zasmakowało czarną porzeczką, którą chcieli razem zrywać, chcieli razem biec, skakać, cieszyć się nadciągającym latem. W dodatku w megafonie zatrzeszczał raptem czyjś głęboki głos:

– Pociąg Polskich Kolei Państwowych do stacji Katowice odjeżdża z peronu piątego!

Od szyn szły cichutkie syki i grzechotania, trzeszczały składy, a swoje trzy grosze wtrącały także sroki...

Grześ Nawiązka już dawno podejrzewał, że jego szef poważnie się zauroczył. I co gorsza, chciał ukryć przed kolegami swoją skłonność do Czarnej Zośki, w związku z czym trzymał swoje wypady do Dębu w tajemnicy.

A Grześ nie lubił być traktowany jak półgłówek i obudził się dziś z postanowieniem, że wyłoży karty na stół. Po prostu złoży Mędrusiowi wizytę i porozmawia z nim jak mężczyzna z mężczyzną.

Się wie.

Z tym że nocny spacer ze świnią, którą musiał utrzymać na sznurku, poważnie go wyczerpał. Choć może wyczerpały go emocje. Bo z panną Danusią rozmawiało się rozkosznie. Absolutnie rozkosznie. I jak na konwersację z kobietą – zaskakująco otwarcie.

Jedna myśl nie dawała mu tylko spokoju.

Czy panny Danusi nie ponosi zbyt dużo fantazja?

Bo choćby te podróże w czasie, o których napomknęła.

Niby tylko raz, ale z takim przekonaniem, jakby mówiła o czymś bardzo prawdziwym, a przecież wiadomo było, że to

bajka. Grześ wiedział, że zwykle idealizuje damy swojego serca, dlatego przywoływał w pamięci różne wypowiedzi panny Danusi i próbował się rozeznąć, z kim ma do czynienia, jednak za dużo z tego nie wynikło. Poza tym, że wstał niewyspany i dotarł pod dom Mirka, kiedy ten już spod niego wyruszał. Chcąc sprawdzić, czy Mędrus nie jedzie aby do Dębu, zakręcił i siedział mu na ogonie do Dworcowej, gdzie obaj zaparkowali.

Potem Grzesiowi zaczęło być nieswojo, bo Mędrus zachowywał się, jakby go opuścił rozum.

Pił wino na peronie!

Wstyd i hańba.

Już zamierzał wyjść z ukrycia i przemówić szefowi do rozsądku, kiedy ten ruszył za stróżem do tunelu pocztowego, a wynurzył się stamtąd w towarzystwie Czarnej Zośki i jego Danusi!

Obie damy były czymś mocno wzburzone, ich lica płonęły rumieńcem. Nawiazka nie odrywał wzroku od kobiety, która śmiało mogła być miss PKP, kiedy uzmysłowił sobie, że ta cudowna istota... Że ta cudowna istota również popija wino na peronie!

I kto ją nakłania do złego?

Mędrus, w rzeczy samej.

Owszem, męska przyjaźń jest rzeczą nie do przecenienia, ale jeśli przyjaciel zniża kobietę do takiego poziomu, przestaje być przyjacielem, a staje się niegodną szacunku kanalią. Postanowił to Mędrusiowi wyluszczyć z całą stanowczością, ale kiedy wyczołgał się z krzaków i przedarł przez tłum podróżnych, przy uporku już nikogo nie zastał.

W trawie leżała jedynie butelka.

Pęknięta – rysa biegła od grubego dna i kończyła się cieniutką nitką przy szyjce, ale na dnie wciąż ciemniała resztką wina, a słońce podświetlało przyklejoną do szkła cenę.

Dwadzieścia złotych i czternaście groszy.

I choć to było absurdalne, pragnął poczuć usta panny Danusi, pragnął się nimi delektować.

– Jak ja bym chciał być blisko niej – wyszeptał i upił łyczek.

W tej samej chwili megafon zatrzeszczał coś o spóźnionym

pociągu i zmianie trasy, a wino uderzyło Nawiązce do głowy, co było jeszcze bardziej zaskakujące, bo dotąd nie zdarzyło mu się upić jednym łykiem.

A może w butelce znajdowała się trucizna?

Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że Grześ doznał nagle uczucia jakby spadał w dół, a potem zaczął mieć przywidzenia?

Siedział na ziemi przed koszmarnym budynkiem, który zdobiła postać królika opatrzona różowym napisem „GO-GO”. Zewsząd wyrastały domy, ale były zbyt brzydkie, żeby mogły istnieć naprawdę. Stłoczone na sobie jedne na drugim jak przeogromne pudełka zapalek, sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały runąć. Grześ naliczył w jednym budynku dziesięć pięter i zaczął się szczypać po rękach, ale sen trwał nadal.

Budynki były brudne i oszpecone zadziwiającymi napisami. Bo co mogło znaczyć: „GKS KATOWICKIE PSY”?

Grześ oniemiał po chwili jeszcze bardziej, gdyż dla odmiany przyjrzał się ludziom.

Mijająca go właśnie dziewczyna... szła po ulicy w bluzeczce tak prześwitującej, że nawet z odległości kilku metrów widział jej czarny biustonosz! Spodenki też miała zgrzebne, krótkie, całe w dziurach. A buty?! Takich pantofelków nie widział, odkąd chodził po świecie. Podeszwa gruba jak z gumy. Botki z parcianego materiału, sznurowane, a na kostce emblemacik. Czaszka łyśa jak śmierć na chorągwi. A pod spodem dwa piszczele.

Aż nim zatrzęśło.

– Przepraszam, może panu pomóc? – zagadnęła siedząca na ławce obok starsza pani z psem. Uśmiechnięta, ale również w spodniach.

– Gdzie ja jestem? – zapytał słabo.

– W Sosnowcu.

– O matko i córko! – jęknął zmartwiony. – Ja muszę do Polski. Do Katowic. Którędy na Królewsko-Hucką?

Katowice, 21 maja 2014 r.

Drodzy Czytelnicy!

Nie żebym sugerowała, że przed napisaniem jednej krótkiej książki trzeba przeczytać pięćdziesiąt cegieł. Ale może niektórzy chcieliby mieć pewne tytuły pod ręką – wychodzę im zatem naprzeciw. Podaję swoją listę lektur obowiązkowych, które pozwoliły mi poznać nie tylko fakty historyczne, ale zrozumieć atmosferę epoki i regionu. Impulsem do napisania Szajby... była rozmowa ze znajomą – panią Agnieszką z Teatru Korez. Wtedy to dowiedziałam się, że pod placem Sejmu Śląskiego w Katowicach (i w ogóle pod całym miastem) znajdują się bardzo rozległe podziemia, i właśnie ta informacja poruszyła moją wyobraźnię. A potem było już tylko gorzej – świat naprawdę daje nam to, co mamy w głowie. Zaczęłam szukać książek o przedwojennych Katowicach, a książki szukały mnie. I tak zaczęła się przygoda...

...Bogucice, Załęże et nova villa Katowice, J. Moskał, Katowice 1993.

Architektura Katowic w latach międzywojennych 1922–1939, W. Odorowski, Katowice 1994.

Domy i gmachy Katowic, M. Balsa, G. Grzegorek, B. Witaszczyk, Katowice 2013.

Dzieje Dębu (1299–1999), U. Rzewiczok, Katowice 1999.

Dzieje Katowic (1299–1945), oprac. J. Starnańska, Katowice 1990.

Dziewczęta z Nowolipek, P. Gojawiczyńska, Kraków 2008.

Filmowcy i kiniarze: z dziejów X muzy na Górnym Śląsku, pod red. A. Gwóździa, Kraków 2004.

Gruss aus Kattowitz – Pozdrowienia z Katowic: album pocztówek ze zbioru Muzeum Historii Katowic, J. Lipońska-Sajdak, Z. Szota, Katowice 2008.

Gmach Urzędu Wojewódzkiego i Sejmu Śląskiego w Katowicach oraz jego program ideowy, H. Surowiak w: Śląskie dzieła mistrzów architektury i sztuki, pod red. E. Chojeckiej, Katowice 1987.

Historia Górnego Śląska: polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu, red. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek, Gliwice–Katowice 2011.

Historia miasta Katowice, G. Hoffmann, przeł. D. Makselon, Katowice 2003.

„Katolik”, 1870 r. 3, nr 42-42/52

„Katolik”, 1870 r. 3, nr 49-49/52

Katowice-blues czyli Kattowitzer-Polka, H. Waniek, Katowice 2010.

Katowice między wojnami. Miasto i jego sprawy 1922–1929, W. Janota, Katowice 2010.

Katowice. Środowisko, dzieje, kultura, język i społeczeństwo, pod red. A. Barciaka, E. Chojeckiej, S. Fertacza, Katowice 2012.

Kuchnia śląska: jodło, historia, kultura, gwara, M. Szoltysek, Rybnik 2003.

Miasto Katowice. Studium kulturowo-historyczne/ Die Stadt Kattowitz – Eine kulturhistorische Studie, R. Holtze, Katowice 2005.

Narodziny miasta Katowice, L. Szaraniec, A. Złoty, Katowice 2006.

Osady i osiedla Katowic, L. Szaraniec, Katowice 2010.

Piąta strona świata, K. Kutz, Kraków 2010.

Przechadzki historyczne po Katowicach, J. Lipońska-Sajdak, Katowice 2003.

Rajska jabłoń, P. Gojawiczyńska, Kraków 2005.

Ślązoczki piykne są!, M. Szoltysek, Rybnik 2005.

Trzy kroki po mieście, M. M. Szczawiński, Katowice 2008.

Ulice i place Katowic, G. Grzegorek, M. Balsa. Katowice 2012.

Ulice Katowic, J. Abramski, Zawiercie 2000.

Wille miejskie Katowic, K. Łakomy, Katowice 2011.

Wyznania gorszycielki, I. Krzywicka, Warszawa 2002.

Za progiem miejskiego domu w Katowicach w XIX i XX wieku, J. Lipońska-Sajdak, M. Krysiak, Katowice 2010.

Zarys dziejów Katowic. 1299–1990, U. Rzewiczok, Katowice 2006.

Ziemia Elżbiety, P. Gojawiczyńska, Katowice 1986.

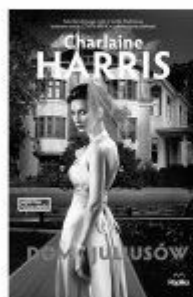
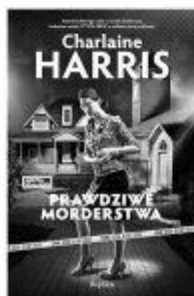
Złota maska, T. Dołęga-Mostowicz, Warszawa 1988.

Znachor, T. Dołęga-Mostowicz, Warszawa 1988.

Polecamy:

Wciągające kryminały retro z wątkiem
romansowym w tle!

Poznajcie Aurorę „Roe” Teagarden, postać stworzoną przez bestsellerową autorkę, Charlainę Harris. Aurora to niezwykła bibliotekarka, której inteligencja, intuicja i przenikliwość nie pozwalają na nudne życie. Te niezwykle zalety pomagają jej w rozwikłaniu najbardziej niezwykłych tajemnic oraz pełnych mroku zagadek.



Na podstawie przygód Aurory Teagarden
powstaje seria filmów.

Miłość, sztuka, pieniądze i śmierć

**Charyzmatyczny, obdarzony nieprzeciętną intuicją
dziennikarz na tropie zagadek kryminalnych.**



Anna Klejzerowicz
Sąd ostateczny

Psychopatyczny naśladowca Hansa Mem-
linga na ulicach Gdańska.



Anna Klejzerowicz
Cień gejszy

Tajemniczy świat japońskich zasad i prze-
znaczenia w zderzeniu z współczesnym
światem zbrodni.



Anna Klejzerowicz
Dom naszej Pani

WKRÓTCE

Na tropie jednej z największych zagadek
starożytności.

Anna M. Zawadzka
Miłość, zazdrość i arszenik



Ludmiła Groszek jest początkującą panią doktor, samotnie wychowującą córeczkę, Misię. Pewnego dnia jej uporządkowany świat burzy seria niezwykłych zdarzeń. Ze szpitala znikają zwłoki pacjenta, ktoś usiłuje zabić jej sąsiada i porwać Misię, a samą Lutkę zastraszyć lub zabić. Na domiar „złego” do drzwi pukają miłosne kłopoty.

Edyta Świętek
Cienie przeszłości

Kiedy Karina budzi się w szpitalu, nie pamięta niczego ze swojego życia. A mimo to wciąż ścigają ją demony z przeszłości. Kto i dlaczego tak bardzo jej nienawidzi? Kim była przed wypadkiem? By żyć, będzie musiała znaleźć odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania.



Małgorzata Rogala Kiedyś Cię odnajdę



Koszmar, który przeżyła Weronika - jej matka została brutalnie zgwałcona i zamordowana we własnym mieszkaniu - znów się powtarza. Olga, przyjaciółka Weroniki, ginie w podobnych okolicznościach. Weronika bierze sprawy we własne ręce: zatrudnia się w szkole, w której pracowała Olga i podejmuje współpracę z policjantem prowadzącym śledztwo. Czy nie podjęła zbyt dużego ryzyka?

Róża Lewanowicz Porwana

Justyna i Łukasz Meyer wiodą z pozoru spokojne życie mieszkańców wielkiego miasta. On jest funkcjonariuszem Centralnego Biura Śledczego, ona typową pracownicą korporacji. Problemy w pracy, bezowocne starania o dziecko i inne sprawy przestają mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie w dniu, w którym ktoś porywa Justynę i odjeżdża z nią w nieznanym kierunku...



**Kattowitz, gryfno frela, birgemajster rojber, geldu foll do
zachabienio, podziymia choby na grubie!
Kriminal šlōnski na Šlonsku, trza sie na to wejrzeć.**


Replika
wydawnictwo